

BIBLIOTEKA PRZEKŁADÓW DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH. T. 6
POD REDAKCJĄ DR ZYGMUNTA ZIEMBIŃSKIEGO

JOHN MAC CUNN

em. profesor filozofji Uniwersytetu w Liverpool

KSZTAŁCENIE CHARAKTERU

ZAGADNIENIA ETYCZNO-PEDAGOGICZNE



K S I Ą Ż N I C A - A T L A S

S. A. ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWN. T. N. S. W.

LWÓW — WARSZAWA

1194

BIBLIOTEKA PRZEKŁADÓW DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH

REDAKTOR Z. ZIEMBIŃSKI

1. *J. Dewey. Moje pedagogiczne Credo. — Szkoła a społeczeństwo.* Wyd. II 4—
3. *R. Rusk. Pedagogika eksperymentalna* 9'60
4. *G. Kerschensteiner. Pojęcie szkoły pracy.* Wyd. II —
5. *H. Parkhurst. Wykształcenie według planu daltońskiego* 6'80
6. *J. Mc Cunn. Rształcenie charakteru* 7'20
7. *J. Saxby. Rształcenie postępowania* 6'40
8. *J. Stevenson. Metoda projektów w nauczaniu* 7'20
9. *W. Zienkowski. Psychologia dziecięctwa* 12—
10. *J. Piaget. Mowa i myślenie u dziecka.* 8'20
11. — *Sąd i rozumowanie u dziecka.* —
12. — *Jak sobie dziecko świat przedstawia* 11'20
13. *O. Pfister. Psychanaliza na usługach wychowania* 8'40
14. *W. Mc Dougall. Psychologia grupy* 13'80
15. *J. Almack. Wychowanie obywatelskie* —
16. *B. Buckingham. Praca badawcza na terenie szkoły* 10—
17. *E. Claparède. Jak rozpoznawać uzdolnienia uczniów* —
18. *A. Ferrière. Samorząd uczniowski.* 8—
19. *G. Gentile. Reforma wychowania* 8'20
20. *A. L. Hall-Quest. Uczenie się pod kierunkiem* 12—
21. *J. Dewey. Jak myślimy* —
22. *E. Claparède. Wychowanie funkcjonalne* —
23. *E. Croner. Psychika młodzieży żeńskiej.* 3'20
24. *Hessen. Pedagogika i szkolnictwo w Rosji Sowieckiej* —
25. *Foerster. Wychowanie obywatelskie* —
26. *J. Piaget. Przyczynowość fizyczna u dziecka* —
27. — *Sąd moralny u dziecka* —

Nakład Instytutu Wydawniczego

KSIĄŻNICA - ATLAS S. A.

LWÓW, UL. CZARNECKIEGO 12 — WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 59

Andrzej Piłdus

BIBLIOTEKA PRZEKŁADÓW DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH. T. 6
POD REDAKCJĄ DR ZYGMUNTA ZIEMBIŃSKIEGO

JOHN MAC CUNN

em. profesor filozofji Uniwersytetu w Liverpool

KSZTAŁCENIE CHARAKTERU

ZAGADNIENIA ETYCZNO-PEDAGOGICZNE

Z 6-go wyd. oryginału p. t.
THE MAKING OF CHARACTER
przełożyła
Z. JĘTKIEWICZOWA

Przejrzał i do druku przygotował
PROF. DR B. NAWRÓCZYŃSKI

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

Nr. 4421



K S I Ą Ż N I C A - A T L A S

S. A. ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWN. T. N. S. W.

LWÓW — WARSZAWA



Curr.
Ksiazki

1124

4

159.923; 37.015.3



SN 17786

2155

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie.

D III

Część I.

Wyposażenie dziedziczne: jego istota i postępowanie z niem.

Rozdział I.

Dziedziczność.

Demokratycznemu naszemu pokoleniu przypadło w udziale ożywić na nowo szybko ginącą wiarę w znaczenie rodowodu. Pokolenie to pisze, naucza, mówi i myśli biologicznie, następstwem zaś tego jest, między innymi, ustalenie się raz na zawsze pojęcia dziedziczności nawet w umyśle przeciętnego człowieka. Tak zakorzenione pojęcie ma różne zastosowania, z których przynajmniej dwa blisko dotyczą kształtowania charakteru.

Pierwsze z nich polega na tem, że trzeba się rozstać ostatecznie z ową starą, znaną powszechnie przenośnią o białej karcie papieru, na którą tak często dawniej się powoływało dla zaznaczenia skuteczności wpływów wychowawczych. Psychologja nie wie nic o poczynaniu się czegoś z niczego. Gdziekolwiek sięga jej analiza, wszędzie napotyka formy istniejące już uprzednio i jeśli wspomniana przenośnia ma pomimo wszystko się utrzymać, to chyba wypadnie powiedzieć, iż karta najmłodszego życia o tyle nie jest biała, że nosi na sobie znaki, wobec których wypłowiła pismo, badane przez paleografję, jest świeżą historją. Słowem, według zgodnie przyjętego poglądu, pierwszym krokiem do kształtowania charakteru jest uznanie początków, które już zostały zrobione.

Stąd, jako dalszy wynik, rodzi się nowy motyw wychowawczy. Jeśli ojciec wie, że syn jego dziedziczy pewne skłonności, może ukrywające się jeszcze nawet przed kochającym okiem, jednak określone, — nakłada to na

niego dużą odpowiedzialność. Cięży na nim zwiększony obowiązek takiej pieczołowitości, z jaką ogrodnik czuwa nad swemi sadzonkami, a hodowca nad swym przychówkiem. Właśnie dlatego, że żaden z nich nie wie, co się stać może, właśnie dlatego, że wątpi roślinka, zwierzątko, dziecko mogą w każdej chwili ujawnić nieprzewidywane skłonności, osoby, których pieczy są one powierzone, mają obowiązek czuwać nieustannie. I to nadaje wychowaniu tyle pociągającego uroku. W porównaniu z niem lepnie z gliny, czy też ciosanie z kamienia (o czym tyle utartych przenośni!) nudną jest robotą. Praca wychowawcza, zwłaszcza w kierunku kształtowania charakteru, byłaby o połowę mniej interesująca, gdyby wychowanie było wszyskciem, jak sobie niektórzy wyobrażali. Jest ona ciekawa przedewszyskciem dlatego, że nie jest wszyskciem, dlatego, innemi słowy, że najmłodsze dziecko jest już stare przez swe skłonności, których objawienie się bywa często pierwszym dla nas znakiem ich istnienia.

Nie należy sądzić, jakoby ta odpowiedzialność i to zainteresowanie ograniczały się tylko do naszego postępowania z najmłodszymi dziećmi. Warto zapamiętać, że dziedziczne skłonności bynajmniej nie muszą się objawiać wszyskie naraz. Podobnie do zarodków dziedzicznej choroby mogą one przez długie lata pozostawać w stanie utajenia, a jednak być dziedzicznymi, jakkolwiek ich objawienie się jest odwleczone. W tem źródło wielu niespodzianek i zawodów. „Brzydkie kaczątko“ staje się łabędziem, a młody łabędź kaczoem. I tak się będzie działo, dopóki te zapóźnione instynkty będą czekały na dokonanie się rozwoju fizjologicznego, na sprzyjające otoczenie, lub poprostu na upływanie potrzebnego czasu, aby się wreszcie objawić. Trudno tu zakreślić jakieś granice. Zdarza się, że człowiek w późnym stosunkowo wieku nabiera niewczesnych upodobań do podróży, życia towarzyskiego, sztuki lub sportu; wybijają się one teraz natarczywie, chociaż mogły istnieć w nim zahamowane w cią-

gu połowy życia. Tego rodzaju upodobania skłonni jesteśmy uważać za nabyte, przypisywać je wpływowi otoczenia, które tak długo musiały oddziaływać, zanim się uwidoczniły. A tymczasem skłonność mogła istnieć od początku życia. Wolno nam przynajmniej podejrzewać, że tak było, ponieważ może ona często przetrwać wiele zniechęceń i ponieważ, gdy się ukazuje, możemy ją często utożsamić z długo ukrytym i ujawnionym wkońcu rysem rodzinnym.

Możemy tedy z całym przekonaniem stwierdzić, że pojęcie dziedziczności jest praktycznie płodne: potęguje odpowiedzialność i wzmacnia znaczenie pracy wychowawczej.

Inaczej rzecz się ma, jeśli, posuwając się dalej, zadamy pytanie, czy to, co dotychczas wiemy o dziedziczności, usprawiedliwia nadzieję, że zdołamy się w inny sposób, aniżeli przez czujną obserwację, upewnić, jakimi przyrodzonymi cechami uposażeni są nasi wychowankowie. Pytanie to da się sprowadzić do zagadnienia, w jakim stopniu badanie rodowodu dziecka może się przyczynić do poznania jego dyspozycji dziedzicznych?

Coś w tym kierunku niewątpliwie da się osiągnąć. Gdybyśmy np. zdołali z wiarogodnych źródeł poznać cechy charakterystyczne nie tylko rodziny, ale i rodu dziecka, wypłynęłaby stąd niezaprzeczona korzyść. Jeżeli bowiem odkrywamy jakiś ujawniający się rys, o którym wiemy, że zaważył na dziejach rodu: niech to będzie zamiłowanie do awanturniczych przygód, do pieniędzy, do wygod lub wojaczki i t. p., możemy być przekonani, że stoimy wobec skłonności, która będzie się zachowywała opornie wobec wszelkich oddziaływań. Powinno to być dla nas wskazówką, w jakim kierunku zwrócić naszą czujność i pracę. Możemy dalej przyjąć, że nasza wiedza o pochodzeniu przyniesie owoce wszelkiej wiedzy prawdziwej. Wyostrzy ona spostrzegawczość naszą, dając nam zasób „prepercepcyj“. Uzdolni nas ona, dzięki właściwemu nastawieniu uwagi, do odkrywania najslabszych kiełków

wrodzonych skłonności i do układania odpowiednich planów oddziaływania na nie. Poznanie rodu i pokrewieństw wychowanka może zatem w użyteczny sposób wspomagać naszą obserwację.

Bezpieczniej jest jednak nie spodziewać się z tego źródła zbyt wielkiej pomocy. Przeświadczenie bowiem, że każde nowe życie przynosi z sobą znaczne dziedzictwo, daje się całkowicie pogodzić z twierdzeniem, że poznanie rodu i pokrewieństwa, choćby pełniejsze i ostrożniej uogólnione niżli to wydaje się możliwem dla tych, co mają praktyczne cele na widoku, może dać nam zaledwie niedoskonałą wskazówkę, czego możemy się spodziewać indywidualnie po danym chłopcu czy dziewczynce — nawet gdy należą do domowego naszego otoczenia — a to z następujących względów.

Po pierwsze, dzisiejszy stan badań nad zagadnieniem dziedziczności nie uprawnia nas do uważania przyzwyczajęń całego życia danego ojca lub matki, czy będą to wady czy też zalety, za miarodajne dla określenia dziedzictwa dziecka. Zbyt wielu kaznodziei i nauczycieli naszych czasów, nazbyt gorliwie usiłujących zużytkować naukę dla sprawy zbudowania moralnego, chwyciło się doktryny, że cechy charakterystyczne, nabyte w jednym pokoleniu, drogą dziedziczenia przechodzą jako instynkty na pokolenie następne. Może tak jest istotnie. Umiejętność władania dłótem, ołówkiem lub gry na fortepianie, umiarkowanie lub nieumiarkowanie, skąpstwo lub rozrzutność, mogą być przekazywane w sposób trudny do wysledzenia. Ale nie o tem pewnego nie wiemy, a dotychczasowe dowody nie są wystarczające. Nie jesteśmy, jak się zdaje, w stanie przytoczyć ani jednego rozstrzygającego argumentu. Obecnie wiemy tylko, że całe zagadnienie przekazywania „cech nabytych“ jest kwestją otwartą i przedmiotem żywej dyskusji między zwolennikami Lamareka i Weissmana. Dopóki różnice zdań pod tym względem nie

zostaną wyrównane, wyniki nie są dość pewne, aby z nich czynić podstawę do odpowiedzialnej akcji wychowawczej.

Jeżeli zwrócimy się do innych cech, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, niezależnie od właściwości, nabytych w ciągu życia przez poszczególne jednostki, to poniekąd stajemy na pewniejszym gruncie. Trudno bowiem nie uznać w dzisiejszych czasach, że takie dziedziczenie jest faktem stwierdzonym; nawet pierwotne plemiona uznawały dziedziczne cechy wśród swoich stad, a odbicie w synach rysów rodzinnych było oddawna jednym z popularnych motywów uwag i rozmów członków plemienia. Fakt dziedziczenia zdaje się być dostatecznie naukowo stwierdzony w stosunku do konstytucji fizycznej. Jest on niewątpliwy w dziedzinie temperamentu (zwłaszcza emocjonalnego), w dziedzinie zdolności i instynktów.

Z tego faktu jednak nie wynikają takie korzyści praktyczne, jakby się to napozór zdawało. Dość przystąpić do studjów nad dziejami jakiegokolwiek rodziny, aby spotkać się z wstępną trudnością rozróżnienia cech rodowych, przechodzących na potomstwo, od nabytych, które może nie podlegają przekazywaniu. Gdybyśmy nawet tę, niemałą zresztą, trudność zdołali przezwyciężyć, to jednak nie moglibyśmy naszej znajomości cech rodowych przyjąć z zupełną pewnością za podstawę działania. Przyroda bowiem jest kapryśna: przy zdumiewającej wytrwałości w przekazywaniu pewnych cech z pokolenia na pokolenie dziwnie lubi ukrywać przed nami drogi swego działania. Tak więc wrodzone skłonności ojca, chociaż wyraźne i niesporne, niekoniecznie występują u jego syna. Mogą się zataić w ciągu pokoleń, aby przejawić się we wnukach lub prawnukach. W dodatku w każdym dziecku mogą się przejawić nieoczekiwane rysy własne. W każdym bowiem dziecku w zakresie niełatwo dającym się odgraniczyć, możemy napotkać owe „igraszki“, owe mniejsze lub więk-

sze odchylenia od cech rodowych, o których naogół wiemy niewiele, prócz tego, że są liczne i nieobliczalne. Wyjątkowe zdolności umysłowe lub dary usposobienia mogą wykwitnąć na zgoła nieobiecującym gruncie, a niewyjaśnione i nieszczęsne zboczenia — zadać kłam najwybitniejszemu drzewu genealogicznemu. Nie dzieje się to bez pewnej dla nas nauki. Pierwszy wypadek wskazuje, że nie należy nigdy zbyt pośpiesznie tracić nadziei, gdy chodzi o potomstwo, choćby najgorszego pochodzenia. Drugi przestrzega nas przed osłabieniem czujności i beztroską ufnością w stosunku do potomstwa nawet najlepszych przodków. Oba wypadki, przy najsilniejszej nawet wierze w dziedziczność, nie pozwalają nam mieć pewności, że syn będzie odbiciem swego ojca. I oba przypominają, że zgóry powzięte mniemania, oparte na badaniu rodowodu, mogą prowadzić w wychowaniu młodych istot do fatalnych błędów, wynikających z nazbyt pośpiesznego wnioskowania.

Nie wolno nam też zapominać, że drzewo genealogiczne każdego człowieka rozrasta się, im dalej sięgamy wstecz, w nierozwikłaną gęstwę związków pokrewieństwa. Dla uzasadnienia słuszności tego twierdzenia nie potrzebujemy nawet cofać się do zbyt odległych czasów; dziesięć lub dwadzieścia pokoleń wystarczy nam zupełnie. Dlatego właśnie, iż jesteśmy przeświadczeni o trwałości cech dziedzicznych, już w tym wypadku ilość spodziewanych wyposażań dziedzicznych musi być ogromna; aż wreszcie stajemy zdumieni ogromną ilością nagromadzonych możliwości u ostatecznego wytworu, w którego żyłach płynie mieszanina krwi bardziej złożona, niż najzawilsze wzory chemiczne, wskutek łączenia się przez związki małżeńskie setek i tysięcy rodzin.

„Błogosławieństwo dobrego pochodzenia“, jak zapewnia nas dr. Maudsley, większą ma wartość dla człowieka w chwilach prób i załamania życiowych, „w godzinie śmierci i w dniu sądu, aniżeli wszystko, co mu dali jego kierow-

nicy duchowni i nauczyciele“.¹ Twierdzenie to jest oczywiście równie sporne, jak wszechogarniające; wynika z niego, w sposób oczywisty, niepokojąco wysoka ocena wpływu czynników przyrodzonych na życie ludzkie. Gdyby to nawet przyjąć za prawdę, należałoby jeszcze dopełnić wiele luk w naszych wiadomościach, zanimby nam wolno było się spodziewać, że zbadanie rodu i pokrewieństwa jest pewną drogą do poznania jakiegoś dziecka. Gdybyśmy bowiem nawet wierzyli, że wszystkie cechy przyrodzone muszą przechodzić na potomstwo drogą dziedziczenia,² jeszczeby to nie usunęło tych trudności, które trzeba przewyciężyć, aby móc z całą pewnością orzekać, jakie może być to dziedzictwo w danym konkretnym wypadku. Dopóki tak się ta sprawa przedstawia, praktyczniej jest, jak się zdaje, poznawać przyrodzone skłonności naszych wychowanków na podstawie bezpośredniej obserwacji ich młodego życia, niż na podstawie badania ich pochodzenia.

Rozdział II.

Nierówność przyrodzona.

U samego progu spotykamy się z przyrodzoną nierównością, czego zresztą mogliśmy się spodziewać. Jeżeli bowiem wśród przodków istnieją nieskończone różnice; jeżeli w jednym gnieździe rodzinnem spotykamy najmniej spodziewane odmienności, to w dobrym, to w złym kierunku; jeżeli wielkie różnice otoczenia wpływają na kształtowanie się przyjaznych lub wrogich warunków, wśród jakich młode istoty spoglądają po raz pierwszy na świat, byłoby rzeczą nierozsądną oczekiwać czegoś innego, niż nierówności. I przewidywanie nasze w tym wypadku

¹ *Physiology of Mind*, str. 367. Najpełniejsze ujęcie zagadnienia dziedziczności znaleźć można u Ribot'a, *L'hérédité psychologique*. Por. także Lloyd Morgan, *Habit and Instinct*, rozdz. XV.

² Twierdzenia tego nie należy przyjmować zbyt pośpiesznie.

się sprawdza. Czyż chłopcy i dziewczęta z jednej ławy szkolnej, czyż nawet dzieci z jednego ogniska domowego nie różnią się między sobą stopniem energii życiowej, temperamentem, uzdolnieniem i instynktami? Na jednym krańcu spotykamy nieliczne, słabe skłonności i otępienie uczuć, doprowadzające do rozpaczyny wychowawców, na drugim bogato wyposażone natury, wiele obiecujące i zdumiewająco wszechstronne w swych reakcjach; pośrodku nieskończona skala odmian. Nie wszystkie te różnice przejawiają się odrazu w całej rozciągłości od lat najmłodszych, — czas je ujawnia stopniowo i nie wszystkie później występujące należy kłaść na karb wychowania. Wprost przeciwnie, wychowanie, wytwarzając pewne różnice, za które jest odpowiedzialne, jednocześnie ujawnia inne, naturalne, za które nie ponosi odpowiedzialności. Ze wszystkich doktryn, wysuwanych kiedykolwiek przez poważnych myślicieli, dogmat naturalnej równości ludzi jest z pewnością najtrudniejszy do przyjęcia.

Właśnie dlatego, że naturalne nierówności występują tak wyraźnie, za szczególne zadanie wychowawcy uważa się niekiedy ich wyrównanie. Przypuszcza się, że dzieci dobrze wyposażone przez naturę nie są narażone na niebezpieczeństwo wskutek zaniedbania, a nawet, że są w stanie same troszczyć się o siebie; sądzi się zatem, że szczególnem zadaniem wychowania jest wyrównanie różnic naturalnych przez zajmowanie się głównie przeciętną miernotą lub nawet wyraźną ułomnością. Świadczy o tem ogrom wysiłków, skierowanych w ostatnich latach na kształcenie elementarne i zawodowe, na opiekę nad fizycznie, umysłowo i moralnie ułomnymi dziećmi, a nawet na potrzeby przestępców.

Ruch ten został wywołany nietylko przez humanitaryzm i współczucie, spoczywa on na bardziej pewnych i racjonalnych podstawach. Jest to bowiem jeden z najgłębiej zakorzenionych rysów charakterystycznych naszej zachodniej cywilizacji, że uznaje ona wartość, przynaj-

mniej potencjonalną, nietylko człowieka przeciętnego, ale nawet osobnika słabszego, który stoi znacznie niżej od przeciętnego poziomu. I nie są to bynajmniej twierdzenia teoretyków, czy też wizje marzycieli. Przeciwnie, tkwią one głęboko w świadomości ludzkiej, gdyż znalazły oparcie w instytucjach: w prawie, które osłania swą niewzruszoną potęgą najszabszych i najmizerniejszych synów ludzkich, w kościele, który zawsze głosił zarówno słowem, jak czynem, przekonanie o wartości każdej duszy ludzkiej, choćby bezwartościowej w oczach świata; w zorganizowanej działalności filantropijnej, hojnie szafującej troską i pieniędzmi dla nizin społecznych; a nawet, dodajmy, w rozwoju polityki socjalnej ostatnich czasów, głoszącej prawo warstw biednych, upośledzonych, walczących o byt do udziału w dobrodziejstwach demokratycznego państwa.

Zasady te, tak silnie ugruntowane, opierają się na różnorodnych podstawach. Mogą być artykułem wiary religijnej, przyjmowanej na podstawie autorytetu, mogą być prostym poczuciem serca i sumienia, mogą też być owocem poglądów filozoficznych i badań natury, zdolności i przeznaczenia człowieka. Bezwątpienia bowiem przypisywanie swoistej wartości nawet najbardziej upośledzonym jednostkom stanowi jedno z najistotniejszych zagadnień, któremi filozofja może się zajmować. Rozwiązania bywają oczywiście różne. I muszą się różnić dopóty, dopóki idealizm będzie się różnił od utylitaryzmu, a obydwa te kierunki od naturalizmu.³ Zasada ta jest bądź co bądź silnie zakorzeniona jako praktyczne przekonanie, a wskazania, które z niej wynikły, stały się podstawą wielostronnej działalności, a między innymi także wychowania.

Bezpośredni wpływ omówionej wyżej zasady jest ważki i sięga daleko. Jeżeli bowiem założymy, że dziecko

³ Patrz: *The justification of motives to social work* w *Addresses on Ethics of Social Work*, The University Press, Liverpool, 1911.

albo człowiek dorosły, którego urobienie jest przedmiotem wychowawczych zabiegów, posiada taką szczególną wartość, to stanowisko nasze zmienia się przez to całkowicie. Fizyczne ułomności, nierozwinięte siły, przytępione zdolności, braki wyposażenia, wpływ ubogiego i nędznego otoczenia, jednym słowem, to wszystko, co cechuje najmniej uprzywilejowane warstwy społeczne, przestaje być uważane za rzecz godną jedynie litości i pomocy. Poczyna się w tem widzieć raczej przeszkody w rozwoju potęgi ducha ludzkiego, przeszkody, których usuwanie w imię wartości „bezcennych“ staje się dobroczynnym zadaniem wychowania. Nie pomylimy się też, twierdząc, że celem wychowania jest usuwanie przeszkód, tamujących postęp ducha ludzkiego.

Wszystko to stanie się jaśniejsze, gdy rozważymy dalej, jakie mianowicie są uzdolnienia duszy ludzkiej; a tymczasem, dla oświetlenia zagadnienia, postawimy proste pytanie: dlaczego dziecko, nawet stojące znacznie poniżej przeciętności, ma nieporównanie większe prawo do naszych usług, niż najwyżej rozwinięte zwierzę? Dlatego, odpowiadamy, że nawet u najniżej stojących osobników ludzkich znajdujemy takie walory aktualne lub potencjonalne, których napróżnobyśmy szukali na najwyższych nawet szczeblach świata zwierzęcego. Praca wychowawcza dopiero wtedy może stać się prawdziwie owocną, gdy jej kamieniem węgielnym stanie się nie tylko najgłębsze choćby współczucie, lecz również przeświadczenie o wartości przedmiotu jej starań.

Wygląda to tak, jakgdyby celem wychowania, zwłaszcza moralnego, było przeciwdziałać prawom natury.⁴ Jeżeli bowiem prawem natury jest (jak to wyznawcy Darwinowi usiłowali nam tłumaczyć przez połowę ubiegłego stulecia), że słaby musi paść w walce, a silny przetrwać, to wychowanie nie ugięło z rezygnacją głowy przed tą

⁴ Patrz: Huxley, *Evolution and Ethics*, zwłaszcza str. 32.

zasadą. Postawiło ono sobie za cel nie dopuszczać do zagłady słabszego. W myśl egalitarystycznych zasad naszych czasów demokratycznych, nietylko rozwinęło niebywały dotąd wysiłek w celu podniesienia przeciętnego dziecka, lecz nie zapomniało też o tej najsłabszej reszcie, któraby uległa szybko w walce o byt, gdyby prawa przyrody nie spotkały się z przeciwdziałaniem.

Nie należy się jednak posuwać w tym kierunku zbyt daleko w myśleniu ani działaniu. Wielki jest bowiem przedział pomiędzy uznaniem indywidualnej wartości jednostki, a poglądem, że wszyscy mają jednakową wartość. Uwaga ta mogłaby się wydać oczywistą, gdyby nie to, że ludzie, nie chcąc się pogodzić z faktem nierówności uzdolnień i losów, złorzeczą naturze lub nieszczęściu za swe braki, a kaznodzieje i moralisci usiłują wlać w nich otuchę, twierdząc, że w ludzkiej jest mocy wyrównać wszelkie niesprawiedliwości losu i że to zależy jedynie od wzniesienia się człowieka na moralne wyżyny. Czyż apostołowie niezależności ducha, od stoików aż do Burns'a, nie pocieszali ludzi zapewnieniem, że mogą stać się „królami stworzenia?” „Bracia, istnieją w Was wszystkie możliwości“, wołał Carlyle, „możecie zapisać złotemi zgłoskami na niebiosach dzieje bohaterskiego żywota!“⁵ Głęboka i krzepiąca prawda, zawarta w tych słowach, nie podlega dyskusji. Żaden badacz życia nie może nie doceniać faktu, że najnędzniejszy los i najniepozorniejsza praca mogą być uszlachetnione przez podniosłe intencje. To przeświadczenie jest istotnie jednym z tych, które przepajają otuchą i nadzieją dzieło moralnego wychowania człowieka.

Byłoby jednak fatalną pomyłką, gdybyśmy zapominali, że owe wielkie naturalne nierówności nietylko istnieją, ale trwają, i że przyrodzone dary domagają się właściwego traktowania. Czyż bowiem najbaczniejszej uwagi

⁵ *Past and Present*, ks. IV, rozdz. VIII.

ze strony wychowawcy nie wymagają właśnie te dzieci, które natura obdarzyła swemi względami, dzieci najsilniejsze, bogato wyposażone i wiele obiecujące? Tak jest! — i to z wielu względów.

a) Po pierwsze, należy pamiętać, że właśnie najbardziej bogate natury jak najmniej powinny być pozostawione samym sobie. Zaniedbanie tego, co najlepsze, prowadzi do wyników najgorszych: największe dary naturalne, niepokierowane należycie przez kształtującego charakter wychowawcę, mogą stać się największym nieszczęściem zarówno dla społeczeństwa, jak dla danej jednostki. Dość pomyśleć, co się dzieje, gdy silne uczucia i gorące porywy w złym się zwrócą kierunku, albo przywrą do spraw drobnych i małych; gdy pełen bujnej wyobraźni temperament przejdzie się niskimi celami; gdy zdolność wypowiedzania się słowem, piórem czy pędzlem będzie pozostawiona na łaskę nieobliczalnych kaprysów!...

b) Po drugie, największe uzdolnienia godne są najusilniejszych starań i z tego względu, że wiele się po nich można spodziewać. Jeżeli w pewnym znaczeniu uniezależniają one swego posiadacza od kierowniczej ręki, to w innym, głębszym znaczeniu zwiększają znaczenie takiego wpływu, stwarzając możność przyswajania go w stopniu, który może budzić zazdrość wśród mniej wyposażonych kolegów.

Uznając tedy różnice naturalne, możemy stwierdzić, że wychowanie ma dwojakie zadanie. Musi ono podnosić ogólny poziom ludzki; uznając wartość każdego człowieka, musi rozwijać każdą zdolność, choćby niewielkie budziła nadzieje. Jednocześnie musi jednak pozbyć się złudzenia, że przez jakiekolwiek podnoszenie poziomu zdoła znieść nierówności między człowiekiem a człowiekiem. Nierówności zarysują się niewątpliwie ostrzej po wychowaniu, aniżeli przed niem. Musi ono też uznać bez wahania prawa wybitnie wyposażonych z natury i starać się dać im jak najwięcej. Wynikiem tego nie będzie ni-

welacja! Czy dzieci bardziej są do siebie niepodobne w chwili wstępowania do szkoły, czy też kiedy ją opuszczają? Czy studenci, kończący uniwersytety, są bardziej czy też mniej zróżnicowani, aniżeli młodzież szkolna? Mało rzeczy jest tak pewnych, jak to, że cokolwiek wychowanie czynić będzie dla dzieci upośledzonych zarówno jak dla uzdolnionych, nie zdoła nigdy wyrównać umysłów ani charakterów!

W stwierdzeniu tej prawdy nie kryje się bynajmniej wrogi stosunek do egalitaryzmu, cechującego nowoczesną myśl demokratyczną. Chociaż bowiem zwolennicy równości zmuszeni będą uznać to znamię nierówności, jakieni przyroda i wychowanie cechują poszczególne jednostki, nie powinno to osłabiać słusznych i szlachetnych dążeń, by nietylko mierni, ale i słabi i ułomni otrzymywali więcej nawet, niż im się należy. W żadnym bowiem kierunku rozwijanie jednostek silnych przez wychowanie nie jest bardziej usprawiedliwione, jak w tym właśnie, by służyli powszechnemu dobru. Im więcej zaś będzie w społeczeństwie jednostek hojnie obdarzonych od przyrodzenia, którym wychowanie zaszczepli w również wybitnym stopniu współczucie dla ludzi, sprawiedliwość i ducha społecznego, tem lepiej też wyjdą na tem nawet najślabsi.

Ze z faktem istnienia nierówności wśród ludzi musimy się liczyć, zrozumiemy lepiej, badając poszczególne formy, w których się ona przejawia od urodzenia. Jedną z nich, i to mającą daleko sięgające znaczenie, jest temperament.

R o z d z i a ł III.

Temperament.⁶

Temperament nie jest jednym z wielu składowych czynników natury ludzkiej. Jest to raczej wynik sposobu,

⁶ Interesujące ujęcie kwestji temperamentu daje Lotze, *Mikrokosmos*, VI. B., 2. Kap.: Das menschliche Naturell.

w jaki te czynniki się z sobą łączą. O ile analiza może to wykryć, są one dość różnorodne. Powiedzieć, że dusza żyje, — to znaczy, że ona przynajmniej w sposób zaczątkowy dąży do czegoś, czuje i poznaje, oraz że weszła z ciałem w pewien stosunek, w którym przetrwa do końca życia (jeśli wolno zastosować taką przenośnię do stosunku organicznego). Od pierwszego niemal dnia życia każdy z tych czynników przejawia żywiołową tendencję, będącą w związku z całym życiem, aby różnicować się coraz bardziej. Zachodzą, oczywiście, różnice między jednostkami. Różnice te jednak nie są różnicami ostatecznych elementów, lecz wypływają ze względnej przewagi jednych czynników nad innymi.⁷ Mówimy niekiedy w pośpiechu: „ten człowiek jest pozbawiony uczucia“, „niezdolny do namiętnych porywów“, „brak mu wyobraźni“, „nie ma rozsądku“, ale nie wierzymy w to naprawdę; co najwyżej bowiem może się zdarzyć, że uczucia, namiętności, czy też inne składniki duszy znajdują się w danym osobniku w zbyt nikłej ilości. Subtelność powiązań tych składników i różnorodność ich ustosunkowań są tak wielkie, że niektórzy ludzie, nie dostrzegając wspólnych rysów natury ludzkiej, w istotach bardzo do siebie zbliżonych widzą odrębny gatunek. Pisarze często mówili o „przyrodzonej równości ludzi“; raczej należałoby stwierdzić, że ze względu na ukształtowanie duszy niema dwóch ludzi zupełnie jednakowych.

W tym wypadku człowiek praktycznie obeznany z życiem mógłby się czegoś nauczyć od filozofa, którego skłonny jest traktować z ironicznym uśmiechem, wytykając mu, że w uogólnieniach swych nie dostrzega różnic między ludźmi. *De te fabula*. Ów praktyk życiowy, nieobeznany z analizą filozoficzną, nie wie, że z samego planu budowy natury ludzkiej wynika, że skutkiem nieskończo-

⁷ Dr. Harald Höffding, *Psychologja w zarysie*, przekł. A. Mahrburga, Warszawa 1911, str. 152.

nej ilości odmian w układzie jej składników musi ona przyjmować nieskończenie wiele różnych postaci.

Temperament jest odbiciem tego układu wzajemnego składników. Wpleciony w samą tkaninę życia, zmienia wszystko, co przejmujemy z zewnątrz i warunkuje to, co czynimy. Jest on, rzec można, środowiskiem, zabarwiającem i przepuszczającym całe nasze doświadczenie. Jest on dość zmienny, ponieważ każdy wpływ, który zmienia względną przewagę omawianych czynników, *ipso facto* na nim się odbija. Będąc jednak zależny od danego nam od natury ustosunkowania naszych zdolności zmysłowych i rozumowych, jak również dążeń i uczuć w ich różnorodnych postaciach, temperament rzadko być może radykalnie przeobrażony przez najbardziej nawet energiczne wychowanie.

Z powyższych rozważań wynika, że jesteśmy na błędnej drodze, gdy dla temperamentu szukamy podłoża w którymkolwiek poszczególnym czynniku natury ludzkiej. Nie znajdziemy go ani w fizjologicznym ustroju organizmu, ani w tych wrażeniach ogólnych lub ustrojowych, które tak niewyraźnie, a jednak głęboko zabarwiają nasze nastroje; ani też w naszej wrażliwości uczuciowej. Wszystkie wymienione czynniki odgrywają pewną rolę i często działają potężnie na temperament. Ale temperament nie jest tak prosty. Jest raczej podobny do dziesięciostrunowego instrumentu, drgającego wszystkimi strunami to w ten, to w inny sposób, zależnie od ich nastrojenia.

Stąd wynika też, że temperament ma wiele odmian. Liczne kombinacje mogą powstać już z niewielu składników. A gdy się pomyśli, jak różne fazy naszego umysłowego, uczuciowego i dążeńowego życia mogą w wieloraki sposób mieszać i przenikać się wzajemnie, to stanowić to może dostateczne ostrzeżenie — zawsze pożądane przy analizie psychologicznej, — aby nie parodjować ho-

gato i subtelnie zróżnicowanych odrębności natury ludzkiej, sprowadzając je do kilku skostniałych typów.

Jednakże pewne zasadnicze typy temperamentów istnieją, i owe cztery typy klasyczne tak długo przetrwały w literaturze i praktyce i tak dalece przeżyły przestarzałą fizjologję, od której otrzymały swe nazwy, że można przypuszczać, iż doświadczenie uznało ten podział za pożyteczny. Diagnoza na nim oparta może być owocna, o ile wskazuje drogę właściwego wychowywania różnych temperamentów.

Istnieje zatem taki typ, którego charakterystyczną cechą jest łatwe i szybkie reagowanie na wszelkie wrażenia i rzeczy interesujące. Temperament ten poruszony być może przez jedno zdarzenie lub jakieś chwilowe wrażenie; gdy się go posiada w najwyższym stopniu, to trudno określić, co jest bardziej zdumiewające, czy jego pobudliwość, czy zmienność; czy jego gotowość do zainteresowania się czemś, czy łatwość przenoszenia tego zainteresowania z przedmiotu na przedmiot. To jest charakterystyczny temperament większości dzieci, dla których niefrasobliwego wejrzenia świat jest tak pełen rzeczy ciekawych, że do niczego nie mogą na czas dłuższy przykuć swej uwagi. Takie usposobienie niezawsze mija z wiekiem dziecięcym. Trwa ono dalej u wielu mężczyzn i kobiet. Są to ludzie doskonale nadający się do tego, by być przyjemnymi towarzyszami i miłymi członkami społeczeństwa; ich zainteresowania są liczne i szybkie; nie potrafią oni pobudzić ani znudzić nikogo zbyteń absorbującym przejęciem się jakąś sprawą. Są to, krótko mówiąc, „ludzie do wszystkiego i... do niczego“. Tak się przedstawia tak zwany temperament „sangwiczny“. Jego siłę stanowi szczerą i żywą wrażliwość, będąca zadatkiem radosnego i owocnego kontaktu z doświadczeniem. Dlatego radzi widzimy go u dzieci. Lecz jego zalety są też połączone z wadami. Nie jest on wytrwały w osiągnięciu celu, posiada fatalną łatwość ślizgania się po poważnych do-

świadczeniach życiowych. Nietylko nie jest zdolny do heroizmu lub poświęceń, lecz nawet zdaje się nie odczuwać ich potrzeby. Gdyby sam tylko istniał, zaludniłby świat zastępami ludzi, zdolnych jedynie do dziesięciominutowych wzruszeń.

A jednak tacy ludzie mogą być wdzięcznym polem dla pracy wychowawczej. Rzecz można, że wychodzą nam na spotkanie w pół drogi. Oszczędzają nam przykrego obowiązku budzenia zainteresowań tam, gdzie ich niema. I, jeśli tylko mogą być sprzęgnięci z wytrwałszymi towarzyszami pracy, lub wciągnięci w służbę jakiejś wielkiej instytucji, albo też jeżeli duch ich pogłębi się przez trudy lub walkę, lub jeżeli wzbudzi się w nich przeświadczenie (choćby przez odwołanie się do ich miłości własnej),⁸ że się czegoś od nich oczekuje, — wynik ostateczny może być całkiem pomyślny. Odwrotną stroną medalu stanowi to, że tak łatwo zawodzą nadzieje, które wzbudzili w swych młodych latach. Na uniwersytecie są to młodzieńcy obdarzeni zaletami towarzyskimi, wdziękiem obejścia, zdolni w ogólnem znaczeniu słowa, — aż przyjdzie chwila, gdy zaczynają o nich szeptać, iż na obiecujących młodzieńców są już za starzy. W literaturze są to ruchliwi autorzy nienapisanych książek; w interesach są to ludzie od wielu przedsięwzięć nieprzynoszących dochodów; w przemyśle „ludzie do wszystkiego“; w życiu wogóle ludzie obiecujący, którzy mogli byli „wszystko zrobić“, lecz nie potrafią, gdy się sposobność nadarzy, zmusić się do stanowczego wysiłku. Na dobro ich, czy na zło zapisać należy, że te typy sangwiniczne pomimo wszystko pozostają pogodne aż do końca i nie zdają sobie sprawy z jedyne go faktu, oczywistego dla otoczenia, że zostali zważeni i okazało się, iż im wagi nie dostaje.

Od poprzedniego różni się bardzo temperament senty-

⁸ Adam Smith posuwa się aż do twierdzenia, że „wielką tajemnicą wychowania jest skierowywanie miłości własnej ku właściwym celom“. *Moral Sentiments*, VI, 3.

mentalny, lub, jak go zwą zwykle, „melancholiczny“. Podobnie jak sangwiniczny, jest on wrażliwy i silnie reagujący, odmiennie zaś od poprzedniego nie ma ani otwartości i pogodnego poglądu na świat, ani żywego sposobu reagowania na zmieniające się wpływy. Przeciwnie, melancholik pogrąża się w nastrojach i może medytować nad nimi, dochodząc do stanu niemal chorobliwego. Pod pewnymi względami typ ten jest wyższy od poprzedniego. Nie jest chorągiewką, obracającą się w stronę każdego nowego pociągającego wrażenia. Jest w każdym razie daleki od powierzchowności. Dokonywa wyborów pomiędzy tem, co daje doświadczenie, dokonawszy zaś go, trzyma się wiernie obranego kierunku, w przeciwieństwie do zmiennego sangwinika. Głębokość zainteresowań melancholika jest niejako rekompensatą za jego brak giętkości; niezależnie od tego, jaka przyszłość go czeka, skłonny jest do brania życia poważnie. Z drugiej strony, właśnie to koncentrowanie uwagi na pewnych zjawiskach życiowych jest dla niego niebezpieczne, albowiem wiele doniosłych przejawów życia uchodzi jego uwagi, nie wywołując żadnego oddźwięku. Skłonność ta może mieć jeszcze poważniejsze skutki. Sentymentalność stać się może zasadniczą nutą; wzruszenie, będące u natur mniej jednostronnych zapowiedzią czynnego wystąpienia, przeżywają melancholicy do tego stopnia jako rzecz samą w sobie, że to tłumi w nich impuls do czynu, zamiast go powoływać do życia. Tak w każdym razie bywa często, gdy temperament znajduje strawę w literaturze i sztuce, w muzyce, poezji, czytaniu powieści i innych podobnych zajęciach, dostarczających wielu wzruszeń bez znacznego wysiłku. Stąd powstaje „Weltschmerz“ we wszystkich swoich postaciach, stąd urojone strapienie z „tych dobrych, dawnych czasów, gdy byliśmy tak nieszczęśliwi“. Stąd i te inne strapienia, już nie urojone, topiące wszystkie zapowiedzi życia w odmęcie jednego zakorzonego smutku, jednej zawiedzionej ambicji, jednego niepowetowanego błędu.

Te niebezpieczeństwa uzasadniają maksymę, na którą profesor James kładzie tak poważny nacisk: nie należy pozwalać nigdy, aby wzruszenia mijały, nie pozostawiając po sobie żadnych następstw w dziedzinie działania.⁹ Pobudzanie do czynu zawsze jest pożyteczne przy temperamencie melancholicznym. Normalnie bowiem wzruszenie nie jest czemś, coby się nie godziła z czynem. U dzieci uczucie jest wstępem do działania. Możliwym ofiarom przeczulenia należy dać zawczasu pełną radość życia i krzepkich towarzyszy, którzyby pobudzali w nich zdrowe zainteresowania zjawiskami życia zewnętrznego, gdy tylko wrażliwość ich nastrecza po temu sposobność; wychowywać je należy w środowiskach, gdzie panują energiczne, czynne zainteresowania. Nie znaczy to, byśmy mieli tłumić ich indywidualność. Natury „melancholiczne“ mają własne perspektywy rozwojowe i dużo można dla nich zrobić, kierując ich wzruszenia na przedmioty prawdziwie wartościowe, nie zaś rozrzewniające lub melodramatyczne. To jest droga do wyhodowania z melancholików ludzi o współczujących i wrażliwych sercach. Zadanie to jednak niełatwe i osobniki melancholiczne wymagają czujnego i rozważnego kierownictwa, gdy tymczasem ich sangwinierni towarzysze mogą często być bezpiecznie pozostawieni samym sobie.

W obu tych temperamentach przeważa pierwiastek uczuciowy, jakkolwiek w pierwszym jest on szczególnie ruchliwy, w drugim zaś szczególnie silny. W dwu następnych typach znajdujemy mniej uczucia, a więcej zdolności do praktycznego działania.

Tak więc cechą temperamentu „cholerycznego“ jest gwałtowność i wytrwałość w działaniu. Spotykamy się tu z silnem reagowaniem na pewien mniej lub więcej określony zakres podnieć. Jest tu poza tem silna dążność do zachowania stale danego sposobu reagowania, dążność ta

⁹ *Principles of Psychology*, tom I, str. 125.

ulega niezmiernie małym odchyleniom pod wpływem innych zainteresowań. Jest to temperament małego chłopca, który, jak Samuel Budgett, staje się „szczęśliwym kupcem“, poczynając od dnia, w którym znalazł i sprzedał starą podkowę; dziewczynki, która musi koniecznie być pielęgniarką i zaczyna swoje obowiązki od pielęgnowania lalek; chłopca, który postanawia puścić się na morze od chwili, gdy ujrzał okręt i zawarł znajomość z prawdziwym marynarzem. Nie należy jednak tego typu mieszać z typem tylko samowolnym. Bo samowolny chłopiec czy dziewczyna mogą być kapryśni i nieobliczalni, zachowanie zaś naszego typu będzie wprost przeciwne. Również niewiele wspólnego ma „choleryk“ z typem „sangwinicznym“, jakkolwiek i te dwa, jak wszystkie inne temperamenty, mogą być zmieszane. W naszym wypadku nie trzeba się obawiać lekkomyślnego rozpraszenia wysiłków. Przeciwnie, niebezpieczeństwem staje się tu uporeczywa ciasnota. W późniejszych latach może ona doprowadzić do zwężenia, a nawet okaleczenia charakteru człowieka, który dotychczas może nawet z powodzeniem przeszedł przez życie, kierowany jedną silną skłonnością praktyczną.

Silne skłonności nie są, oczywiście, same przez się czynnikiem ujemnym, wyraźne instynkty ułatwiają zadanie wychowawcy, przychodząc mu z pomocą. Gdyby tylko były zawsze tak rozsądne, tak dostrojone do okoliczności, tak dobre, jak są wyraźne! W tem właśnie cały szkopał, gdyż ze wszystkich typów ten jest najbardziej oporny. Rodzice planują, a on robi, jak chce. Z troskliwym przewidywaniem torują mu drogę do jakiejś świetnej lub szanownej kariery, a tymczasem „choleryczny“ wychowanek nie chce jej i kroczy swą własną drogą. Nie dziw, że wielu rodziców pyta się i nie znajduje odpowiedzi na dręczące zagadnienie: jak należy z takim temperamentem postępować?

Do choleryka, jak radzą niektórzy, nie należy stoso-

wać silnej i ryzykownej metody ostrego przeciwstawiania się. Wyraźnie zarysowaną skłonność można jednak zmodyfikować, a nawet opanować, jeżeli obok niej potrafimy znaleźć inny instynkt, przeciwny danej skłonności. Cała trudność polega jednak właściwie na tem, że w typie cholerycznym niezawsze takie skłonności przeciwne dają się odnaleźć. W takim razie, najlepiej jest, jak się zdaje, uznać otwarcie istniejącą skłonność i pójść jej na rękę. Ostatecznie bujność taka jest oznaką silnego życia. Musimy słuchać, gdy natura przemawia. tak wyraźnie, Panujący instynkt przy stanowczym sprzeciwie może się zamienić w namiętność.

Naturam expellas furca, tamen usque recurret.

Stąd, gdy instynkty zaznaczają się tak silnie, często najrozsądniej będzie wyszukać dla nich zdrowej i szlachetnej drogi rozwoju. Dla chłopca o usposobieniu niepokojnem i awanturnikiem będzie nią pełnienie jakiejś odpowiedzialnej i zaszczytnej służby; dla chłopca z upodobaniem do handlu — miejsce w jednej z najlepszych firm lub praktyka w poważnym domu handlowym; dla domowego majstra od zegarów, barometrów, kranów wodociągowych — warsztat rzemieślniczy i t. d. To może być połączone z pewnemi trudnościami: nie godzić się z tradycjami rodzinnemi, okolicznościami, wpływami, projektami na przyszłość. Ale ten temperament wart jest tego, by się z nim liczyć. Boć te typy choleryczne z ich władnemi instynktami były zapewne wykonawcami najtrudniejszych prac świata.

Czwarty rodzaj temperamentu, jakkolwiek opatrzony nieobiecującą etykietą „flegmatycznego“, jednak został uznany przez jednego z autorów¹⁰ za wyższy w pewnem znaczeniu od wszystkich pozostałych. Oznaką bowiem siły jest nie przerzucać się lekkomyślnie od jednego zainteresowania do drugiego, jak to czyni sangwinik; nie

¹⁰ Lotze, *Mikrokosmos*, ks. VI. rozdz. 2.

być zdany na łaskę nastrojów, jak melancholik, ani też nie być opanowanym przez jakiś górujący nad wszystkim popęd, jak choleryk, a to są właśnie cechy flegmatyków. Natury te, tak trudne do poruszenia, zadziwiają często świat cały przejawami sił, gromadzących się powolnie pod flegmatyczną powłoką. Takie właśnie usposobienie jest przedmiotem dumy Anglika, tak chętnie chełpiącego się, że nie jest podobny do swych popędliwych, lekkomyślnych lub sentymentalnych sąsiadów.

Jest to może słuszne, gdy chodzi o pewien typ charakteru. Cechuje go poza tem wrodzona ociężałość, usposabiająca niechętnie zarówno do pośpiechu w działaniu, jak do wszelkich wstrząsów emocjonalnych, a jeszcze bardziej do szybkiego zmieniania zainteresowań. Można też przyznać, że typ ten, w którym trzeba najpierw przełamać pewną zaporę, zanim wrażenie wywoła reakcję wzruszeniową, lub wzruszenie przejdzie w działanie, posiada siłę i stałość, której brak innym typom. Jest on w każdym razie daleki od pozornej działalności i pozornej sympatji, które powstają zazwyczaj poprostu z powodu słabego oddania się sprawie. Dopuścilibyśmy się jednak błędowi, przypisując temperamentowi to, co jest w większości wypadków rezultatem moralnej dyscypliny. Flegmatyczny temperament, jakiegokolwiek są jego zalety, odznacza się taką tępotą uczuciową, że doprowadza do rozpaczy wychowawców. Inne temperamenty nie są bądź co bądź tak niedostępne. Flegmatyczny osobnik natomiast nie daje możności dotrzeć do swego wnętrza. Pod zwierchnią powłoką mogą być ukryte prawdziwe skarby, lecz powłoka jest, lub wydaje się, nieprzenikniona. Człowiek taki (lub chłopiec) nie okazuje tego, do czego jest gotów, ani nie reaguje na próby, którym go poddajemy, aby go wy badać. A przecież, według przysłowia angielskiego, zdechły koń trudniejszy jest do ujeżdżenia od brykającego. Najlepszy zapewne sposób postępowania z tym typem polega na tem, by nie licząc na jego myśli i uczucia, obciążać go

do możliwych granic odpowiedzialnymi, praktycznymi obowiązkami, oraz stawiać go wobec zadań, któreby wydobły z niego wszystkie te ociążałe siły, jakie posiada.

To krótkie wyliczenie temperamentów mogłoby być łatwo rozszerzone. Możemy np. rozróżniać temperamenty rzeźkie lub przygnębione, pełne zaufania do siebie lub nieśmiałe, wybuchowe lub wahające się, zacięte lub wyrachowane, uległe lub odporne i t. d. Wychowawcy, będący w ścisłym zetknięciu z gromadami dzieci, mogliby oddać rzetelną usługę przez układanie własnych klasyfikacji. Rezultaty mogłyby być ciekawe nie tylko z teoretycznego punktu widzenia, gdyż staranne rozpoznanie typów wśród dzieci jest pierwszym krokiem do jasnego zdania sobie sprawy, jakiego traktowania każdy z nich wymaga.

Rozdział IV.

Zdolności, instynkty, pragnienia.

Wbrew stoickiemu paradoksowi (niepozabawionemu zresztą słuszności), że kto posiadał jedną cnotę, posiada wszystkie inne, byłoby absurdem twierdzić, że każdy ma jednakową dyspozycję do każdej cnoty. Ileż to razy właśnie dlatego podziwiamy cudze cnoty, że tak trudno nam jest je w sobie rozwinąć. Wszelkie aktualne zdobycze moralne są, krótko mówiąc, głęboko uwarunkowane aż do ostatka przez szczególne przyrodzone usposobienie człowieka.

Możemy to nazwać zależnością od wrodzonych dyspozycji. Dyspozycje zaś nasuwają nam zaraz na myśl dwie bardzo pomyślne przysługujące im właściwości.

a) Pierwszą z nich jest to, że człowiek posiada zdolności bardzo wiele. Według powszechnego zdania, człowiek góruje nad zwierzętami tem, iż przychodzi na świat bogato uposażony w zdolności. Jak stosunkowo ubogo przedstawiają się możliwości rozwoju nawet u najwyż-

szych typów świata zwierzęcego; jak stosunkowo nieograniczone — o czem nie omieszkali przypominać nam w ciągu wieków moralizatorzy — są możliwości, ukryte w najskromniejszej kołysce!

b) Drugą cechą charakterystyczną jest wybitna plastyczność zdolności. Jakkolwiek zmuszeni jesteśmy przypuszczać, że każda zdolność ma niejako własną indywidualność i zapuszcza głęboko swe własne korzenie w naturze ludzkiej, to jednak zwykłe nasze zdolności, w przeciwieństwie do tych wyraźnie określonych form zdolności, jakimi są instynkty, nie opierają się uparcie modyfikującym wpływom człowieka lub warunków istnienia. O tyle przynajmniej słuszną pozostaje przestarzała doktryna, że przez wychowanie możemy dowolnie kształtować człowieka. Jakkolwiek bowiem ewolucjoniści obalili tę doktrynę, wykazując, że każdy młody osobnik jest spadkobiercą bogatej spuścizny dyspozycyj, z którymi trzeba się liczyć, to jednak i oni pośpiesznie dodają, że te dyspozycje są nadzwyczaj plastyczne w rękach wychowawcy.¹¹ I to, oczywiście, jest zachęcające.

Ważną jest rzeczą rozróżnić co najmniej trojakię znaczenie wieloznacznego wyrazu: usposobienie. Używając go, możemy mieć na myśli głównie, jeżeli nie wyłącznie, skłonność do szukania przyjemności, unikania przykrości; albo też możemy rozciągnąć tę nazwę na wyraźne i zdecydowane popędy, zwane pospolicie instynktami; albo wreszcie możemy rozumieć przez to słowo rodzaj popędów, z jednej strony, nie tak określonych, jak instynkty, ale, z drugiej strony różnych jednak od zwykłych upodobań do przyjemności i odrazy do cierpienia.

Otóż, jeśli weźmiemy usposobienia w pierwszym rozumieniu, nie możemy zaprzeczyć, iż przedstawiają one podatny grunt dla oddziaływania wychowawczego. Wrodzony pociąg do przyjemności, wrodzona odraza do cierpie-

¹¹ Por. Lloyd Morgan, *Habit and Instinct*, str. 333.

nia są czynnikami natury ludzkiej, nie dającymi się usunąć.

Zwłaszcza jeżeli chodzi o cierpienie, obrona przed niem jest naszym pierwszym i ostatnim instynktem. Nienawidzimy cierpienia. Gdybyśmy mogli, oddalilibyśmy wszelką myśl o niem. Nawet ci, dla których straciły już urok radości życia skutkiem wyniszczenia ciała i duszy, mają zazwyczaj jeszcze dość energji, by się bronić przed cierpieniem. W tej walce nie kapitulują nigdy. Moznaby więc sądzić, że gdy inne środki zawodzą, możemy przynajmniej liczyć na skuteczność odwołania się do możliwości cierpienia.

Jest również rzeczą niewątpliwą, że wspomnienia przyjemne i przykre mogą przez kojarzenie być silnie zespolone z przeważną częścią tych rzeczy, do których należy dążyć lub których należy unikać w dziedzinie myślenia i działania. Skojarzenie może być wytworzone stopniowo na drodze powtarzań lub w rzadszych wypadkach przez jedno silnie na całe życie wrażliwe się w pamięć doświadczenie; tak czy inaczej wytworzone skojarzenie może się stać bezwątpienia rozszerzalnym. Na myśl o takim a takim postępowaniu człowiek wzdryga się natychmiast z uczuciem odrazy do związanej z niem przykrości; na myśl o innym odczuwa oczekującą go przyjemność, która pociąga go nieodparcie. Nawet asceta, wyrzekający się wszelkich rozkoszy życia, wie dobrze, jak się posłużyć cierpieniem, by przez nie kierować naturę ludzką na drogę cnoty. Zaprzeczać temu byłoby równoznaczne z nieuznawaniem oczywistych faktów.

Skojarzenia takie są wytworami nie tylko ludzkiej pomysłowości. Z łaski natury, jak to już zaznaczył Arystoteles w dziesiątej księdze swojej „Etyki“, człowiek jest tak urządzony, że normalnemu funkcjonowaniu wszelkich jego sił towarzyszy przyjemne uczucie, jak zdrowie wyraża się rumieńcem na twarzy młodzieńczej, natomiast ich anormalne funkcjonowanie pociąga za sobą cierpie-

nie. Zasada ta nie jest, co prawda, jak się zdaje, bezwzględna. Śmiertelne trucizny mogą wywoływać wrażenia przyjemne; z drugiej strony wątpliwą jest rzeczą, czy bohaterska odwaga, dzięki której składa się życie w ofierze na polu walki (jak to przyznaje Arystoteles), może być nazwana przyjemnością.¹²

Uogólnienie w ogólnych zarysach pozostaje jednak słuszne. Natura dopomaga nam w tym wypadku; — łącząc z każdym rodzajem postępowania odpowiednie przyjemności lub cierpienia, daje nam dodatkowe bodźce. Do tych „naturalnych przyjemności“ możemy się z zaufaniem uciekać, jak do wypróbowanych sojuszników. A jeśli natura nas zawodzi, to możemy w tym względzie, jak w każdym innym, ulepszać jej działanie. Jeżeli naturalne zadowolenie z wypowiedzenia prawdy i przewyciężenia pokusy do kłamstwa nie jest dostateczną podniętą, możemy dorzucić na szalę obietnicę przyszłej nagrody; jeżeli naturalna przykrość spowodowana kłamstwem nie wydaje nam się dostatecznym hamulcem, możemy wywołać w wahającym się umyśle winowajcy obraz tego, co o nim będziemy myśleć, albo co mu uczynimy, w razie jego upadku. Niepodobna zatem zaprzeczyć, że można się posłużyć w wychowaniu owym pociągami do przyjemności i odrazą do przykrości.

Mamy powody przypuszczać, iż z tych dwu środków odwołanie się do obawy przykrości jest skuteczniejsze z następujących względów:

a) Ponieważ, po pierwsze, ruchy wywoływane obawą cierpienia zdają się być szybsze i sprawniejsze nawet od tych, jakie powoduje rzeczywisty ból. Posłuszeństwo np. może być osiągnięte albo zapomocą groźby, albo zapomocą obietnicy nagrody. Oba motywy mogą mieć wpływ. Ale czy drugi działa równie szybko i zdecydowanie, jak pierwszy? Obawa cierpienia powoduje niewątpliwie szybszą

¹² Arystoteles, *Etyka*, ks. III, rozdz. IX, w. 3.

reakcję. Stąd właśnie płynie aż nazbyt silna pokusa uciekania się do tego środka. Jest to więc sposób postępowania dogodny, a jednak tak często zbyt uproszczony i opłakany w skutkach.

b) Pówtóre, działanie zapomocą budzenia obawy przed cierpieniem przedstawia jeszcze i tę korzyść — i to nie małą — że, używając tego środka, mniej narażamy młodociane umysły na błędne mniemania o tem, co stanowi ich zwykłą powinność. Przypuśćmy, iż mamy do czynienia z dwoma chłopcami, z których pierwszego przyzwyczajono do mówienia prawdy zapomocą groźby kar, drugiego skłoniono do tego przez obietnice nagród. Żaden z nich nie jest doskonałością i cnota obydwóch jest wyuczona. Lecz pierwszy w każdym razie uniknie błędnego przypuszczenia, że prawdomówność jest czemś więcej, niż można wymagać od przeciętnego człowieka. W przeciwnym bowiem wypadku dla czegożby kłamstwo miało być karane? Natomiast drugi nazbyt łatwo może popaść w pochlebne mniemanie, iż prawdomówność jest szczególną zasługą. W przeciwnym bowiem razie dla czegożby mówienie prawdy miało być nagradzane? Jasną jest rzeczą, iż w drugim wypadku możemy łatwo obniżyć wymaganie prawdomówności. Wdrażanie do zwykłych obowiązków życiowych zapomocą groźby może, co prawda, stworzyć niewolnika, lecz niewolnik ten uniknie przynajmniej zgubnego przekonania, iż spełnienie pospolitego obowiązku zasługuje na nagrodę.

c) Należy dodać, że w pewnym wypadku cierpienie i obawa przed niem mogą stać się szczególniejsze skuteczne. Tak bywa, gdy istnieją dobre skłonności i pomyślne instynkty, i są nawet dość silne, ale są otamowane przez jakąś słabość czy przywarę, która nieszczęśliwie zagraża im drogę. Jeżeli wówczas tylko cierpienie może być użyte dla usunięcia zła, to może ono sprawić cudowne skutki przez wyzwolenie dobra.

Widzimy to często na szerszej arenie życia. Natury

rdzennie zdrowe i nawet bogato uposażone, owładnięte jakimś fatalnem zaślepieniem, jakąś niegodną namiętnością, jakimś złym nałogiem, chęcią błyszczenia, lub ulegające pokusie wygod i lenistwu, mogą być radykalnie uwolnione od tych wad przez gorzkie, lecz zbawienne lekarstwo rozczarowań i cierpień. Wynikiem tej kuracji bywa zmiana życia. Ludzie nazywają to czasem moralnem odrodzeniem; raczej jednak można to nazwać moralnem wyzwoleniem.

Ta sama rzecz dzieje się na mniejszą skalę w życiu szkolnem i domowem. Zdarzają się chłopczy obdarzeni zdrowymi instynktami i dobrymi skłonnościami, a jednocześnie niedbali, niepunktualni, leniwi, psotni, niesforni i t. p. Wady te, będąc jedynie niezbyt głęboko zakorzenionemi naleciałościami, mogą jednak wypaczyć rozwój charakteru w większym stopniu, niżli się to nawet nieraz przewiduje. Wtedy zachodzi możliwość leczenia przez zastosowanie kary. Przez karę bowiem w porę zastosowaną można to osiągnąć, że się wykorzeni pasorzytniczą wadę i uświadomi winowajcy jej prawdziwe znaczenie. Wówczas dobro, znajdujące się w nim, będzie miało więcej danych, aby się wydobyć na powierzchnię życia. Do leczenia zatem zapomocą cierpienia nie nadają się najgorsze wypadki, kiedy to mało jest dobrego, a dużo złego. Stosowanie cierpienia jest tylko wówczas zbawienne, gdy może się sprzymierzyć z dobrem w jego walce z przeczystawiającem mu się złem.

Nie trzeba też zapominać, że istnieją jeszcze inne sposoby posługiwania się przykrościami i przyjemnościami, oprócz odwoływania się do przewidywanych następstw. Jest zupełnie możliwe uczynić tak, że myśl o dobrym uczynku będzie sama przez się przyjemną bez oglądania się na te przyjemności, które mają być w przyszłości rezultatem dobrego czynu. Człowiek może żyć dla pośmiertnej sławy, myśl ta może być tak przyjemna, że będzie dlań bodźcem do niezmordowanej pracy, a jednak jasnem

jest, iż ta myśl nie jest oczekiwaniem jakiejś mającej być kiedyś doznawaną przyjemności. Tak samo rzecz się ma i w innych wypadkach. Nauczyciel może osiągnąć to, że czytanie Wergiljusza będzie dla uczniów przyjemnością, a jednak nie robi nic dla wytworzenia fatalnego przekonania, że celem całego studjowania Eneidy jest przyjemność. Moralista może się starać o to, by myśl o obowiązku uczynić przyjemną samą przez się, a jednak nie podsunie myśli, że spełnienie obowiązku pociągnie za sobą nagrodę w formie przyjemności. Któż zaprzeczy, że myśl o jakimś akcie poświęcenia, choćby on prowadził nawet do cierpienia, może nas napełniać podniosłą i natchnioną radością? W drobniejszych sprawach dzieje się podobnie. Jest rzeczą godziwą, żeby trud codziennego życia opromieniony był radością i weselem. Ale niekoniecznie trzeba wywoływać przewidywanie przyszłych przyjemności, co gra tak dużą rolę w doktrynie hedonistów.

Biorąc pod uwagę wszystko, co na ten temat było powiedziane, — a nie zapominamy przytem o licznej towarzystwie hedonistów od Arystypa do Milla i Spencera, — trzeba jednak stwierdzić, i to z całą stanowczością, że rola, jaką wyznaczyć należy skłonności do szukania przyjemności i unikania przykrości w kształtowaniu charakteru, nie jest bynajmniej pierwszorzędna.

Nie ta zdolność bowiem, ale instynkty dają wychowawcy największą sposobność do działania. Wyszukiwać instynkty dobre i czuwać nad nimi z niezmordowaną troskliwością, tropić instynkty, które uważamy za złe, niebezpieczne lub nieużyteczne, i używać dobrych instynktów dla zwalczania złych — to jest wielkie zadanie wychowania moralnego.¹³ Bo wiek młody dąży zawsze naprzód, oddaje się rzeczom, które go interesują jedynie dlatego, że zadowolają jego instynktowe dążności. A że jego zdolność przewidywania i zastanawiania się jest je-

¹³ Por. str. 56—57 i 89—90.

szcze nierozwinięta, przeto nigdy nie zatrzymuje się, a nawet nie może zatrzymać się poto, ażeby wyróżnić cechę dającą przyjemność od siły pociągającej konkretnego przedmiotu, który budzi górującą w danej chwili namiętność. Prostu przedmiot przemawia do instynktu i to z taką siłą, że, jak dowodzą pospolite doświadczenia, silny instynkt nie da się stłumić ani przez ból, ani tem bardziej przez zapowiedź bólu, napotykaną w tem zapamiętaniem dążeniu.

Nawet w latach dojrzałych, gdy myśl o rozkoszy i bólu oddawna już oddzieliła się od tkaniny życia, instynktowne zamiłowanie do przygód, sportu, posiadania, a nawet do książek i filozofji, może uparcie opierać się wszelkiej kontroli, narzucanej bądź przez rozsądną radę, bądź też przez karcące doświadczenie. Tem bardziej możemy się tego spodziewać od tego wieku, który dopiero uczy się przewidywać, gdy młode i ciekawe oczy nie są skierowane nawewnątrz ku przyjemnościom i przykrościom, lecz nazewnątrz ku bogatej dziedzinie interesujących zjawisk, nasuwanych przez świat wiecznie spragnionym instynktom. Choć nie pragniemy należeć do szczupłej mniejszości przeciwników powabów życia i godzimy się otwarcie z faktem, że natura ludzka je lubi i za niemi tęskni, nie możemy jednak popełnić tej fatalnej pomyłki, by zapomnieć, że dostarczanie przyjemności jest tylko jedną z właściwości instynktownie przez nas pożądanых rzeczy. I, chociaż zbędnem byłoby przypominać, że przyjemności mogą grać główną rolę w późniejszym życiu niektórych z nas, to jednak w jego początkach nie są one tak dobrze znane, dopóki instynktowa skłonność nie popchnie nas ku przedmiotom, które ich dostarczają. Utylitaryści oddawna starali się nawrócić świat na swój dogmat, który głosi, że każde pragnienie jest w gruncie rzeczy pragnieniem przyjemności. Powołując się na prawo natury, że przyjemność jest zwykłym następstwem każdej zdrowej funkcji, błędnie uważali następstwo czynno-

ści za jej cel. Prawda, że każde pożądanie ma na celu rzecz, dostarczającą przyjemności, przekręcona tu została na fałsz, że każde pożądanie jest pożądaniem przyjemności, którą ta rzecz daje. Jest to odwrócenie porządku przyrody. Nie jemy przecież dla przyjemności jedzenia, nie kochamy naszych rodziców dla przyjemności, którą w tem znajdujemy; pomagamy naszym przyjaciołom nie dla przyjemności, którą im zawdzięczamy; oddajemy się nauce i sztuce nie dla przyjemności studjowania. Do wszystkich tych rzeczy zwracamy się przedewszystkiem przez instynkt lub przyzwyczajenie, poczem dopiero następuje przyjemność i często przychodzi tem pewniej, im mniej była naszym pierwotnym celem. Jest to prawdą zwłaszcza w zastosowaniu do młodego wieku. Te też wolno przypuszczać, iż gdyby hedoniści zastosowali swoją analizę do postępków własnych dzieci, przekonaliby się, że różnorodne pożądanie młodzieńcze nie dadzą się wytłumaczyć pragnieniem przyjemności i unikaniem bólu, jak nie można w ten sposób wytłumaczyć instynktowych popędów świata zwierzęcego. „W wielu wypadkach“, mówi Darwin, „jest prawdopodobne, że stale ulegamy instynktom poprostu przez dziedziczność, przyczem bodziec przyjemności i bólu nie wchodzi tu w grę... Stąd pospolite mniemanie, że bodźcem każdego działania ludzkiego jest doznawana przyjemność lub przykrość, jest zapewne mniemaniem błędnem.¹⁴

Stąd płynie wniosek, że gdy wychowawca — ojciec, nauczyciel czy kaznodzieja — staje wobec pytania: „Do czego w naturze danego chłopca czy dziewczynki trzeba się głównie odwołać? czy do skłonności szukania przyjemności i unikania bólu, czy też do instynktów?“ — odpowiedź musi wypaść na korzyść instynktów. Zauważyli to już najwięksi filozofowie i moralisci greccy, że cnota zakorzenia się najgłębiej w charakterze człowieka wów-

¹⁴ *Descent of Man*, II. wyd., str. 105.

czas, gdy jej ziarna zostały posiane przez naturę w formie skłonności, posiadanych przez nas „od urodzenia”.¹⁵

Dla wyjaśnienia rozpatrzmy dokładniej, co to są instynkty.¹⁶

Ich główne cechy charakterystyczne są dość dobrze znane. Instynkty są dążeniami, mniej lub więcej złożonymi, do ruchu (powołują one do współdziałania cały organizm). Odpowiadają one na bodziec prawie tak szybko, jak odruchy. Przejawiają się z uderzającym uporem; ponad wszystko zaś są zupełnie określone. W świecie zwierzęcym kurczę zaledwie wylęgnięte dziobie z zadziwiającą trafnością rozsypane ziarno, pszczoła sadowi się na kwieciu, kot, od dzieciństwa mięsożerny, poluje na mysz zgóry mu przeznaczoną. Podobnie się rzecz ma w świecie ludzkim; dziecko bez wahania zaspokaja głód i pragnienie, lub zaciska mocno drobne paluszki na pierwszej swej zabawce, zaczyna być małym tyranem dla zwierząt domowych i naśladuje wszystkich swych znajomych.

Nic niema bardziej zdumiewającego, jak zorganizowana reakcja instynktu w stosunku do małości bodźca. Bodziec może być porównany do kurka broni palnej: wyzwala natychmiast utajoną energję w postaci ruchu zadziwiająco określonego i celowego. Skłonności instynktowe są równie wybuchowe, jak ściśle określone. A jednak te wprawiające nas w podziw wyczyny nie są owocem uprzedniego wychowania. Jest to stary i dobrze znany cud. Bez szkoły i nauczyciela, w otoczeniu zupełnie nowem, ci niewyuczeni znawcy przyrody wybierają sposób postępowania z szybkością i nieomylnością doświadczonych starych. Nic dziwnego, że biologowie starali się

¹⁵ Arystoteles, *Etyka*, ks. VI, rozdz. XIII.

¹⁶ Lloyd Morgan, *Habit and Instinct*, str. 4 i nast. oraz 327 i nast.; James, *Principles of Psychology*, rozdz. XXIV.

widzieć czasami w tych wyczynach działanie „nieświadomej inteligencji“. Istotnie, gdyby inteligencja wyraźnie kierowała tym mechanizmem, nie potrafiłaby ona osiągnąć z większem powodzeniem swych zamierzeń. Tem bardziej jest to zastanawiające, że cele nie są tu zamierzane. Instynkt odwraca przysłowie, że drogę należy zobaczyć, nim się na nią wstąpi. Niech tylko ukaże się bezpośrednio przedmiot, czy to będzie pokarm, ciepło, schronienie, przedmiot, który można osiągnąć, pociągający przykład, czy co innego, a natychmiast następują działania w celu jego osiągnięcia. Dąży się doń „na ślepo“, oczywiście, nie w tem znaczeniu, że nie widzi się przedmiotu. Widzi się go i to zwykle z nadzwyczajną bystrością. Lecz nie widzi go się w świetle tego, co nastąpi po jego zdobyciu, i to jest fakt, mówiąc mimochodem, z którego od dawna korzysta rodzaj ludzki przy zastawianiu sidła i obmyślaniu przynęt nawet dla najinteligentniejszej arystokracji z pośród swych „biednych towarzyszy, śmiertelnych dzieci ziemi“. Instynkty ludzkie z początku prawie że nie stoją wyżej od zwierzęcych. Bez przewidywań, bez obliczania wyników (zwłaszcza hedonistycznych), dzieci jedzą, piją, bawią się, naśladują, szukają z zaufaniem ludzkiej twarzy, lub też z bojaźnią jej unikają, „leży to bowiem w ich naturze“.¹⁷

Stąd doskonałe określenie instynktu: „dyspozycja do działania w ten sposób, aby osiągnąć pewien cel bez jego przewidywania i bez poprzedniego kształcenia się w tej czynności“.¹⁸

Do tego ogólnego określenia instynktu należy dodać

¹⁷ Mały chłopiec z gór szkockich, schwytyany na gorącym uczynku namiętnej jazdy na skradzionym kucu w niedzielę i karcony za to przez jednego ze starszych członków parafji, na zapytanie: „czy wiesz, że to, co robisz, jest bardzo złe?“, odpowiedział niepoprawnie: „O, ja muszę to robić pomimo wszystko!“. Tak przemawia prawdziwy instynkt.

¹⁸ James, *Principles of Psychology*, tom II, str. 383.

pewne cechy charakterystyczne, posiadające specjalne znaczenie wychowawcze:

1. Pierwszą cechą jest wielka ilość instynktów. Twierdzenie to należy obronić przed możliwym zarzutem. Niektóre bowiem powagi naukowe twierdzą, że człowiek tem właśnie różni się od zwierząt, iż posiada mało instynktów. Wiele zdolności i mało instynktów, tak brzmi szeroko rozpowszechniona diagnoza.

Należy przyznać, że jeżeli „instynkt“ pojmiemy w sensie ściśle biologicznym, to przytoczone twierdzenie będzie słuszne. Zapewne, człowiek ma niewiele instynktów, odznaczających się w pewnej mierze taką szybkością lub określonością, jak dyspozycje zwierzęce. Przyznając to, ważną jest jednak rzeczą powtórzyć, zgodnie z wyżej uczynionem rozróżnieniem, że człowiek obdarzony jest wieloma skłonnościami, które nie mogą być uważane za skłonności do szukania przyjemności i unikania przykrości (jakkolwiek przykrości i przyjemności nieodłącznie im towarzyszą). Skłonności te są tak, jak instynkty, wrodzone i niewyuczone. Jak instynkty, skierowane są one nazewnątrż ku przedmiotom, nie zaś nawewnątrż, ku oczekiwanyim przyjemnościom lub przykrościom. Podobnie jak instynkty, nie zawierają w sobie przewidywania celu. Jak instynkty, wreszcie, aczkolwiek słabsze i o mniej zdecydowanej formie, towarzyszą naszym wysiłkom, gdy natrafiamy na przedmioty, które, zgodnie z przystosowaniem naturalnem, zdolne są pobudzić je do działania. Otóż, oczywiście, możemy, jeśli tak wolimy, nie godzić się na nazywanie tych skłonności „instynktami“. Nie gra to roli, jak je nazwiemy, bylebyśmy się zgodzili, że istnieją i że mają wielkie znaczenie praktyczne. Ze względu na to jednak, że mają tak wiele wspólnego z instynktami i że powinny być wyraźnie odróżniane od skłonności do szukania przykrości i unikania przyjemności, praktyczniej jest umieścić je pomiędzy instynktami w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wtedy będziemy w zgodzie z profesorem

James'em, który twierdzi wbrew powszechnej opinji, że człowiek obdarzony jest wielu instynktami.¹⁹

2. Po drugie, tak pojęte instynkty ludzkie wymagają wpływów wychowawczych, choćby z tego względu, że skutkiem pewnych cech nie mogą być pozostawione bezpiecznie samym sobie.

a) Jedną z takich cech jest to, że są one przejściowe. Dojrzewają w pewnym okresie życia i, jeśli się nimi w porę nie zająć i nie zamienić na przyzwyczajenia, to marnieją i giną. Stąd, jeżeli są dobre i obiecujące, ważną rzeczą jest wziąć je w ręce, stąd również szkody, wynikające z ich zaniedbania we właściwym czasie: Prof. James wyłożył tę sprawę tak przekonywująco, że trudno mieć w tej sprawie inne zdanie.²⁰ „Jeżeli chłopiec wychowuje się samotnie w wieku upodobania do gier i sportów i nie nauczył się grać w piłkę, wiosłować, rozwijać żagle, jeździć konno, ślizgać się, łowić ryby lub polować, to prawdopodobnie będzie prowadził siedzący tryb życia aż do śmierci; i, choćby najlepsze sposobności do uprawiania tych sportów trafiały mu się w późniejszym wieku, w stu wypadkach na jeden przejdzie nad nimi do porządku dziennego, obawiając się przy stawianiu pierwszych kroków wysiłku, który w latach wcześniejszych byłby go napełniał mocną radością... W pedagogji bardzo ważną jest rzeczą kuć żelazo póki gorące i uchwycić przyptyw interesowania się wychowanków różnemi przedmiotami, zanim nastąpi odpływ, aby starczyło czasu na nabycie przez nich wiadomości i zręczności w danej dziedzinie; krótko mówiąc, chodzi tu o wytknięcie głównej linii zainteresowania, po której dany osobnik może kroczyć dalej. Oto nadeszła w życiu chłopca szczęśliwa chwila dla

¹⁹ James, *Principles of Psychology*, tom II, str. 393; i Lloyd Morgan, *Habit and Instinct*, str. 327. „Pierwszą kwestją, która nas uderza, jest, jak dalece to, co wrodzone, w dziedzicznym uposażeniu człowieka przeważa nad tem, co jest instynktowne“ i dalsze.

²⁰ James, *op. cit.*, tom. II, str. 401.

ustalenia zręczności rysunkowej, dla zrobienia zeń miłośnika kolekcji przyrodniczych i t. p.... Odkryć moment instynktownej gotowości do zajęcia się danym przedmiotem jest zatem jednym z pierwszych obowiązków każdego wychowawcy“.

Trudno nie uznać mądrości tych słów. Jej potwierdzeniem jest zarówno życie pełne rozmachu, w którym ani jeden silny i zdrowy instynkt nie czekał napróżno na zaspokojenie, jak beznadziejność spóźnionych usiłowań, zmierzających do wzbudzenia w sobie zainteresowań, na które stosowny czas już dawno minął. Froebel powiedział zupełnie trafnie, że każdy okres życia naszego ma swoje własne nakazy i nie należy go skracać, zbyt pośpiesznie dążąc do osiągnięcia następnego stopnia rozwoju. Niezasilenie instynktów wporę powoduje bowiem nietylko zepsutą i nieszczęśliwą młodość, ale i zubożały wiek męski.

b) Nawet podczas najpełniejszego rozwoju instynkty działają z przerwami, są one bowiem tak blisko spokrewnione z uczuciami, że nieraz trudno je odróżnić od zewnętrznych objawów uczuciowych. Dlatego też są skazane na łaskę i niełaskę naszych chwilowych nastrojów.

„Cięży mi brzemię przypadkowych pożądań“, woła Wordsworth,²¹ mówiąc o człowieku, który, chociaż hojnie obdarowany przez naturę, żyjąc z jej łaski, uznaje swą słabość. Życie bowiem nie dostosowuje swych nakazów do naszych nastrojów. Lichy byłby to obywatel kraju, któryby działał jedynie wtedy, gdy go poruszy gorące uczucie patriotyzmu, lub chęć stania się użytecznym; niewiele dokonałby student, zabierający się do swych książek tylko wtedy, gdy przyjdzie ochota. Jeżeli zadania życiowe mają być wypełnione, musimy się kierować czemś stalszym i bardziej obliczalnym, niż instynkty.

c) Pozostają do omówienia jeszcze dalsze braki instynktów. Nawet najbardziej określone, innymi słowy,

²¹ *Ode to Duty.* „Me this unchartered freedom tires,
I feel the weight of chance desires“.

najbardziej instynktowne z naszych instynktów mogą być, jeżeli chodzi o ich moralny kierunek, nieokreślone. Człowiek nie dąży do cnoty z taką przyrodniczą koniecznością, jak płomień ku górze, i nie rozwija zalet swego charakteru w ten sposób, jak roślina rozwija się w świetle słońca.²² Nawet w granicach tego samego instynktu istnieje w człowieku możliwość rozwoju w różnych kierunkach. Gdy dziecko np. przejawia przemożny instynkt posiadania, któż może przewidzieć, czy dalszy rozwój pójdzie w kierunku oszczędności, czy skąpstwa? Gdy żądne jest pochwał, nie wiemy, czy wyniknie stąd próżność, czy też tylko „miłość miłości ludzkiej“, której próżność jest marnem naśladownictwem. Jeżeli wszystkie instynkty danego dziecka skłaniają je do obdarowywania innych, nie wiemy, czy stanie się ono w przyszłości dobrodusznym rozrzutnikiem, czy też szlachetnym filantropem, uważającym, że posiadanie majątku wkłada nań obowiązki społeczne. Każdy instynkt może się znaleźć na takich rozstajnych drogach. Nie dajmy się wobec tego ludzić płytkiej wskazówce: „ufajcie instynktom dzieci“. Nie ulega wątpliwości, iż należy badać instynkty dzieci, śledzić ich objawy i skierowywać je na właściwą drogę, dają nam one bowiem, jak to już stwierdziliśmy, sposobność do wywierania wpływów wychowawczych. Nie trzeba im jednak ufać, pomnąc, że jedynym rodzajem instynktu, na którym można rzeczywiście polegać, jest ów instynkt uszlachetniony, który zwiemy cnotą.

d) Potwierdzeniem tego, cośmy wyżej powiedzieli, jest fakt, że z biegiem czasu i wskutek ciągłego rozwoju instynkty osiągają wyższe formy, które jeszcze wyraźniej domagają się ręki wychowawcy.

Wyraziliśmy już przekonanie, że instynkty ludzkie wcale nie są tak pewne i zdecydowane, jak instynkty zwierzęce. Istotnie, następujące po sobie pokolenia ludz-

²² Por. Arystoteles, *Etyka*, ks. II, rozdz. I.

kie mają do czynienia z tak różnemi warunkami życia, iż przystosowanie ich musi być ogromnie zmienne. Skutkiem tego tendencje, które dane pokolenie dziedziczy i przekazuje, nie mogą budzić takiego zaufania, jak instynkty stworzeń, które powtarzały z ufnością czynności swych przodków na długo, zanim pierwszy człowiek począł myśleć. Okoliczność ta jest ważnym czynnikiem w rozwoju ludzkości. Gdyby dzieci dążyły do przedmiotów swych pożądań ze sprawnością mechanizmu zegara, (lub choćby instynktu zwierzęcia), to wychowawcy nie mieliby punktów wyjścia. Całe szczęście, że tak nie jest. Ich chwiejność domaga się interwencji, a zarazem stwarza dla niej pomyślne warunki.

Ta nieoceniona chwiejność jest w dodatku tem większa, iż instynkty są liczne i często zwalczają się nawzajem. Tak np. instynkt gromadzki, pobudzający człowieka do obcowania z bliźnimi, może stać w sprzeczności z instynktowną obawą, a nawet odrazą do obcych twarzy; chciwość, wyrażająca się w pociągu do posiadania każdego nowego przedmiotu, może się kłócić z nieufnością, która wzbudza obawę przed nowem otoczeniem; próżność, szukająca powszechnego uznania, walczy z nieśmiałością, pragnącą ukryć się pod ziemię; przyjacielskie uczucie skłania małych chłopców do wymiany podarunków, a w parę chwil później zazdrość lub instynkt walki pobudza ich do stoczenia pierwszej bitwy.

Nasuwa się tu refleksja, iż my, biedne istoty ludzkie, męcące sobie chwile szczęścia niespokojnem oczekiwaniem czegoś lepszego lub żalem za czemś nieosiągniętem, możemy właściwie zazdrościć zwierzętom ich cichego, spokojnego życia. Jeśli nam wolno jednak odrzucić pozę, musimy zapytać, czy zwierzęta nie stają się czasem przedmiotem tej zazdrości właśnie dlatego, że są tak ubogie duchem? Jeżeli ich życie upływa w pełnej harmonji, to dlatego, że ich przyrodzone wyposażenie zawiera w sobie tak mało możliwości dysonansów. Mało mają konflik-

tów wewnętrznych, gdyż mają względnie mało instynktów. Z człowiekiem inaczej: niepokój, niemożność spoczynku jest w życiu człowieka dowodem bogactwa jego natury. Słusznie zauważył prof. James,²³ że liczne instynkty ludzkie zagrządzają sobie wzajemnie drogę, stwarzając w ten sposób zamieszanie i roztargnienie. Lepiej, że tak jest a nie inaczej, ponieważ te walczące ze sobą skłonności trzymają czyn w zawieszeniu. Stwarzają one nieznaną stworzeniu o szybko zaspokajanych nieomylnych instynktach przerwę pomiędzy podnieceniem, pochodzącym od bodźca, i reakcją. Jest to przerwa płodna w skutki. Daje ona możność opanowania gwałtownej, pędzącej naósep młodości, spojrzenia wstecz i naprzód i uczynienia pierwszych prób namysłu i wyboru.²⁴

Stąd pochodzi, że w miarę rozwoju instynkty ludzkie poczynają ujawniać takie cechy, że trudno je już nazywać instynktami. Przechodzą one w formy coraz to wyższe. Skoro tylko bowiem człowiek zaczyna czerpać naukę ze swego doświadczenia, jak niemniej ze swoich błędów, popędy jego przestają być „ślepe“. Możliwe jest, że stosuje się to nawet i do niektórych zwierząt. Gdy spada zatrząsk pułapki chwytającej jakieś dzikie stworzenie, zdaje sobie ono prawdopodobnie sprawę, przynajmniej w najbliższej chwili, że popełniło błąd: osoby, uprawiające łowienie ryb na wędkę, zgodziłyby się może z przypuszczeniem, że doświadczony pstrąg, któremu zdarzyło się już zerwać się z wędki, ma niejasne przeczucie czekającego go niebezpieczeństwa, gdy ulega pokusie i chwytą przynętę. Lecz pstrąg, królik lub inna ofiara człowieka może się znów dać oszukać pewnego dnia, natomiast człowiek z doświadczenia swego odnosi naukę. Możeby to było zbyt pochlebnie twierdzić, iż o takich doświadczeniach nie zapomina, lecz w każdym razie nie zapomina tak łatwo, a niektóre

²³ *Principles of Psychology*, tom II, str. 393.

²⁴ Höffding, *Psychologja w zarysie*, str. 496.

doświadczenia nawet tylko raz zaznane, pozostawiają ślad na całe życie. Rezultat ujawnia się natychmiast. Pośpieszny sangwiniczny atak instynktów na rzeczywistość²⁵ spotyka się z odporem, nie dającym się zapomnieć; niczego nie podejrzewające zaś zaufanie do życia, opartego jedynie na instynktach, przechodzi i nigdy nie powraca. W ten sposób człowiek korzysta z doświadczeń nawet bardzo młodocianych; uczy się patrzeć poza bezpośredni przedmiot swoich „ślepych“ instynktów; zaczyna nabywać zdolności przewidywania skutków, co jest oznaką, że instynkt przerodził się w pożądanie.²⁶

Otwiera to nowe możliwości, ponieważ świadomość celów nie ma ustalonych granic swego rozwoju. Grecy słusznie nazwali pożądanie nienasyconem (*ἀπληστος*). Wraz bowiem z rozszerzaniem się naszego umysłowego horyzontu, duch dąży do niezbadanych mórz i nieznanych lądów. Nowe cele powstają przed oczyma, a o żadnym nie można rzec: „to już ostatni“. Pomysłowość ludzka nadaje każdemu z nich konkretną postać. Pożądania zaś i pragnienia sięgają po każdy taki cel z pozornie niewyczerpaną żywotnością. Praktycznie jest ona niewyczerpalna w całym gatunku, a dla jednostki kończy się dopiero wraz z tą niedługą chwilą, która zwie się życiem. W niczem innym człowiek nie oddala się tak widocznie od świata zwierzęcego, z którego się wyłonił. Kiedy u zwierząt powstają instynkty, one je zaspokajają. Kiedy zjawiają się ponownie, zwierzę znów je zaspokaja. I tak z pokolenia w pokolenie życie ich obraca się w tym małym monotonnym kręgu. Inaczej się dzieje z pożądaniem ludzkimi. Wszystkie skarby przyrody i cała pomysłowość ludzka nie mogą zaspokoić na stałe żądz człowieka. Stąd owo

²⁵ *Op. cit.*, str. 211—212.

²⁶ Określenie pożądania Spinozy: „pożądanie jest to popęd łącznie ze świadomością tegoż“. *Etyka*, Cz. III, Twierdz. 9. Przypisek. (Benedykt de Spinoza, *Dzieła*, przeł. dr. Ignacy Myślicki. Tom. I. Traktat o poprawie rozumu. *Etyka*. Warszawa 1927).

poczucie niepokoju, które tak często męczy nawet tych, co żyją pełnem życiem.²⁷ Tu również źródło licznych tragedyj, zachodzących wówczas, gdy zasoby duchowe, choćby bogatego, lecz małowartościowego otoczenia domowego, zbyt kownego, lecz płytkiego życia wielkowiejskiego lub materialistycznej kultury społecznej nie zaspokajają natur, dążących ku dalszym celom, — co najwyżej uśmierzają głód wyższych wartości, mnożąc ilość zaspokojień niższego rzędu.

Dlatego to można powiedzieć, że nieszczęście człowieka ma źródło w jego wielkości. Coś z tego w każdym razie jest prawdą. Nie należy też sądzić, że nasze pożądanja i ich przedmioty dane nam są poprostu z łaski natury i że rozumowi naszemu pozostaje jedynie wynajdywać środki ich zaspokojenia. Przeciwnie, splatają się od początku tak ściśle z imaginacją, że nie byłyby tem, czem są, ani przedmioty ich nie mogłyby istnieć, gdyby inteligencja nie była wpleciona w ich tkankę. W tem leży tajemnica ich postępu. Albowiem własnością specyficzną duszy ludzkiej jest to, że nietylko potrafi ona wynajdywać coraz to nowe sposoby zaspokojenia swych pożądanj, lecz również to, że gdy wynalazczość zawodzi, ona się nie poddaje. Z bogatych źródeł, o których świadczy historia cywilizacji, przyzywa do pomocy twórczą imaginację i wynajduje nieskończone bogactwo celów idealnych, stających się przedmiotem jej namiętnych dążeń. Nie waha się również, poczynając od starych mitologij aż do mitów, stanowiących przedmiot współczesnych wierzeń, przenosić wizyj niespełnionych pożądanj do życia przyszłego, w którym mogłoby się spełnić to, czego nie danem jej było zaznać na ziemi.

Szkoła cyników twierdzi, że zwierzęta są umiarkowane, trzeźwe i szczęśliwe w porównaniu z człowiekiem. Tak

²⁷ Por. Carlyle, *Sartor Resartus*, ks. II, rozdz. IX. Porównaj ustęp o niepokoju życia ludzkiego.

jest w istocie. Niewątpliwie też, gdyby człowiek był pozostał zwierzęciem, uniknąłby wielu występków i cierpień. Stałoby się to jednak kosztem wyrzeczenia się tych wiodących w przyszłość pożądań, których ciemną stroną są nadużycia. Właśnie ta postępowość pożądania daje wychowawcy dobrą sposobność do działania, napełnia go otuchą. Jego już jest winą, gdy pożądania nie znajdują odpowiedniego pokarmu.

Rozdział V.

Ekonomja sił ludzkich.

Otrzymując przyrodzone wyposażenie wychowanka jako materiał swej pracy, wychowawca staje wobec dwóch wyraźnych zadań: musi tak pielęgnować jego zdolności i upodobania, aby pomnożyć i podnieść do najwyższej miary energję psychofizyczną; musi tak kierować i szafować tą energją, żeby oszczędzać do możliwych granic siły życiowe dziecka.

Pierwsze zadanie niewątpliwie jest ograniczone. Nawet najtęższe, najzarliwsze duchy zmuszone bywały nieraz uznać, że istnieją zadania, przekraczające ich siły. Tak bywało, gdy ich „brat osioł“, jak św. Franciszek nazywał ciało, okazało się nieodpowiednim instrumentem dla wykonania ich planów i zamierzeń; lub też gdy trafna ocena sił zniewalała do znacznego zwężenia zakresu ich myśli i czynów; lub wreszcie, gdy zmuszone były z napoły zazdrosnym zachwytem uznać w człowieku o silniejszym charakterze taki poziom moralny, któremu niezdolne były dorównać.

O tem samem poucza o wiele dostępniejsze doświadczenie z tłumem przeciętnych ludzi, zapełniających kadry świata moralnego. Krótko mówiąc, — nie warto bowiem rozwijać twierdzenia, graniczącego z banalnością, — istnieją różne stopnie siły charakteru, podobnie jak istnieją różne stopnie rozwoju sił cielesnych.

W pierwszym wypadku nie tak łatwo, jak w drugim godziny się z istnieniem granic. Gdy przechodzimy bowiem od ciała do duszy, a w szczególności gdy wkraczamy w dziedzinę życia religijnego i moralnego, bywamy często zaskoczeni i nawet uderzeni nieoczekiwanym przyływem energii duchowej. Zawsze jest trudno, a może i ryzykownie powiedzieć o człowieku, nawet, gdy wydaje się słabym przedstawicielem rodu ludzkiego, że tego lub owego uczynić nie potrafi, jeśli to „nie potrafi“ odnosi się do możliwości moralnych czy religijnych. Możliwości człowieka w tym względzie nie są znane nikomu ze śmiertelników, ani nawet jemu samemu. Jak bowiem stwierdził przed wiekami Arystoteles, osądzić, jakie są potencjonalne możliwości ducha, możemy tylko na podstawie ich przejawów w czynie. Doświadczenie uczy, że nieoczekiwane zasoby energii rzeczywiście objawiają się u wielu ludzi. Bywają to wypadki nagłego budzenia się instynktu, nagłego przypływu namiętnych pożądań, nagłego wzrostu wysiłku i decyzji. Dobrze jest czytać o takich wypadkach, aby się ustrzec przed zbyt pośpiesznem mniemaniem, jakobyśmy byli w stanie zakreślić ostateczne granice rozwoju czyjejkolwiek energii moralnej lub religijnej. Nawet Spinoza, ten zdeklarowany przeciwnik popularnej wiary w wolność woli, oświadczył, że nie możemy wiedzieć, do czego ciało jest zdolne.²⁸ Tem mniej, dodajmy, wypada nam dogmatyzować, co może uczynić dusza, a czego nie może. Jakakolwiek bowiem byłaby ostateczna prawda, dotycząca możliwych granic energii moralnej, do której zdolna jest natura ludzka, choćby ze względu na jej skłonność (nie będziemy się na tem miejscu kusili o rozwiązanie tak obszernego i zawiłego zagadnienia), nie może z niej wynikać fałszywy pogląd, jakoby siła charakteru miała tak ściśle określone granice, jak np. ilość

²⁸ *Etyka*, Cz. III, Twierdz. 2, Przypisek. „A przecież nikt dotychczas jeszcze nie wyznaczył, do czego ciało jest zdolne“.

koni parowych w maszynie. Któżby w cichej chwili zastanawiania się nad przebiegiem własnego życia ośmielił się twierdzić, że zdobył się na maksymalny wysiłek i poruszył całą energję duchową, do której był zdolny? Któżby odważył się zaprzeczyć, że miliony ludzi przeszły przez świat, nie czyniąc najmniejszego użytku z wielu posiadanych zdolności, że ogromna ilość energii potencjonalnej została stłumiona przez apatyczny, tchórzliwy bezwład życiowy? Nie uważamy naszych proroków za bezpłodnych marzycieli, którzy radziby omamić świat przez zwodnicze nakazy i jałowe nauki. Mają oni słuszność, opartą na doświadczeniu, gdy mówią swym współbraciom, ociągającym się, czy też kroczącym na czele, że noszą oni w sobie wiele możliwości. Wyeliminować z ducha ludzkiego niewyzyskane możliwości, jako czczą fikcję, byłoby zadaniem wyjątkowo trudnem dla każdej teorii, nawet takiej, która naturę ludzką sprowadza jedynie do rodzaju udoskonalonego mechanizmu (co też niektóre teorie czynią).

Nie możemy jednak dłużej zatrzymywać się nad odebraniem zagadnieniem granic przyrostu energii psychofizycznej, wykracza to bowiem poza nasz temat. Nie nas zresztą nie zmusza do zagłębiania się w nie, dwa bowiem inne argumenty przemawiają za tem, iż wychowawca obowiązany jest użyć wszystkich dostępnych środków dla wzmoczenia umysłowych i moralnych sił wychowanka. Po pierwsze, trudno zaprzeczyć, iż w normalnych wypadkach udaje się życie moralne wychowanka uczynić mocniejszym i pełniejszym. Zestawmy niemowlę w kołysce z najwykolejszym choćby mężczyzną w pełni sił duchowych. Ten ciążył cud rozwoju, z którym w tym wypadku mamy do czynienia, napełniłby nas zdumieniem, gdyby nie był tak pospolity. Powtóre, jakiegokolwiek są granice tego rozwoju, nie ulega wątpliwości, iż to, co się staje rzeczywistością w naszym wychowanku, nie wyczerpuje i części tego, co jest możliwe, — o ile tylko nie jest on wyraźnie anormalny. Skutkiem tego ani rodzice, ani nauczyciele, ani

wysiłek dobrowolny, ani władza publiczna nie mają potrzeby się lękać, aby ich zabiegi, zmierzające do uczy-nienia z tego, co słabe w dziecku, silnem, a silnego — je-szcze silniejszym, miały się prędko skończyć. Zapewne może się zdarzyć, że dojdziemy do kresu, jeśli się posu-niemy dość daleko; gdybyśmy jednak uwierzyli, że uczy-niliśmy dosyć w tym kierunku, byłoby to jednym z naj-tańszych złudzeń.

Bądź jak bądź potęgowanie energii jest tylko jedną stroną moralnego wychowania. Główna bowiem przyczy-na niewydolności moralnej tkwi nietyle może w braku tych czy innych sił, co raczej w marnotrawnem gospoda-rowaniu rozporządzalnemi siłami. Nawet gdy chodzi o najlepsze charaktery, bezpieczniej jest uznać, że nikt nie jest tak doskonały, żeby przez lepsze wyzyskanie po-siadanych sił nie mógł osiągnąć lepszych wyników. A je-śli to jest prawdą w stosunku do najlepszych ludzi, to cóż dopiero mówić o przeciętnych, albo o najgorszych? Co o występkach rozrzutnie i bezwstydnie marnujących za-soby ducha? A pomijając wady, jak wielka jest suma ludzkich uzdolnień, które się rozrzutnie trwoni jedynie wskutek błędnego planu życia, lekkomyślnego i płochego wyboru zainteresowań, poddawania się konwencjonalnej modzie, nawet powierzchownej pogoni za przyjemnościami? Tego rodzaju fakty pozwalają nam rozumieć tych myślicieli etycznych, którzy byli nauczycielami i wycho-wawcami dawnej Grecji. Albowiem w dziełach Platona i Arystotelesa bynajmniej się nie mówi najczęściej o mo-ralnych niebezpieczeństwach, płynących z odrętwienia czy bezwładu. Filozofowie ci twierdzą zgodnie, że duszę ludzką doprowadza najczęściej do ruiny właśnie potężna ży-wiołowość jej sił. Równowagę charakteru podważają przedewszystkiem władcze pożądanja, stanowiące wieczną groźbę zerwania krępujących powściągów. One to, pozostawione same sobie, bez kierowniczej i kontrolującej ręki, rozkładają charakter i wnoszą anarchję do owego państwa

duszy ludzkiej, które, według Platona, jest synonimem otchłani występku i nędzy. Nic tedy dziwnego, że „Rzeczpospolita“ jest płomienną obroną „sprawiedliwości“. Gdyż „sprawiedliwość“ w szerokim sensie platońskim nie jest niczem innym, jak tylko słusznym, harmonijnym i racjonalnym potęg ludzkich podziałem. Od niego to zależy, o ile można wierzyć temu wielkiemu myślicielowi, cała tajemnica ludzkiego zbawienia. Nawet w chwilach pesymizmu nie lęka się on braku sił, lęka się jedynie braku kierunku, a bardziej jeszcze fałszywego kierunku przewrotnych mocy.

A jednak to marnotrawne pogwałcenie słusznej ekonomji sił życiowych, aczkolwiek pożałowania godne, nie powinno nam odbierać nadziei. Nie wiermy temu, aby natura ludzka nosiła na sobie ciężar przekleństwa, aby ją toczył rak grzechu pierworodnego, od którego nie nas nie może wyzwolić, prócz cudu. Przeciwnie, możemy nawet nabrać pewnego rodzaju desperackiej nadziei, tak wymowna jest klęska moralna, którą pociąga za sobą przewrotne użycie mocy ludzkiej. Nadzieja jest w tem, że przez kształcenie charakteru można kierować ludzką energję na drogę cnoty i odwracać ją od przewrotności występków. Zachęcającym zaś momentem jest, że temu przedsięwzięciu otwiera się tyle możliwości w ciągu całego życia ludzkiego. Możliwość lepszego rozporządzania swemi życiowemi siłami istnieje nietylko wówczas, gdy ludzkie siły są w pełni rozwoju, ale nawet i później, gdy energja zaczyna już słabnąć. Niema takiego okresu w życiu, w którym byłoby zapóźno zwrócić się do spraw ważnych i oderwać od spraw błahych, lub też skupić się na celach moralnych, intelektualnych, czy społecznych. Te bowiem cele najbardziej są warte wyboru. Gospodarując mądrze swemi siłami, człowiek charakteru może się posunąć w ten sposób naprzód, wydobywając z życia coraz więcej wartości nawet aż do końca swych dni.

Lecz nie może się to stać bez pewnego przygotowania

w młodszych latach. Niekiedy zdarza się, że ofiara złego wychowania albo złego życia uświadamia sobie nagle po długich zmarnowanych latach ubóstwo swoich dążeń, — postanawia zmienić swe życie i poświęcić się lepszym sprawom. I to się może udać. Gdyż zmiany charakteru i zmiany kierunku woli i wysiłku częściej się zdarzają, — przynajmniej w późniejszym wieku, — niż trudniejsze od nich przeobrażenia apatji i bezwładu na tężyznę czynu.

Nie przez żal jedynie, choćby żal głęboki, ani przez samo dobre postanowienie, możemy zapewnić powodzenie dziełu odmiany życia; — polega ono bowiem przedewszystkiem na przewartościowaniu norm moralnych, co nie może być dziełem chwili. Tworzą się takie normy powoli i stopniowo, są owocem długich lat, począwszy od wczesnej młodości, kiedy to pragnienia, uczucia, upodobania, zwyczaje przywiązują się coraz to silniej do celów i zainteresowań, do których się stale i gorąco dążyło w owych dniach terminatorstwa życiowego. Tu może wychowawca znaleźć punkt wyjścia. Jego to jest zadaniem skierować ów przybierający wciąż potok sił żywotnych we właściwe łożysko i urobić grunt dla zdrowych sądów moralnych, które stanowią najpewniejsze zabezpieczenie dobrej gospodarki zasobami życiowemi. Zdobyczą takiego wychowania będzie nietylko rozwój sił, rozwój bowiem jest również drogą do dyscypliny i powściągu.

Rozdział VI.

Rozwój a powściągu.

Natura ludzka jest tak zbudowana, że wszelki jej rozwój wymaga powściągu. Człowiek przyrody, pozostawiony sam sobie, rychłoby odkrył, że prawo harmonji nie rządzi jego życiem; mnogość i sprzeczność skłonności nauczyłyby go odrazu, że pożądana, którym ulega, przynoszą równocześnie ofiary i zadowolenie. Tem bardziej

dzieje się tak w późniejszych okresach kultury. Jeżeli bowiem życie społeczne ze swojemi instytucjami, od rodziny począwszy, przyczynia się do mnożenia pożądań i zaspokojeń, tak, że ubóstwo człowieka cywilizowanego byłoby bogactwem dla dzikiego, to ma to swoją stronę odwrotną.

Dlaczego, pyta Carlyle, każde znaczniejsze miasto, które jeszcze nie może pochwalić się czytelnią, już ma więzienie? A dlaczego, zapytamy dalej, każdy obywatel, krążący po ulicach tego miasta, nosi w sobie więzienie, — więzienie, w którym pod strażą i zamknięciem drzemią takie występki duszy ludzkiej, których on nie śmiałyby usprawiedliwić? Czemużby, jeśli nie dlatego właśnie, że jak opieka nad dzieckiem wspiera naturę, tak opanowywanie się jest cieniem, towarzyszącym wszelkiemu rozwojowi.

Istnieje jednak i pod tym względem różnica pomiędzy współzawodniczącemi teorjami wychowania. Bo chociaż każda teoria, nawet ta, która przytwardziła Szymona Słupnika do jego obmierzłego słupa, zakłada rozwój zarówno jak powściąg, to jednak stosunek tych dwóch czynników może być rozmaity.

Nie zamierzamy zastanawiać się teraz nad pytaniem, jakie jest ich słuszne ustosunkowanie, ani nad tem, czy wogóle można znaleźć bezwzględną współmierność w świecie, gdzie asceci i sybaryci tak wiele mogliby nawzajem nauczyć się od siebie. Wystarczy wskazać, że pod niektórymi względami systemy, dające przewagę powściągom, doprowadzają do niekorzystnych, a nawet fatalnych wyników praktycznych.

Nie znaczy to, ażeby nie przemawiało na korzyść ascetyzmu. Przekonani z długiego doświadczenia o strasznych możliwościach grzechu i występku, asceci uderzają w samo serce zła z całą bezwzględnością. Zwalczają pokusę, usuwając jej przedmioty, i to nietylko nیکezemne i haniebne, ale i inne, jak np. bogactwo, stosunki towa-

rzyskie, sztukę, rozrywki, które same przez się nie są ani podłe, ani haniebne, ale przewrotnie używane mogą stać się powodem upadku. Wymazać te rzeczy z życia, albo uciec od życia, które je nastęca: — oto podług nich jedyna bezpieczna droga do zbawienia. Żywiąc przekonanie, że na skutek wzrastania potrzeb i pożądań życie ludzkie w fatalny sposób uzależnia się od spraw zewnętrznych, których kierunek i kontrola mogą leżeć poza granicami woli, zalecają oni zmniejszenie pchań i potrzeb, nie ubieganie się za fortuną, ale szukanie spokoju i niezależności duchowej w życiu, poprzestającem na nielicznych prostych a wielkich i trwałych rzeczach, dających zadowolenie i będących wszędzie i po wszystkie czasy dostępnymi dla ducha ludzkiego.

Stąd od czasów starożytnych cyników aż do ewangelji Wordsworth'a ²⁰ owe pochwały życia prostego, życia znajdującego bezpieczne oparcie w samem sobie. Pochwały te pociągały prawie zawsze swym urokiem w epokach, kiedy żądza zbytku i kult światowości syciły swoich wyznawców tylko niesmakiem i niezadowoleniem. Nie potrzeba zresztą być ascetą, żeby rozumieć, jak zawodnem musi być napełnianie serca pchaniem rzeczy, za którymi ono będzie tęsknić długo, lecz daremnie, albo które ma osiągnąć jedynie po to, by się przekonać, że są one w najwyższym stopniu niepewne. Cóż dopiero, jeśli to prawda, — a dla wszelkiego odcienia ascetów jest to głęboka prawda, — że najlepsze jest to, co najprostsze, najbardziej dościgłe i trwałe.

Nie można także zaprzeczyć, że w każdym życiu musi tkwić pewien pierwiastek ascetyzmu, o ile tylko to życie jest pracą. Mówimy czasem o ulubieńcach fortuny, którzy chwycili za poły los szczęśliwy i użyli wszystkich uciech świata. Nie stosuje się to jednak w żadnym razie do tych, którzy służą światu pracą. Życie nie jest dane

²⁰ Por. str. 90.

do używania. Podlega ono całkowicie prawu specjalizacji. Ceną pracy, dobrze spełnianej, bywa często wyrzeczenie się, ofiara. Zawody rzemieślników, kupców, prawników, lekarzy, polityków, uczonych wymagają nieubłagania odpowiednich ofiar, tem większych, oczywiście, im większa jest sumienność i poczucie obowiązku danego pracownika. Życie bowiem to wybór, a wybór ma stronę negatywną: jest nią wyrzeczenie się. „Dziesięć lat temu“, pisał Cobden³⁰ z Walji, „zanim stałem się agitatorom, spędzałem dzień lub dwa w tym domu. Porównując wrażenia swoje obecne z doznawanemi wówczas, czuję jak wiele straciłem, od kiedy zdobyłem publiczną sławę“. Niewątpliwie, wielu bardziej lub mniej głośnych ludzi mogłoby na podstawie doświadczenia całego życia powtórzyć te słowa.

Nie należy wreszcie przeoczać i tej okoliczności, że w naszym wieku materjalizmu i uganiającej się za przyjemnościami cywilizacji, ascetyzm jest zdrowszą od innych ostatecznością, byleby przejęły się nim dzieci zbytku, którym jest bardzo potrzebny; a znacznie mniej, lub wcale — dzieci światłości, którym jest niepotrzebny.

A jednak, jeśli już powiedzieć wszystko, ascetyzm nie jest najlepszą drogą rozwoju. Nie jest nawet najskuteczniejszym sposobem zapewnienia powściągliwości, za którą tak usilnie obstaje. Wyrażając się paradoksalnie, systemy, oparte na powściągach, czyli systemy ascetyczne nie są dość pozytywne, aby działać negatywnie. Nie są one dość wspianałomyślne ani tolerancyjne dla skłonności, przez siebie popieraných, aby te z kolei mogły oddziaływać skutecznie na skłonności, o których powściągnięcie chodzi. Wszakże, gdy chcemy pohamować jakąś zachciankę, nie wystarczy ją odrzucić choćby w najostrzejszy sposób. Nie wystarczają wszystkie zamki czy rygle samej tylko re-

³⁰ Ryszard Cobden, 1804—1865, wybitny angielski polityk, zwolennik wolnego handlu. (*Przyp. red.*).

presji. Raczej należy wynaleźć i wypielegnować jakieś inne pożądanie, obok którego szkodliwa zachcianka nie mogłaby się utrzymać. Jak np. wpłynąć skutecznie na wrodzoną nieśmiałość? Czy przez niecierpliwość, szyderstwo, wzgardę lub groźbę? A może lepiej dążyć w takim wypadku cierpliwie do obudzenia takiego zapału dla jakiejś osoby lub sprawy, aby wreszcie nawet nieśmiały gotów był wystąpić mężnie? To samo dotyczy sposobu opanowania chciwości, żądzy pochwał, lub pogoni za przyjemnościami. Drwiny, szydzenie choćby najprzykrzejsze, ostrzeżenie przed przykreml następstwami, choćby robiły silne wrażenie, pozostają jednak czynnikami niższego rzędu, którym ani na chwilę nie należy dawać pierwszeństwa, dopóki tli się jakakolwiek nadzieja wzbudzenia tak silnych zainteresowań dla ludzi i rzeczy, aby one zdolne były wyprzeć tamte nędzniejsze namiętności. Oto znaczenie powiedzenia: „siła wypierająca nowego umiłowania“. Albowiem złe pożądanie i namiętności niełatwo ulegają bezpośredniemu naporowi. Trzeba wywołać namiętność, aby wyprzeć namiętność. Skoro zaś raz serce i umysł napełnione zostaną silnymi pozytywnymi zainteresowaniami, to reszta wypłynie sama z siebie. Zdrowe pobudki, wciąż wzrastając, zapełnią duszę i umiejętnie pielęgnowane, połączą się wzajemnem przymierzem, aby uwolnić nas stopniowo od pobudek niskich i plugawych. Rozwój bowiem i powściąg nie są to dwie różne rzeczy; każdy prawdziwy rozwój pociąga za sobą niejedno ograniczenie.

I to jest właśnie słaba strona systemów, opartych zbyt wyłącznie na powściągach. Nie dowierzając naturze ludzkiej, odnoszą się te systemy nieufnie do tyłu pożądan naturalnych, że przez to fatalnie zacieśniają pole pozytywnych czynników wychowawczych. Obawiają się one, nie bez powodów, świata, szatana i ciała; oczyszczają życie ludzkie tak skutecznie, że wkońcu zmuszone są czerpać dodatnie podniety z coraz skąpszego zapasu środków. Gdyby miały możność posunąć swe plany do ostateczno-

ści, to wyrwałyby z korzeniami nie tylko te pożądania, które przynoszą złe owoce, ale i takie, które mogą się na złe obrócić i stać się sidłami dla duszy. Ascetyczne więc systemy z konieczności muszą iść w dwóch kierunkach: pozytywnym, opartym na kilku wyjątkowych pobudkach, jako to: miłość Boga, cierpienie dla zbawienia duszy, samopoświęcenie, całkowite oddanie siebie Kościołowi lub zakonowi; i negatywnym, postępującym się cierpieniem, jako narzędziem represji.

Nie będziemy usiłovali ujmować znaczenia żadnemu z tych środków. Wyjątkowe motywy stanowią o wyjątkowości ludzi; ale skoro są wyjątkami, to nie można ich zaliczać do gromady zwyczajnych śmiertelników. Wśród nich będą oni, wyrażając się słowami Ruskina: „nieomal tak samo niestali jak szlachetni“. Można utworzyć z nich wybrane bractwo religijne lub polityczne, ale nie zdadzą się na wiele w szeregach życia codziennego. Prawda, że zwyczajne pobudki nie zasługują na wyjątkowy podziw. Będzie to: miłość rodzinna, uczynność dla domowników, uprzejmość sąsiedzka, chęć zachowania tego, co do nas uczciwie należy, zamiłowanie komfortu i umiarkowanego użycia, utrzymanie dobrej sławy, powab życia towarzyskiego. Jednakże wartość ich wzrośnie w naszych oczach, gdy doświadczenie nas pouczy, iż mimo swej pospolitości, mają one jednak dość siły, aby wejść na miejsce motywów nawet niezwykle lekkomyślnych, poziomych lub występnych.

Drugi środek systemu ascetycznego, cierpienie, jest niewątpliwie potężnym środkiem kształcącym. Zgodziliśmy się na to już powyżej.³¹ Obecnie możemy otwarcie przyznać, iż w mądrym ręku może się ono stać nawet, jak to Arystoteles powiada, „sterem wychowania“.³²

Jednakże nie możemy się po tym środku zbyt wiele

³¹ Zob. str. 28 i nast.

³² *Etyka*, ks. X, rozdz. I, w. 1.

spodziewać. Sam przez się pracuje on dla śmierci, nie dla życia. Jest raczej negatywny, otamowujący, a wartość jego zależy będzie od niezależnej siły i wartości tendencji, które wyzwala. Nie wyrabia ich; daje im tylko pole do działania. Jest to wydatek, który z istoty swojej dąży do obniżenia ogólnej żywotności. Czyż nie nazwano go nawet świadomością obniżonej żywotności? A chociaż fakt ten może być ukryty przez nadzwyczajną energję wstrętów, które wywołuje, nie przynosi on ze sobą żadnej pozytywnej kompensaty za ubytek żywotności, którą tak nietościwie zużywa. Każdy z nas potrafi przytoczyć przykłady z życia ludzi słabych we wszystkim, z wyjątkiem ascetyzmu, którzy zostali tak skutecznie urobieni przez cierpienie, że w nich już nie zostało nic, prócz chronicznego przygnębienia.

W tem właśnie tkwi słabość systemów ascetycznych, czy to w formie wyznawanej przez cynika, stoika, czy anachoretę, zakonnika lub purytanina, że skłonne są do oscylowania pomiędzy temi dwoma środkami wychowawczemi. Działając pozytywnie (a byłoby oszczerstwem twierdzić, iż tylko hamują naturę), zaludniłyby świat świętymi, dewotami i fanatykami; gdyby im się to nie powiodło, zamieniłyby świat w dom poprawczy.

Na szczęście owe dwie alternatywy nie wyczerpują wszystkich możliwości. Możemy obrać inną, zupełnie odmienną drogę. Możemy mianowicie więcej ufać naturze ludzkiej, w pożądaniami ludzkich dopatrywać się obietnic, nie zaś niebezpieczeństw. Możemy odrzucić ten ostry dualizm, który czyni ze skłonności nieprzejeđnanych wrogów obowiązków. Możemy raczej przypuścić, że człowiek, zaspokajający niejedno z pożądań, wyklętych przez ascetów, osiąga pełniejszą realizację nawet tego, co w nas najbardziej duchowe i rozumowe. Możemy kierować się filozofją, dochodzącą do tego wyniku, że nawet w dążeniach, zbliżających człowieka do zwierzęcia, (a tem bardziej w pożądaniami, do których zwierzęta nie są zdolne)

tkwi pewien pierwiastek duchowy i racjonalny, i że ten pierwiastek można skierować ku zadowoleniom wyższego rzędu.

Niepodobna też się zgodzić, jakoby ideały ascetyczne miały otwierać najlepszą drogę do tej moralnej niezawisłości i samowystarczalności, którą tak słusznie wysławiają. Starożytni cynicy zapewniali, że człowiek może być bogaty swą własną duszą, chociażby poza tem był żebrakiem. Godząc się na to, lepiej jest jednak wstrzymać się od naśladowania tego wzoru, dopóki się nie przekonamy, jakie też są naprawdę te jego bogactwa duchowe. Musimy sprawdzić, czy ten, kto wyrzekł się wszelkich dóbr i szczyci się tylko posiadaniem własnej duszy, zostawił sobie duszę wartą posiadania. Są bowiem granice, gdzie samo-umartwienie przechodzi w samobójstwo. Przypuśćmy, że asceta ślubując ubóstwo, unika szpetnych występków, skupiających się dookoła pieniędzy. Zarazem jednak wyklucza on możliwość takich cnót, jak honor kupiecki, hojność i szczodrobliwość. Purytanin, pogardzający muzyką i sztuką, unika z pewnością pokus dyletantyzmu, ale zarazem traci możność rozkoszowania się Beethovenem i Shakespearzem. Droga zbawienia staje się w ten sposób drogą zubożenia duchowego.

Podobnie ma się rzecz z ponętną „niezależnością“ skromnego życia. Zgoda na to, że życie takie nie jest mrzonką zapaleńców; zgoda, iż może ono być szlachetne, wolne od trosk, bezpieczne i mocne. „Dajcie mi zdrowie i jeden dzień czasu“, powiada Emerson, „a ośmieszę przepych cesarzów“. Jest przecież inna, lepsza droga. Prawdziwie niezależnem nie jest bynajmniej życie o małych, ograniczonych środkach, choćby wniosłe i czyste. Niezależne jest raczej życie człowieka, który zdołał objąć swą wolą i upodobaniami różnorodne zainteresowania, wypływające tak obficie z cywilizowanego życia społecznego. Taki człowiek ma mocne oparcie, gdy bowiem napotka na zapory i niepowodzenie w jednym kierunku, pozostaje

mu dużo innych rzeczy, dla których żyć warto.³³ Odosobnienie nie jest niezależnością. Winna ona raczej wpływać z licznych zależności, które czynią jednostkę sympatyczną, towarzyską, wielostronną i pomysłową. Z gruntu fałszywie wnioskuje, kto twierdzi, iż ponieważ niektóre pożądanía są występne, a wszystkie pożądanía mogą stać się występniemi, to wszystkie pożądanía wogóle należy wypenić z korzeniem. Równałoby się to odrzuceniu narzędzi, które przyroda wkłada w ręce wychowawcy. Tak czyni tylko nieumiejętny i niecierpliwy rzemieślnik. Roztropniejszy, bardziej tolerancyjny i bardziej ufny umysł dołoży raczej wszelkich starań, aby wyszukać te pożądanía, z któremi najwięcej można osiągnąć, i będzie postępował w ten sposób, aby im dać w porę najwłaściwszy pokarm. Obierze on taką drogę, żywiąc słuszną nadzieję, że ci, których się nauczy odnajdywać w sobie zdolności do dobrego, staną się przez to mniej podatni do złego. Pożądanía zmysłowe, niskie i lekkomyślne będą powstawały w dalszym ciągu, krzyżując, a nieraz nawet niwecząc naszą pracę. Najlepsze wychowanie nie może temu zapobiec. Ale cała nadzieja w tem, że gdy pożądanía nadejdą, przedmioty ich nie będą już miały swego złośliwego powabu. A stanie się to nie dlatego, że nam się powiodło skojarzyć cierpienia, kary, bóle i wstręty z folgowaniem tym pożądaníom, ale dlatego, że pełnia zdrowego życia i ożywiona nadzieją walka o jutro po doznaniu niejednego umiłowanego a godziwego zadowolenia stanowi silne zabezpieczenie przeciw poniżeniu się do pośledniejszego rzędu zachcianek. Inaczej mówiąc, powinniśmy trzymać się mocno o wiele bardziej skutecznej taktyki hamowania tych pożądań, które tego potrzebują. zapomocą rozwijania innych pożądań: a mianowicie tych, które w świetle podnioślejszego ideału domagają się rozwoju.

³³ Por. str. 248—249.

Rozdział VII.

Nałóg i jego niewystarczalność.

Skoro zatem poskramianie jednych pożądań osiąga się najlepiej przez rozwój innych, to główną częścią wychowania będzie jego strona pozytywna. Najbliższe pytanie brzmi: jak postępować? Klucza dostarcza nam sama natura. Właśnie bowiem przyrodzone niedoskonałości nastrożają najlepszą sposobność dla pracy wychowawczej. Widzieliśmy już, na czym polega niedoskonałość natury: instynkty (lub pożądania) są przemijające, przerywane i nieokreślone w dwojakim znaczeniu: po pierwsze, brak im pewności instynktu zwierzęcego, po drugie, jeśli nawet są zdecydowane, to moralnie są obojętne. Istota ludzka, któraby nie miała nic oprócz instynktów, byłaby skazana na upadek przy pierwszym zetknięciu się z moralnością. Nie sprostałaby zwykłym, stałym i jednostajnym wymaganiom naturalnego, a tem bardziej społecznego otoczenia. Jeżeli dziecko ma dojrzeć do cnoty, to przejściowe cechy muszą stać się stałymi, niestałe — trwałymi, a nieokreślone — określonymi. „Brzemie pożądań przypadkowych“ trzeba odrzucić, a jednostka musi stawić czoło życiu, uzbrojona w ustalone i obliczalne życie wewnętrzne.

O całe niebo bowiem różni się życie, będące tylko zaspokojeniem pragnień, od życia, w którym zaspokajanie pragnień musiało podporządkować się urabianiu charakteru. Dwóch młodzieńców wyrusza razem na wyścig życiowy. W początkach mało się różnią od siebie. Obaj są gorącego serca, krewcy i żądni zadowolenia. Ale po upływie 20 lat jakże silnie mogą się różnić! Jeden z nich może żył tylko namiętnościami i z dnia na dzień; — charakter jego nietylko nie stał się lepszym, niż za czasów szkolnych, ale się nawet może pogorszył. Młodzieniec, oczywiście, nabył doświadczenia i nawet może się niem pysznić; ale czyż wielkie doświadczenie nie idzie niekiedy

w parze z niskim poziomem moralnym? Drugiego spotkał, dajmy na to, szczęśliwszy los: jego pożądanja nie rozwijały się w nieokiełznanej swobodzie, doświadczenie jego nie było czystem doświadczeniem jedynie. Dzięki kierowniczej ręce rodziców i nauczyciela, przez zaciągnięcie się w służbę u ludzi lub instytucyj, dążących do celów, dla których żyć warto, — pożądanja jego musiały się podporządkować planowi życia, a w miarę jak zdobywał doświadczenie, z biegiem lat stanął wobec świata z jaźnią jędrną i ustaloną. Ten kontrast nie jest urojony. Sprawdzono go na dziesięciu tysiącach przykładów, w których obiecujące pragnienia młodzieńcze okazały się „próżne i daremne“ (że użyjemy słów Arystotelesa), ponieważ, tak zwane, zadowolenia pozostawiły duszę tak samo nierozwiniętą i niezaprawioną do samokontroli, jak na początku wyścigu życiowego.³⁴

Na pytanie, jak uniknąć takiej klęski, odpowiemy: przede wszystkim należy pożądanja przerobić na przyzwyczajenia, nałogi. Przemiana ta naogół nie zawiera w sobie żadnej tajemnicy, — przynajmniej, jeśli chodzi o jej bardziej zewnętrzną stronę. Od kiedy Arystoteles napisał drugą księgę „Etyki“, wszyscy nauczyciele moralności na całym świecie powtarzali, że cnotliwe nałogi wytwarzają się przez skierowanie naturalnych pożądań do odpowiednich czynów. Żadne dążenie ludzkie nie rozwija się przez czcze życzenia, wyjąwszy chyba tylko skłonność do folgowania czczym życzeniom, a im szlachetniejsze chęci, tem dotkliwsza porażka.

W pamiętnem porównaniu Arystotelesa nagrodę otrzymuje człowiek, który ją zdobył w kurzu i znoju, nie zaś widz, choćby był najsilniejszy i najpiękniejszy. I to jest istotnie prawo każdej zdolności: uwydatnia się ona we wszelkiej sztuce, począwszy od zwykłych rzemiosł, na

³⁴ Obacz Platona, *Gorgjasz* (przekł. pol. Wł. Witwickiego, Lwów-Warszawa, 1922), zwłaszcza porównanie o „dziurawych naczyniach“, str. 97.

które moralіści greccy tak często się powołują, — aż do najtrudniejszej sztuki życia.

Bo ludzie nie są przecież sprytnie obmyślonymi maszynami, które idą bez zmian w swej budowie, dopóki nie staną się zużytymi gratami. Ludzie żyją, a zasadniczą właściwością żywych struktur, jest to, że się zmieniają w czasie działania. Fizjologowie powiadają, że nasz system nerwowy i mięśniowy „dorasta do przyzwyczajień, w których się ćwiczy“.³⁵ Czyż o tem nie wiemy? Czyż bliźni nasi nie noszą nawet nazewnątrz widomego piętna swego powołania, pewnej ręki, lekkiego chodu, zaokrąglonych mięśni, lekkiego dotknięcia? To samo prawo dotyczy duszy, o czem pomocniczych danych dostarcza często system nerwowy. Ona sama, rozumie się, nie jest widoczna, ma tylko w przenośni „strukturę“. Skutkiem tego, nieskończenie trudniej domyśleć się, jakie w niej zmiany zachodzą podczas wytwarzania się nałogu, aniżeli gdy chodzi o zwodniczą zresztą dziedzinę fizjologii. Ale fakt pozostaje faktem, bez względu na tajemnicze jego dzieje. Nasze dusze, jak ciała nasze, „dorastają do przyzwyczajień, w których się ćwiczą“. Przez dążenia do czynu pożądania nasze dochodzą do pełniejszego, trwalszego i bardziej określonego rozwoju. I, jak to Arystoteles dawno stwierdził, przez powtarzanie pewnych czynności pożądania układają się w nałogi.³⁶

Kiedy mówimy „czynności“, nie powinniśmy brać tego wyrazu zbyt ciasno. To nie przez te zewnętrzne i jawne czyny, do których można łatwo zmusić, wytwarzają się naprawdę owe dobre nałogi, które zwiemy cnotami. Jeżeli tylko dusza nie jest ciałem, to przyczyną wytwarzania się przyzwyczajień moralnych musi być powtarzanie się stanów psychicznych. O tem należy dobrze pamiętać. Stanom psychicznym mogą niewątpliwie towarzyszyć od-

³⁵ Carpenter, przytoczony przez James'a w *Principles of Psychology*, t. I, str. 112.

³⁶ *Etyka*, ks. II, rozdz. I, w. 8.

powiedniki fizjologiczne. O ile nam wiadomo, dzieje się to zawsze. Jednakże, jeżeli nie wytworzymy stanu psychicznego, ściślej mówiąc, jeżeli nie obudzimy odpowiednich pożądań, nałóg moralny nie ukształtuje się, chociażbyśmy nawet drogą przymusu pobudzili całą fizyczną stronę działania wraz z jej najtajniejszymi drgnieniami nerwowymi i mięśniowymi. Jeżeli przeto przyjmniemy utarte zdanie, że nałogi powstają wskutek powtarzających się czynów, to jasnym jest, że te czyny zawierają w sobie jako główny czynnik stronę psychiczną zewnętrznego działania.

Jest to oczywiste, ale zarazem ważne przypomnienie. Niejedni rodzice łudzą się wygodnym przekonaniem, że gdy zapewnili dzieciom stałe pełnienie czynów zewnętrznych, to już przez to samo wytworzą w nich niezawodnie dobre nałogi. I w rzeczy samej uczynili coś dla wyrobienia nałogów cielesnych. Jednakże postęp w kierunku wyrobienia nałogów cnotliwych może być do najwyższego stopnia znikomy. Nałogów bowiem cnotliwych nie można urobić w sposób mechaniczny od zewnątrz. Krańcowi myśliciele sądzili nawet, że zewnętrzne postępowanie ma tak mało wspólnego z życiem moralnym, że nawet poważne wykroczenia mają małe znaczenie w tym względzie. Jest to tylko poprostu zniekształcenie faktu, że znaczenie czynów w budowaniu charakteru jest niewielkie, o ile te czyny nie są poparte odpowiedniami czynnościami duszy. Istotną wartość ma tylko powtarzanie czynności, dających silną podniecię tym wrodzonym zdolnościom i instynktom, nad którymi z obowiązku swego zawsze musi czuwać wychowanie. Weźmy, dajmy na to, dwoje dzieci, które wielokrotnie naśladowują ten sam przykład. Jakże rozmaity będzie wynik, jeżeli jedno bezmyślnie tylko małpuje czynności zewnętrzne, a u drugiego czynność naśladowana jest kongenjalnym wyrazem silnego instynktu, który czekał tylko na przykład, aby się wyzwolić w pełnię życia! Jest to tylko przykład ogólnego prawa. To też

nie bardziej żywotnego w kształtowaniu przyzwyczajęń zapomocą czynności, niż baczne zbadanie materiału, z którym mamy do czynienia. Tylko w tym wypadku czynny przez nas nakazane spełnią swoje zadanie nie dlatego, że są stale powtarzane, ale dlatego, że każde powtórzenie wywołuje i utwierdza wrodzone zdolności i instynktowne dążenia.

Trudność przystosowania nakazanych czynów do wrodzonych skłonności jest uproszczona w znacznej mierze dzięki temu, że młodzież nie jest skryta. Jest ona, przeciwnie, stale, szczerze i nawet nierozważnie wylana. Dzięki temu mamy w czym wybierać. „Na tem polega użyteczność tej nieustannej, wybujałej ruchliwości, różnorodnej swawoli, wnikliwej ciekawości, wścibstwa, psocenia, oraz silnego i zdrowego eksperymentalizmu młodości. Wszystko to dostarcza surowego materiału, wśród którego inteligencja może dokonać wyboru“.³⁷ Rozumie się, że nie dotyczy to nieporadnej inteligencji samego młodzieńca; mowa tu o rozumnych, wytrawnych głowach. Zadaniem ich jest wybrać z pośród tych wybujałych objawów takie, którym przez zachętę nadadzą trwałość nalogu.

Skoro to nastąpi, wypłyną stąd dostatecznie znane korzyści. Wystarczy tu o nich krótko wspomnieć. Za każdym powtórzeniem czynność staje się łatwiejsza. Jak dorosły człowiek chodzi i biega bez chwiejnych wysiłków dwuletniego dziecka, tak samo, zdobywszy łatwość „drugiej natury“, spełnia nakazy moralności, które niegdyś wymagały podniety i powściągów czujnej karności. Nie znaczy to bynajmniej, żeby życie w swym całokształcie miało się stać łatwiejsze. Przeciwnie, z biegiem lat staje się ono coraz trudniejsze. Nowe jednak i coraz większe trudności udaje nam się pokonywać dzięki temu właśnie, że dawne stały się dla nas łatwemi.

³⁷ Lloyd Morgan, *Habit and Instinct*, str. 162.

Wiąże się z tem ściśle jeszcze jedna korzyść. Wraz ze wzrostem nałogu spada do minimum świadome baczenie na warunki, potrzebne do spełnienia czynności. Zaoszczędzonej w ten sposób uwagi można użyć do innych celów. Jakże dobrze zdają sobie z tego sprawę tkacze, muzycy, szermierze, rowerzyści. Ale czemu tak się dzieje? — sprawa bynajmniej nie jest jasna. *A priori* należałoby się raczej spodziewać, że na skutek powtarzania mniej lub więcej świadoma czynność będzie się stawała coraz bardziej świadomą. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Gdy nałóg jest dostatecznie ukształtowany, by mógł służyć swemu celowi, świadomość wycofuje się z widowni, jak artysta, który zrobił swoje.³⁸

Nie znaczy to jeszcze, żeby przyzwyczajenie miało się stać całkowicie fizycznym automatyzmem. Byłby to fałszywy wniosek, gdybyśmy sądzili, że dzięki długotrwałemu wysiłkowi duchowemu nałóg staje się sprawą jedynie nerwów i mięśni. Faktem jest, że psychiczne korzenie nałogu nie zostają obciążone, lecz tylko ukryte pod ziemią. Wystarczy, aby najbardziej automatyczne przyzwyczajenie zostało nagle powstrzymane, bądź przez przyczynę zewnętrzną, bądź przez pokusę wewnętrzną, a następujące wówczas wstrząśnienie duszy stwierdza dostatecznie, że uczucia i popędy, stanowiące jego podłoże, są w pełni życia.

Nie można też przypuścić, żeby ten nieświadomy charakter nałogów pozbawiał ich właściciela poczucia bezpieczeństwa, wypływającego z przekonania, że nałogi się sformowały. Urabiając nałogi, każda jednostka wytwarza sobie własną tradycję duchową i czerpie pociechę z przeświadczenia, że jak wyrobienie nałogu wymagało wielu wysiłków, tak samo utracenie go nie może być dziełem jednego wypadku. „Czyż człowiek sprawiedliwy może niesprawiedliwie postępować?“ pyta Arystoteles.³⁹ Pytanie

³⁸ Stout, *Analytical Psychology*, t. I, str. 265.

³⁹ *Etyka*, ks. V, rozdz. IX, w. 16.

to nie jest pozbawione treści. Bo chociaż najsprawiedliwszy człowiek może ulec pokusie i postąpić niestusznie, na-
 pozór burząc w jednej chwili pożałowania godnego zała-
 mania się cnotę, zdobytą z trudem w ciągu wielu lat, — to
 jednak nałogu sprawiedliwości nie można tak łatwo wy-
 plenić; będzie on zawsze stanowił przedział między nie-
 sprawiedliwością człowieka cnotliwego, a podobnym czy-
 nem niegodziwca.

Z powyższych uwag płyną następstwa praktyczne. Nie-
 które z nich są tak znane, że zaledwie wypada o nich
 wspominać. Tu należy oklepana zasada, że należy zaczy-
 nać wcześniej. Częściowo ze względu na plastyczność, po-
 datność lat młodych, częściowo dlatego, że niema wów-
 czas zadawnionych przyzwyczajzeń, z którymi nowe muszą
 ustalać jakiś *modus vivendi*. Stąd pozornie nieograniczo-
 ne możliwości wieku dziecięcego. Ze względu na nie
 Wordsworth⁴⁰ i inni dopatrywali się we wzroście przy-
 zwyczajzeń pewnego rodzaju niewoli.

Nie można jednak rozpoczynać przedwcześnie; kiedy
 chodzi na przykład o wyrobienie hartu fizycznego lub też
 gospodarności, nic łatwiejszego jak popełnić błąd przed-
 wczesnego ich szczepienia. Wszak ustaliliśmy, że korze-
 niami wszystkich silnych, trwałych nałogów są instynk-
 ty. A często trzeba wiele czasu, swobody i wyrozumiało-
 ści, by dziecko objawiło nazewnątrż instynkt, na którym
 mamy oprzeć nasze oddziaływanie. Rodzice, którym pilno,
 dobrze robią, zbrojąc się w cierpliwość, z myślą, że in-
 stynkty często bywają „zapóźnione“.⁴¹

Utarło się również zdanie, że nie można przyspieszać
 wzrostu nałogów, ponieważ nałóg powstaje przez powta-
 rzanie, a powtarzanie wymaga czasu; argument ten jest
 oczywisty, ale mniej oczywisty jest argument drugi, że
 pomiędzy powtarzaniem konieczne są przerwy i nie można
 ich zbyt skracać, gdyż przyzwyczajenia wytwarzają

⁴⁰ *Ode on the Intimations of Immortality.*

⁴¹ Zob. str. 4.

się nietylko w czasie, gdy czynności urabiające zachodzą; pewne sprawy zachodzą również w przerwach między czynnościami. Jakże często, gdy chodzi o nałogi fizyczne, jak, dajmy na to, ślizganie się na łyżwach, czy jazda na rowerze, przerywamy je z niechętnem przekonaniem, że większego postępu już nie zdołamy osiągnąć, a potem, gdy próbujemy na nowo, mamy wrażenie, żeśmy przez czas przerwy nabyli pewnej wprawy. Stąd ów paradoks, przytoczony przez James'a, że „uczymy się pływać w zimie, a ślizgać w lecie”.⁴² Jest to, oczywiście, skutek odpoczynku po forsownem ćwiczeniu; błędy bowiem popełniane pod wpływem zmęczenia pouczają nas, jak daną rzecz wykonać; z tej nauki korzystamy odrazu po odzyskaniu pełni naszych sił. Ale może w tem być jeszcze coś więcej. Skryte przystosowania i przysposobienia mogą dokonywać się w dalszym ciągu w owych przerwach, które nazywamy wypoczynkami. Być może, że coś podobnego ma miejsce również wtedy, gdy idzie o przyzwyczajenia nie fizyczne. Bądź co bądź musimy się zgodzić z utartem zdaniem, że nałogi wytwarzają się przez niedostrzegalny przyrost w ciągu wielu dni. I to nietylko dlatego, że wytrwały młodzieniec, jak dowcipnie stwierdza prof. James, „pewnego poranka budzi się jako najbiedniejszy w swoim fachu”,⁴³ lecz również dlatego, że jeśliby nie czuwał nad swemi krokami, to mógłby nieopatrznie wpaść w sidła jakiejś skrytej wady.

Bardziej sporną jest rzeczą, czy przy wytwarzaniu lub wykorzenianiu nałogów należy przyznać pierwszeństwo inicjatywie pewnej i zdecydowanej. Podadzą to z pewnością w wątpliwość zwolennicy stopniowego i dobrze obmyślanego wtajemniczenia w higienę duchową. Mają oni swoje racje. Mogą argumentować, że mając do czynienia z przeciętną naturą ludzką, nie można liczyć na silną inicjatywę ze strony uczuć, impulsów, czy postanowień;

⁴² *Principles of Psychology*, tom I, str. 110.

⁴³ *Op. cit.*, t. I, str. 127.

mogą podkreślać także niebezpieczeństwo reakcji pod ciężarem przechodzącym siły i wytykać słusznie władczą niemoc „surowych“ rodziców i nauczycieli, którzy nie chcą odstąpić ani na jotę od swoich wymagań, aby je dostosować do poszczególnego wypadku.

Nie ulega jednak kwestji, że we wszystkich wypadkach, kiedy można odwołać się do wyraźnej skłonności, taktyka silnej inicjatywy znajdzie decydujące argumenty na swoją obronę. Zaciąga ona w służbę duży zasób uczuć, w latach dojrzałych wysiłek postanowienia zapewnia zdecydowane stanowisko wobec zmiennych okoliczności i „paląc mosty“ za sobą, zabezpiecza przed cofnięciem się wstecz. Czy chodzi o pierwsze próby udoskonalenia się, czy o nawrócenie się religijne, lub odrodzenie moralne, ostatni ten wzgląd ma wagę nawet jeszcze większą od poprzedniego. Niemożność cofnięcia się była nieraz pożądanym sprzymierzeńcem najgorętszego uczucia, silnego popędu, a nawet energicznego postanowienia. Stąd owe publiczne rękojnie, potajemne ślubowania, wyrzekanie się świata, zrywanie więzów i różnorodne wymysły, które mają zabezpieczyć stałość celu przez praktyczne uniemożliwienie cofnięcia się z raz obranej drogi.

Czwarta zasada brzmi: „jeśli to możliwe, nie przegrywać nigdy bitwy“.⁴⁴ Trudno o zdrowszą zasadę, trzeba bowiem zawsze pamiętać, że każdy błąd pociąga za sobą coś gorszego, niż zwykłe niepowodzenie: chodzi już wtedy nie o to, czy utrzyma się dobry nałóg, czy też żaden nałóg się nie wytworzy, ale o to, czy dobry, czy też zły nałóg zwycięży. Właściwa trudność polega, jak to zaznacza prof. Bain, na fackie, że w życiu duchowem współzawodniczące ze sobą dążenia ścierają się, chcąc nami ośwładnąć. Przegrana tedy bitwa staje się czemś więcej, niż porażką: wzmacnia ona wroga bez względu na to, czy nieprzyjacielem tym jest potężna namiętność, czy tylko pokusa wy-

⁴⁴ Bain, *Emotions and Will*, rozdz. IX. Porównaj James'a komentarze w *Principles of Psychology*, I, str. 123.

godnego życia. Pociąga za sobą jeszcze gorsze następstwa: bo jeśli przez wytrwałość w dobrem postępowaniu wytwarzamy sobie sami tradycję moralną, to przez każde niepowodzenie wrażamy w swą pamięć upokarzające i paraliżujące piętno porażki.

Do wyżej wymienionych zasad prof. James dodaje radę cokolwiek ascetyczną: podtrzymywanie w sobie zdolności do wysiłku przez drobne, ale codzienne i bezinteresowne ćwiczenia. Objaśnia to w następujący sposób: „czyń codzień coś jedynie dlatego, że nie masz do tego ochoty, a gdy nadejdzie chwila twardej konieczności, nie zastanie cię wówczas zdenerwowanego i niezaprawionego do sprostania potrzebie“.⁴⁵ Rada ta jest szczególnie przydatna dla ludzi, których los postawił w warunkach spokojnego, wygodnego i łatwego życia; resztę możnaby zwolnić od stosowania się do tej rady; samo bowiem życie aż nazbyt często wytwarza dla nich położenia, wymagające zdobywania się na czyny, do których nie mają ochoty.

Przestrzeganie tych wszystkich zasad nadaje życiu cechę stałości. Życie narodów dostarcza niezliczonych przykładów na to, że zwyczaje i ceremonje, wbrew wszelkim teorjom racjonalistycznym i wszelkiej krytyce, stają się czemś poprostu uświęconem. Nieinaczej dzieje się w życiu jednostek. „Niepodobna“, powiada Arystoteles, „a przynajmniej niełatwo, obalić zapomocą teorji to, co oddawna zakorzeniło się w charakterze“.⁴⁶

Ale czas już zwrócić uwagę na odwrotną stronę medalu i powiedzieć, że nałóg ma również swoje wady i ograniczenia.

Przedewszystkiem jest to narzędzie o dwóch ostrzach: z wyżej przytoczonych powodów może on utrwalić cnotę, ale, gdy zostanie źle skierowany, może również uczynić występki nieuleczalnym. Kto czytał Arystotelesa, pamię-

⁴⁵ *Principles*, t. I, str. 126.

⁴⁶ *Etyka*, ks. X, rozdz. IX, w. 5.

ta, że podług niego istnieje pewna klasa osób, które przez ciągle powtarzaną rozwiązłość stały się „moralnie nieuleczalnymi“.⁴⁷ I chociaż są optymiści przekonani, iż wyraz „nieuleczalny“ powinien być wykreślony ze słownika moralności, — nawet oni muszą przyznać, że to, co nazywa się czasem „nawróceniem“ moralnem, jest tylko — zgodnie z prawem przyzwyczajania — początkiem długiego trudu odbudowywania cegiełka po cegiełce zburzonego życia.

Druga możliwość, przed którą nawet chyba ostrzegać niepotrzeba, polega na tem, że nałóg może z łatwością wytworzyć sztywnego, drewnianego człowieka, który nie odpowiada wymogom życia. Życie bowiem przynosi coraz to nowe zmiany i stwarza coraz to nowe sytuacje. Tak bywa np., gdy chłopiec opuszcza dom i wstępuje do szkoły, albo przechodzi ze szkoły do wszechnicy; gdy wyrusza w świat, lub gdy zachodzą te, czy inne z tysiącznych mniejszych zmian, które są udziałem każdej, nawet szarej doli. Zdarza się, iż nawet wzorowy chłopiec zawodzi, o ile został nazbyt silnie wdrożony do nałogów, właściwych zamkniętemu domowi rodzinnemu, — i to tem łatwiej, im te nałogi były głębiej zakorzenione.⁴⁸ Smutny to fakt, jednak powtarza się dość często. Chłopiec ów nie będzie w stanie sprostać wymaganiom zmieniającego się otoczenia, choćby się w niem pewne sytuacje powtarzały, dopóki do szeregu swoich przyzwyczajzeń nie dołączy przyzwyczajania do ciągłego przebudowywania swych nałogów.⁴⁹ Stosuje się to nie tylko do przechodzenia od sta-

⁴⁷ *Etyka*, ks. VII, rozdz. VII, w. 2.

⁴⁸ Porównaj pobudzający do myślenia ustęp w *Rzeczypospolitej Platona* (ks. X), gdzie odmalowana jest słabość cnoty „nałogowej bez filozofji“.

⁴⁹ J. - M. Guyau, *Éducation et hérédité. Étude sociologique*. 17. wyd. Paris, Alcan, 1928, str. 36: „C'est cette faculté de réadaptation continue, cette habitude de se réhabituer constamment, qui est à la fois le principe de l'intelligence et de la volonté proprement dite, conséquemment le grand resort de toute éducation“.

rych cnót do nowych, lecz również do każdej poszczególnej cnoty. Nie należy np. wyrabiać odwagi, nawet bardzo silnej, wobec jednego tylko rodzaju niebezpieczeństwa. Byłaby to martwa odwaga, mogąca w opłakany sposób zawieść w godzinie potrzeby. Prawdziwa odwaga musi posiadać giętkość zwracania się i przystosowywania się do nowych okoliczności.

Zachodzi wreszcie jeszcze jedna możliwość: nałóg, pozbawiony umiejętności przyzwyczajania się na nowo, może przytępiać wrażliwość uczuć i zaciemniać inteligencję.

Pod jednym względem niema się co martwić, że nałóg przytępia wrażliwość. O pewnym wielkim chirurgu powiedziano, że musiał on zatracić w sobie litość jako wzruszenie, ażeby mógł odczuwać litość jako pobudkę do czynu. Moglibyśmy uwagę tę uogólnić, stwierdzając, że tylko mała cząstka obowiązków naszych nie ucierpi na tem, jeżeli będziemy żyli z dnia na dzień w pełni świadomości uczuciowej wszystkiego, co te obowiązki pociągają za sobą. Nie znaczy to, abyśmy mieli stać się automatami; toż wiemy już, że utajone uczucia tłą się jednak w nas, o czem łatwo się przekonać w chwilach zahamowania zwykłych obowiązków; chodzi tu poprostu o to, że chcąc dobrze spełniać swą pracę, trzeba sobie zapewnić pewną miarę spokoju w duszy.

Ale jest jeszcze inna strona tej sprawy. Polega ona na tem, że „można spędzić długie dni i nie poczuć ani razu, żeśmy kiedykolwiek byli młodzi“. — Nie poczuć tego skutkiem zdrewnienia wewnętrznego. Tu właśnie analiza Butler'a trafia w samo sedno rzeczy.⁵⁰ Twierdzi on, że kiedy wrażenia znajdują ujście w czynie, zdolności do czynu się wzmagają; gdy zaś wrażenia pozostają bierne, t. j. nie wyzwalają się w czynie, wtedy stopniowo prowadzą do stanu niewrażliwości uczuciowej. Oczywiście, zdanie to było podawane w wątpliwość. Zarzucano,⁵¹ że choć

⁵⁰ Butler, *Analogy*. Cz. I, rozdz. V.

⁵¹ Bain, *The Emotions and the Will*, III. wyd., str. 458.

folgowanie tym uczuciowo biernym wrażeniom osłabia dążenia praktyczne, to przecież nie zmniejsza ono wrażliwości na zadowolenie uczuciowe. Czyż istotnie uczucie litości np. miałoby osłabiać serce nawet dla uczucia litości? Czy raczej nie wyczerpie się ono, aż przejdzie w stan nieczułości, którego nie da się zataić, choćbyśmy nawzajem powtarzali wargami zużyte sentymentalne frazesy; aż wreszcie, odrzuciwszy wszelkie udawanie, przejdziemy w cyniczne szyderstwo? Zwykle w taki sposób uleganie uczuciowości prowadzi do zubożenia.

To samo może się zdarzyć z każdym nałogiem. Czyny, spełniane początkowo z bijącym sercem lub zamglonym okiem, nie wywołują zczasem nawet drgnienia pulsu, i to nie dlatego, żeby uczucie było utajone, ale że jakby zamarło. Z tego powodu słusznie uczucie i nałóg uznane zostały za dwa przeciwieństwa i nałóg nazwano rodzajem śmierci za życia.⁵²

Jeszcze bodaj poważniejsze znaczenie ma fakt, że nabyta łatwość działania w utarty sposób, zamiast pozostawić umysłowi swobodę potrzebną do pokonywania niezwykłych trudności, — może się bardzo łatwo przerodzić w niedołężny nałóg działania zupełnie bezmyślnie. Trudno o gorszy wynik! Nie wolno też zapominać, że czynność duszy jest z natury rzeczy wpleciona w okoliczności, zależne od czasu, miejsca, sposobu i celu; te zaś nie są bynajmniej określone raz na zawsze, lecz na zmiennej widowni działania ludzkiego przeistaczają się bez końca, zależnie od człowieka i od okoliczności. Stąd wieczna konieczność zmiany przyzwyczajzeń, bez czego nałóg, jak widzieliśmy, może zwyrodnąć w tępy automatyzm. Otóż tej zdolności przeistaczania swoich przyzwyczajzeń nikt nie nabędzie bez czujnej, lotnej inteligencji, któraby szybko rozpoznawała zmienne okoliczności i spostrzegała, czego potrzeba w poszczególnych wypadkach. Było to zu-

⁵² Por. Wordsworth, *Ode on Intimations of Immortality*.

pełnie jasne dla Arystotelesa. Nikt nie podkreślał z większym naciskiem, że na miejsce moralnego niezdecydowania pożądań naturalnych muszą wystąpić nałogi; nikt też z bardziej nieomylną przenikliwością nie widział, że to nie wystarcza. Nałogi, które on wychwala, nie są w rzeczywistości prawdziwymi cnotami, dopóki nie staną się „nałogami rozważnego wyboru“. Wówczas jednak mają one w sobie tę obfitą, bogatą w środki żywotność, która umie przystosować się do nowych warunków. Nie w tem leży największa zasługa Arystotelesa, iż widział, że cnota jest nałogiem. To może znikoma część jego posłannictwa. Znacznie płodniejsza jest jego doktryna, że w charakterze rozwiniętym w całej pełni nałóg musi iść w parze ze zdrowym i praktycznym sądem. Jakkolwiek bowiem długo trwa nowicjat życiowy, kiedy mądrzejsi od nas kierują naszymi postępami, to jednak nie może on trwać wiecznie. Nadejdzie wkońcu czas, gdy jednostka musi stawić czoło własnym trudnościom życiowym i szukać o własnych siłach ich rozwiązania. Otóż nie podoba ona temu, o ile nie połączy z nałogiem, idącym utartymi szlakami zwyczaju, bystrości, przenikliwości, wiedzy praktycznej, zdrowego sądu, czy jak to nazwać inaczej. Wszystko to razem jest najwyższą cnotą dobrego charakteru.⁵³

Z rozważań tych wynika, że człowiekowi, mającemu choćby najlepsze nałogi, daleko do tego, by był naprawdę człowiekiem z charakterem. Pod dwoma zwłaszcza względami może on mieć braki. Nałogi jego, zosobna dobre, mogą nie posiadać jedności organicznej i odpowiedniego wzajemnego ustosunkowania, co jest probierczym kamieniem charakteru. Niedosć dać dziecku dobre nałogi; muszą one być skoordynowane z uwzględnieniem funkcji, które człowiek spełniać musi w gospodarce społecznej;

⁵³ Dlatego dobrze jest czytać ks. II. *Etyki* w ścisłym związku z ks. VI.

muszą być wbudowane w charakter, przeniknięty jednością zgodnego planu i celu. Co więcej, człowiek z nałogami może jednak być pozbawiony doświadczonego, zdrowego sądu, bez którego nikt nie może z powodzeniem sprostać zmiennym trudnościom życia, a nawet doprowadzić do pełni rozwoju nałogi, których nabył, gdy jeszcze ulegał wpływom wychowawców.

Trzech zatem potrzeba warunków, aby charakter moralny mógł dojść do zupełnej dojrzałości: pierwszy — to dobre nałogi, oparte na silnych i obiecujących instynktach; drugi — to koordynacja nałogów, czyniąca człowieka zdatnym do spełnienia zadań życiowych; trzeci — to zdrowy sąd, który w chwili, gdy nie stanie kierownika, daje możliwość samemu sobie radzić i zmierzyć się ze światem własną, niezależną siłą.

Pozostaje rozpatrzeć, jak te warunki mogą być spełnione. W tym celu uczynimy w następnych rozdziałach krótki przegląd kierowniczych wpływów, zarówno naturalnych, jak społecznych, które urabiają i podsycają pokrewne uzdolnienia.

Część II.

Wpływy wychowawcze.

Rozdział I.

Otoczenie.

Jest rzeczą niemożliwą odróżnić to, co wrodzone, od tego, co jest wpływem otoczenia. Otoczenie zaczyna oddziaływać od lat najwcześniejszych i ani na chwilę działać nie przestaje przez dni, miesiące i lata.

„Ciała nasze doznają wrażeń, czy tego chcemy, czy nie chcemy“... To samo dzieje się z duszą. A ponieważ tak jest istotnie, przeto jest rzeczą nieuniknioną, że, mimo ścisłej obserwacji, zarówno dusza, jak ciało, ulegają niejednemu wpływowi w sposób niepostrzeżony. Najprzenikliwsi i najczujniejsi nawet rodzice niechaj nigdy sobie nie pochlebiają, że wiedzą wszystko lub prawie wszystko, co się dzieje z ich synem. Świadczy o tem czasami los „eksperymentów“ wychowawczych. W rzeczywistości takie ryzykowne próby nie są bynajmniej eksperymentami, brak tu bowiem tego, co stanowi wyraźny warunek eksperymentu, a mianowicie: dokładnego poznania i kontroli działających okoliczności. Wpływ otoczenia jest nieustanny, a sposobności do obserwacji przerywane. Skutkiem tego to, co osiągamy, nie jest tem, czego oczekujemy. To też nie ma się nawet czemu dziwić, że ten tak zwany eksperyment kończy się wynikiem, zdumiewającym samego eksperymentatora.

Stąd niebezpieczeństwo (nowoczesna fizjologja i psychologja otwiera nam na nie coraz bardziej oczy) zbyt szybkiego uznawania za dziedziczne wielu objawów, które w rzeczywistości są skutkiem niepostrzeżonego działania okoliczności zewnętrznych. Kiedy np. chłopiec oka-

zuje pozornie wrodzone zdolności do zawodu ojca, lub z przedwczesnie dojrzałą wiernością odtwarza rysy usposobienia ojca, to objawów tych nie można całkowicie przypisywać wrodzonej naturze. Mamy tu w każdym razie do czynienia ze zdolnością, odpowiadającą na właściwy bodziec. Reszta jednak wypływa prosto stąd, że chłopiec urodził się w środowisku, na którym wycisnęło swe znamię zajęcie, czy też usposobienie ojca. Pewien niezujący już magister kolegjum Balliol¹ zwykł był podrzynać sobie z osób, dopatrujących się dziedziczności w fakcie, że synowie dziekanów sami zostawali dziekanami, jakkolwiek działały tu inne, mniej ukryte przyczyny, dla których synowie wstępowali w ślady ojców.

Na naczelne miejsce wysuwa się tu przedewszystkiem fakt, że doświadczenie i wytwory starszego pokolenia nagromadzają się w otoczeniu. Wyciskają one swe piętno na zwykłych, codziennych sprawach i na atmosferze domu, wytwarzają specjalne pojęcie o ideale obowiązku, ideale przyjemności, o wyborze przyjaciół i o stopie życia; tym sposobem oddziaływają one z niechybnym skutkiem na młodą duszę, która wśród nich żyje, porusza się i myśli. W ten sposób utrzymują się tradycje rodzinne przez długie nieraz pokolenia. Wpływy te, oczywiście, działają na dany temperament, na dane zdolności i skłonności. Nie wolno nam jednak zapominać, że są to rodzaje uzdolnień, które nie istnieją i naprawdę istnieć nie mogą tam, gdzie brak jest otoczenia, pod którego wpływem zostaje dusza od najwcześniejszego dzieciństwa. W szczególny sposób sprawdza się to, gdy chodzi o owe zapóźnione instynkty, które ujawniają się dopiero w późniejszym wieku. Nie można ich uważać za coś nabytego. Niewątpliwie bowiem sposób i energja, z jaką się w danej chwili ujawniają, musiały ulec wpływowi akcji i reakcji,

¹ Balliol College, jedno z najstarszych kolegjów w Oksfordzkim Uniwersytecie. (*Przyp. red.*).

zachodzących pomiędzy organizmem a otoczeniem w ciągu lat, zanim znalazły swój wyraz. Zdarza się to również, choć w o wiele mniejszym stopniu, z instynktami i skłonnościami nie-zapóźnionymi. Instynkt sam w sobie, dyspozycja jako taka — to sprawy nieistniejące w doświadczeniu, to wytwory analizy. Realnym faktem jest zawsze skłonność i otoczenie w ich żywym stosunku do siebie. Ma to swoje znaczenie praktyczne. Kiedy dziecko naśladowuje rodziców, zwłaszcza z ubolewania godną wiernością odtwarzając to, co złe, to nie łatwiejszego, jak zwalić winę na „grzech pierworodny“. Jednak owa zgubna dziedziczność (*damnosa hereditas*) niezawsze jest i pewno nigdy całkowicie nie jest darem natury. Pochodzi ona od uleczalnego defektu niedbałego środowiska, jałowego lub złego przykładu, ubóstwa lub nędzy. Nikt dzisiaj już nie powie, że okoliczności są wszystkim. Czyż oset rodzi figi, a cierń wydaje róże? Ale okoliczności takie, jak „dziedziczność społeczna“, jak to niektórzy nazwali, „tradycja“, jak chcą inni, działają od lat najwcześniejszych. Badania zaś, wykazujące, jak bardzo subtelnie te wpływy działają, muszą podsycać nadzieję i dodawać bodźca wysiłkom wychowawców, a przede wszystkim rodzicom, którzy mogą je wyzyskać lub też zmarnować.

Podobnie się dzieje, gdy już przeminęła bierność pierwszych lat życia; dziecko zdobyło pewne właściwości charakteru i wkroczyło z nimi na drogę życia. Ale charakteru i otoczenia nie można sobie przeciwstawiać; nie-słusznie byłoby twierdzić, że urobiony charakter nie jest wrażliwy na wpływ otaczającego świata. Rzecz się ma nawet wręcz przeciwnie. Choćby kto był najzasobniejszy w owe wewnętrzne wartości, wznoszące go ponad zmiany i powodzenia życiowe, to przecież wartością najwyższą jest to, że posiadał tajemnicę otwierania swego serca i umysłu na pełnię bogactw naturalnych, społecznych i duchowych, jakie znajduje w swem otoczeniu. Nie dziecko, w ciasnym kole swej bierności, lecz wiek męski, doświadczeniem doj-

rzały, zdaje sobie dopiero sprawę z wielkości i wartości sił kulturalnych, wśród których żyje.

I to właśnie otwarło sprawie wychowania szersze widnokręgi i dalej sięgające ambicje. Bo wychowawcy obecni nie ograniczają już swego zadania do bezpośredniego wpływu umysłu na umysł i charakteru na charakter. Niedarmo czytali oni Platona i Arystotelesa. Przekonani równie silnie, jak owi patres conscripti wychowania, że charakter nie osiągnie nigdy pełni właściwego rozwoju, o ile nie znajdzie się w sprzyjającym temu rozwojowi otoczeniu, dochodzą oni do jasnego uświadomienia sobie ogromu leżącego przed nimi zadania. Polega ono na zreorganizowaniu, a w razie potrzeby zreformowaniu ustroju społecznego, aby każde nowe życie mogło przejść przez dobroczynny, zniewalający wpływ takich instytucyj, jak rodzina, państwo i kościół, których oddziaływanie rozciąga się na całe życie.

Dzieło wychowania, w szerokim tego słowa znaczeniu, jest połowiczne dopóty, dopóki każde nowoprzybyłe dziecko nie będzie przyjęte przez gruntownie przygotowane do tej roli otoczenie. Rodzina bowiem i szkoła to dopiero pierwsze kształty tego wielkiego ogniska, które nieraz wydaje się chłodne i obojętne, a z którego przecież duch ludzki po wsze czasy czerpie ciepło i pokarm.

R o z d z i a ł II.

Zdrowie ciała.

Wpływy natury i społeczeństwa nierozzerwalnie splecione są ze sobą w oddziaływaniu na członków cywilizowanego społeczeństwa. To też niełatwą jest rzeczą (jak się o tem niebawem przekonamy) rozgraniczyć za Spenserem wpływy przyrodzone od wpływów ludzkich i socjalnych. Nie wobec barbarzyńcy też, lecz wobec człowieka cywilizowanego, który hojnie czerpał z czary po-

ezji, piękna i sztuki, natura odsłania swój urok mistycznego posłannictwa; ale że zdawna już przywykliśmy czynić tę różnicę, niechaj nam wolno będzie, dla lepszego przedstawienia sprawy, pójść tą samą drogą.

Nie potrzebujemy tu kusić się o oddanie sprawiedliwości wszystkim wielkim, przyrodzonym wpływom, działającym na temperament, instynkt i zwyczaje. Klimat na przykład, warunki geograficzne, ostrość lub łagodność następujących po sobie pór roku, względna długość dnia i nocy — wszystko to do głębi odmienia życie i rozwój człowieka. Lecz po największej części musimy te wpływy brać takimi, jakimi one są; nie mamy bowiem władzy nad nimi. To też w praktycznym podręczniku, jak niniejszy, musimy się ograniczyć do stwierdzenia, że owe wpływy działają, i przejść nad nimi do porządku dziennego.²

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy się zwrócimy do warunków zdrowia fizycznego. Higijena i terapia dowodzą, że są one od nas zależne. Za takie też są powszechnie uważane. To też wielu ludzi dba bodaj jedynie o zdrowie fizyczne swych dzieci. Co się tyczy rodzaju i granic tych wpływów, oddajemy głos higienistom. Tutaj poprzestaniemy na powierzchownem jeno dotknięciu tego rozległego przedmiotu, na wyszczególnieniu niektórych ogólnych poglądów na to, jak dalece rozwój moralny zależy od zdrowia fizycznego.

1. Zależność ta jest oczywista, czerstwe bowiem zdrowie stanowi pierwszy warunek czynnej energii. Dzielni, sprężyści ludzie cieszą się przewagą, o wiele przewyższającą samą zdolność wykonywania tego, czego inni nie potrafią. Od tego zależy ich wartość polityczna lub ekonomiczna. Z punktu widzenia etyki wygrana tkwi w fałszywej, że ludzie urabiają swe charaktery przez energję swych czynów. Osiągają to, kształtując czynami swemi swe przy-

² Szersze rozpatrywanie tej kwestji znaleźć można u Lotzego, *Mikrokosmos*, ks. VI, rozdz. 2.

zwyczajenia. Ważniejszą jeszcze jest ta okoliczność, że czyny daleko silniej od wykształcenia zespalają życie człowieka z przeróżnymi celami i interesami socjalnymi. To też Spinoza, występując ostro przeciwko ascetycznej pogardzie ciała, wyszedł z założenia, że dobrze odżywiane ciało jest organem wszelkiego prawidłowego rozwoju, albowiem wprowadza swego właściciela w najrozmaitsze ustosunkowania do doświadczenia życiowego. Według jego poglądu, umartwianie i wyniszczanie ciała prowadzi do wygłodzenia duszy.³ Na tem również polega mądrość słów Carlyle'a, że gdyby człowiek poznał kiedykolwiek „to swoje biedne ja“, pierwszym krokiem byłoby poszukiwanie dla niego właściwej pracy i pełnienie jej. Inaczej nigdy nie zdoła urobić jaźni, któraby warta była poznania.

Wręcz przeciwnie rzeczy należy powiedzieć o braku energii. Lenistwo przysłowiowo prowadzi do nędzy, ale nędzą jego najgorszą nie jest próżna sakiewka: jest nią dusza odrętwiała wskutek braku tych umysłowych zdobyczy, których nigdy nie brak wśród czynnego życia. A fizyczna ospałość, czy słabość? Nie możemy jej za grzech poczytywać, aby nie „bić kaleki jego własnymi kulami“, ale nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że słabe lub chorowite ciało przyczynia się do obezwładnienia moralnego, zwęża zakres zetknięć z życiem i przez to upośledza charakter.

2. Podobnie ma się rzecz, gdy chodzi o wytrzymałość moralną. Kiedy na bliskich nam i drogich spada ciężka próba moralna, przedewszystkiem życzymy im dobrego zdrowia i silnych nerwów; i to nietylko, żeby zdrowie ich się nie załamało pod ciosem; albo w nadziei, że najszybsze ukojenie bólu znajdą w pochłaniającym, intensywnym wysiłku fizycznym, ale z ważniejszych względów moralnych. Tylko bowiem siła fizyczna zmniejsza niebez-

³ *Etyka*, Cz. IV, Twierdz. 45, Przypisek. Por. z tem Twierdz. 38 i 39.

pieczeństwo, zawsze grożące przy osłabionej żywotności, że cierpienie i wstrząs mogą zabić nawet silnych duchem, zanim cnota wytrwania zdąży się rozwinąć. Nierozsądnie będzie tedy ulegać naturalnej obojętności na fizyczne warunki bytowania w dniach ciężkiej próby. Słusznie też powiedział Rousseau, że im słabsze jest ciało, tem bardziej nami rządzi. Przeszkadza nam ono zabrać się z ochotą do pracy, zmusza do dania folgi rozstrojonym nerwom; wbrew dobrym postanowieniom czyni nas ponurymi, rozdrażnionymi, niesprawiedliwymi w ocenie ludzi i zdarzeń. Silne ciało posłuszne jest duchowi, — kończy Rousseau. Najpewniej bowiem ujarzmią ciało nie biczowanie lub włosiennica, ani żadne inne podobne wymysły, które nawet często właśnie przez ciągłe gnębienie nadają przewagę życiu fizycznemu. Najskuteczniejszym sposobem jest oddanie pełni sił ludzkich w służbę jakiejś sprawy lub osoby. To dopiero wzmaga siły ducha do najwyższej miary. Na tem opiera się etyczna wartość fizycznego wyszkolenia. To też, gdy żał nam długich godzin życia chłopięcego, poświęconych męczącemu lenistwu sportów i gier, pamiętajmy, że w dziele wychowania nie należy brać pod uwagę jedynie natychmiastowych wyników. Myślmy raczej o wymaganiach, jakie stawia życie w latach późniejszych, dla których czerstwość i wytrzymałość ciała będzie dzielną pomocą; myślny o wesołości i pogodzie, które towarzyszą zdrowiu; myślny wreszcie o zabezpieczeniu na ciężkie chwile, których los nikomu nie szczędzi. Ratunkiem wówczas jest zdrowie fizyczne, jeśli tylko nań liczyć można. W wychowawczym planie Platona dwa i pół drogie lat życia wyznaczonych zostało na wyłączne uprawianie gimnastyki.⁴ Jeżeli nam się to wydaje zbyt kosztowną daniną dla ciała, przypomnijmy sobie, że wypływa ona z zasady: „Ciało dla duszy“ i znajduje swe uspra-

⁴ Od 17-go do 20-go roku życia — czas właśnie najbardziej wartościowy dla kształtowania duchowych zamiłowań i zwyczajów. Por. *Rzeczpospolita*.

wiedliwienie w ciężkiej służbie, jakiej państwo w późniejszych latach żąda od swych obywateli.

3. Dodajmy wreszcie, że zdrowie ciała nieodzownym jest warunkiem zdrowego sądu życiowego. Najlepsze zdrowie nie zapewni, oczywiście, rozumu. Nie wszyscy rozumni ludzie są silni, ani też wszyscy silni — rozumni. Jednak pewien związek między obu czynnikami istnieje.

„Mądrość samorzutna zdrowiem tchnie,
Prawda — wesołością swobodną“,

mówi Wordsworth w znanym swym wierszu,⁵ którego pełne znaczenie niezawsze bywa rozumiane; bo, chociaż zdrowie i wesołość mogą nie dać mądrości, zabezpieczają one jednak dostatecznie przed nierozsądkiem w niektórych najczęstszych jego przejawach. Mylne bowiem sądy (jak dalszy ciąg może lepiej wykaże, p. str. 161 i 204) nie powstają wyłącznie lub nawet głównie z powodu zaślepionej nieznamomości okoliczności. Pochodzą one raczej z nietrafnej oceny faktów, z fałszywego ujęcia spraw, nie przekraczających bynajmniej naszego horyzontu. Oprzytomniawszy, zdajemy sobie z tego sprawę: „Jak mogłem to pomyśleć? Jak mogłem to powiedzieć?“ pytamy po odzyskaniu równowagi, a równowagę tę beznadziejnie tracimy pod wpływem rozstrojonych nerwów i chorobliwej uczuciowości. Chorobliwy bowiem stan ciała niedostrzegalnym niemal wpływem organicznym przygłusza wrażliwość na jedno, a przesadnie zwiększa ją na drugie, aż wreszcie tracimy, i nawet świadomie tracimy, zdolność widzenia rzeczy takimi, jakimi są w rzeczywistości i jakimi je znowu, po odzyskaniu zdrowia, widzimy. Najlepsi ludzie mogą w takich chwilach ulec złudzeniu, spowodowanemu przez fizyczne wyczerpanie, i wydawać sądy opryskliwe, niemiłosierne, pośpieszne; zawstydzą ich łatwo ludzie, którzy zachowali równowagę dzięki niewzruszonemu zdrowiu, idącemu w parze z życiem, pozbawionem wstrząsów. Oto przycy-

⁵ *The Tables Turned.*

na, dlaczego nieraz zawodzą usiłowania nawrócenia ofiar hipochondrji na drogę zdrowego poglądu na świat. Hipochondryk może nas wysłuchać, nawet częściowo zrozumieć, — będzie to jednak tylko rozumienie słów, rzeczywistość bowiem, jak ją ujmujemy, różni się od tej, którą on widzi. Oto najpoważniejsza krzywda, jaką słabe lub wstrząśnięte nerwy nam wyrządzają. Ból, wyczerpanie, nawet przymusowa bezczynność mniejszem są złem, niżli to zamroczenie sądu, który w dojrzałym wieku jest źródłem wszelkiej czynności duchowej. Zdarza się niekiedy, że i osoby o słabem zdrowiu odnoszą stąd pewną korzyść. Bywają one ostrożne i przezorne, a to może je ustrzec od wielu pomyłek. Ale to mizerny równoważnik zdrowego sądu i zdrowego poglądu na świat i życie. Lepiej zawczasu pracować nad zachowaniem zdrowego ciała i pamiętać, że kiedy chodzi o istotę tak skomplikowaną, jak człowiek, niezawsze rzeczywiście moralnemi są wpływy najsilniej moralizujące.

Prawd tych jednak nadmiernie podkreślać nie potrzeba. Wręcz przeciwnie, wbrew orzeczeniu dra Johnsona, że choroba czyni człowieka łotrem, musimy stwierdzić, że choroba, jak wszelka słabość cielesna, zamienić się może w siłę, jeśli będzie pojmowana jako sposobność do postępu duszy. Byli ludzie — jak np. Erazm, Montaigne, Heine — którzy potrafili z humorem, bardziej wzruszającym od hartu duszy, uczynić z własnej choroby i cierpienia moralny kapitał i w ten sposób obalić powiedzenie Johnsona. W obliczu wszystkich podstępnych sieci i przyszywających strzał choroby i zniszczenia, ludzkość nie zgodziłaby się wyrzec ani jednej z tych pociech, które fizycznej słabości udzielają tajemnicę moralnej siły. Cierpienie fizyczne może też zrodzić cnotę hartu, dzielności. Słabe ciało staje się czasem przyczyną głębszego i subtelniejszego wewnętrznego poznania się i choć długotrwała choroba nieraz wiedzie do samolubnej hipochondrji, to jednak czasem wytwarza ona współczucie dla cudzych

cierpień, co rzadko bywa udziałem czerstwych i ruchliwych osób.

Tak czy inaczej nie zmienia to zasadniczej prawdy, że kto chce wychować należycie rozwinięty charakter, musi stać zdala od ascetycznego przesądu, zakorzonego w fałszywej psychologji, że stała śmierć ciała jest życiem dla duszy.

Niema w tem materjalizmu. Przeciwnieństwem materjalizmu jest wiara, że życie moralne nie jest tak ubogie w środki, by nie znalazło dostatecznie wysokiej służby dla najlepiej rozwiniętego ciała. Wspominaliśmy już o twierdzeniu Spinozy, że nie wiemy, do czego ciało jest zdolne.⁶ Możemy obecnie postąpić o krok dalej i powtórzyć za Arystotelesem, że nigdy wiedzieć tego nie będziemy, dopóki ciało nie zostanie uznane za narzędzie zupełnie rozwiniętej duszy, co dopiero stanowi jego prawdziwe znaczenie. Materjalizm polega nie na pozbawionem przesądów poznaniu materji, ale na niesłusznem przypisywaniu jej supremacji lub niezależności. Nie jest bynajmniej materjalizmem kładzenie dużego nacisku na wychowanie fizyczne, dopóki platońska zasada: „Ciało dla duszy“ rządzi każdą czynnością wychowawczą.

R o z d z i a ł III.

Nauka Spencera o naturalnem oddziaływaniu.

Niezaprzeczenie dobrze jest, by młodzi przez osobiste doświadczenie uczyli się, czego mogą się spodziewać w stosunku do siebie od otoczenia, od ludzi i rzeczy. Czy się nam to podoba, czy nie, na osobistych doświadczeniach polega znaczna część wychowania. Nie można bezustannie „dzieci niańczyć, pilnować ich każdego kroku i wo-

⁶ *Etyka*, Cz. III, Twierdz. II, Przypisek. „A przecież nikt dotychczas jeszcze nie wyznaczył, do czego ciało jest zdolne“.

dzieć na pasku“.⁷ Przez pierwsze lata życia, przez życie całe, rwiemy się naprzód mniej lub więcej na ślepo. Skażemy, nie patrząc. A jeżeli uczymy się czynić inaczej, to w wielkiej mierze przez błędy nasze i skutki, jakie one powodują. Łzy polewają pierwsze drobne kiełki przewidywania, rozwagi i wyboru. Zysk z poszczególnych doświadczeń gromadzi się i stopniowo wzrasta nawykowa ostrożność, która z biegiem lat pomoże właścicielowi sterować łodzią swego życia. I niby samo z siebie, jak nieoczekiwana nagroda, przyjdzie owo nigdy już niezapomniane poznanie właściwości istot i rzeczy, które parzą, tną, kłują, targają, tłuką, gryzą, kopiają i t. d.

Jest to prawda, którą Spencer w rozdz. III swej znanej pracy: „O wychowaniu moralnem“⁸ przedstawia z niezwykłą siłą, ilustrując przykładami. Oddał on rzetelną usługę wychowawcom i zasłużył na ich wdzięczność. Odnośny rozdział jego książki pozostanie na zawsze słusznym protestem przeciwko wychowaniu zapomocą dowolnie wyznaczanych kar, przeciwko bezcelowemu wtrącaniu się, przeciw okrucieństwu drakońskich metod, przeciw zbyt rozpowszechnionemu złudzeniu, że wychowanie można oprzeć na rozkazach, zakazach i przepisach. „Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwom względem dzieci“ winne jest szczególną wdzięczność Spencerowi za rozdział, w którym piętnuje ojca za to, że gdy mu przyniesiono dziecko ze zwichniętą nogą, przywitał je chłostą.

Należy jednak ściślej sformułować istotne znaczenie spencerowskiej doktryny. Jest to najbezwzględniejsza obrona metody „naturalnego oddziaływania“. Cała trudność leży w ustaleniu, kiedy oddziaływanie nazwać można naturalnem. W przykładach, przytoczonych przez Spen-

⁷ Wordsworth, *Prelude*, ks. V, str. 238.

⁸ Spencer. *O wychowaniu*, rozdz. III.

(Herbert Spencer, *O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznym*. Przełożył Michał Siemiradzki. Wyd. 6. Warszawa 1908. — *Przyp. red.*).

cera, dzieci upadają, uderzają głową o stół, chwytają się gorących drzwiczek od pieca, lub też oblewają się wrzącą wodą. Tu oddziaływanie następuje bez interwencji ludzkiej. W innych wypadkach, np. gdy dzieci, porozrzucawszy wszystko w swoim pokoju, cierpią, ponieważ muszą doprowadzić pokój do porządku, lub też, gdy mali chłopcy muszą za karę łątać odzież, którą podarli, łąząc przez płoty, — oddziaływanie (reakcja naturalna) z pewnością nie miałoby miejsca, gdyby natura nie była znalazła narzędzi w osobach matek i nianieek. Dalej już w rozdziale o „późniejszym życiu“ czytamy o zubożałym leniuchu, o niepunktualnym człowieku, który sam stał się swym wrogiem, o kupcu-zdzierycy, tracącym klientelę, o nieuważnym lekarzu, który traci pacjentów i t. d. Wreszcie mowa jest o poważniejszych przewinieniach, jak kłamstwo lub kradzież, z którymi natura sama, bez ludzkiej interwencji nie jest zdolna sobie poradzić i wzywa pomocy dwu sojuszników: napomnienia rodzicielskiego w pierwszym wypadku, a w drugim odszkodowania, które, według Spencera, powinno być wypłacone z kieszonkowych pieniędzy dziecka.

Można, oczywiście, jeśli kto chce, nazwać wszystkie te oddziaływania naturalnemi. W szerokim bowiem pojęciu całe społeczeństwo ludzkie zaliczone być może do przyrody. Tak sądzili filozofowie greccy. I Burke⁹ za nimi powtarza znamienne zdanie: „sztuka jest naturą człowieka“.¹⁰ Gdyby uznać ten pogląd za słuszny, to oddziaływanie naturalne byłoby prostem następstwem zachowania się ludzi i to nietylko ze strony przyrody, ale także ze strony dobrze zbudowanego systemu społecznego. Takie pojęcie nie mieści się jednak w doktrynie Spencera. Wierny swemu hasłu: *laissez-faire*, chciałby on interwen-

⁹ Edmund Burke, 1730—1797, wielki angielski mąż stanu i pisarz polityczny. (*Przyp. red.*).

¹⁰ *Appeal from new to the old Whigs*. Dzieła, tom III, str. 86.

cję ludzką ograniczyć do minimum i, co za tem idzie, uważać jako „naturalne“ oddziaływanie, skłaniające się do „prawdziwej teorii i praktyki dyscypliny moralnej“. Ilustracją jej są poparzenia, oblania wrzątkiem lub sińce, jakich zewnętrzny świat nigdy nie omieszka udzielić tym, co prawa jego gwałcą. W jakim stopniu doktryna ta jest zdrowa, wkrótce się przekonamy. Narazie stwierdzamy tylko, że żadną miarą nie da się ona zastosować do oddziaływań w wypadkach takich, jak owego niedbałego kupca, niezdolnego lekarza, leniwego ucznia, ani nawet małego chłopczyka, zmuszonego połatać sobie ubranie. Wszystkie one wynagają interwencji ludzi, i to ludzi, przejętych ideologją moralnych zasług i dyscypliny; wszystkiego tego niema w oparzeniu, spaleniu, czy sińcach, jakie stosuje przyroda.

To samo dotyczy nagany lub upomnienia. Mogą one mieć wpływ wielki, i nikogo nie zdziwi, że Spencer w wypadkach poważniejszych wykroczeń do nich się odwołuje. Ale ich wartość zależy bądź co bądź od źródła. Napomnienie ojca, który bił dziecko swoje zato, że zwichnęło nogę, niewielką chyba ma wartość, mniejszą niż ukąszenie przez niebezpieczne zwierzę. Nagana ojca ma tylko wtedy moralne znaczenie, gdy powodują nią nie gniew, ale uczucia i myśli, rzeczywiste dobro ukaranego dziecka mające na celu. Zdaje sobie z tego sprawę Spencer i dlatego wzywa rodziców, aby się starali tak oddziaływać, jakby oddziaływał ojciec „o doskonałej naturze“. Świetnie to powiedziane! Cała trudność polega jedynie w pogodzeniu tego ze spencerowską wiarą w spencerowską „naturę“. Inną bowiem jest rzeczą pozostawienie przyrodzie wychowania chłopców i dziewcząt, a inną poddanie ich wpływom rodziców, tak silnie przepojonych ideą moralną, że niemal znajdujących się na drodze do doskonałości. Bo to jest wychowanie moralne, a tamto nie!

Zresztą, chociaż często owe „naturalne oddziaływania“ mają swe dobre strony, nie jest jednak rzeczą dowiedzio-

ną, żeby zasługiwały na zaufanie bezwzględne. Dają one poznać, jak zachowują się rzeczy i ludzie w pewnych okolicznościach, przez co wyrabiają ostrożność; wpływają też dodatnio na stosunek rodziców do dzieci i odwrotnie: dziecko nie ma żalu, bo kara nie pochodzi od rodziców; a rodzice, stojąc na uboczu, gdy natura smaga dziecię, zachowują równowagę. To wszystko prawda, ale gdy dalej czytamy, że oddziaływania te są „dostosowane do przewinienia“, albo w innem miejscu, że „nie jest przeznaczonem, aby urwis, który potyka się o próg, cierpiał więcej niż należy“, — to nas wprost przeraża śmiałość tych twierdzeń. Mały chłopiec zapomina włożyć palto; — czy odpowiednią jest karą, by dostał zapalenia płuc? Inny idzie nieostrożnie na lód, niedość silnie zamarznięty, — czy sprawiedliwą jest karą, by utonął? Dwóch małych chłopców włazi na płot, jeden drze spodniki, drugi przebija nogę drzazgą z płotu; — które z tych dwu oddziaływań jest „przeznaczone“ przez naturę? Stanowczo, dni bezwzględnej ufności w naturę minęły. Zbyt dobrze poznaliśmy jej bezlitosne i szafujące życiem postępowanie względem żywych stworzeń; nie mamy też powodu przypuszczać, że inną będzie dla człowieka, najbardziej bezsilnego wśród wszystkich stworzeń. Różnemi sposobami zdaje się zmierzać do zniszczenia go, a zastrasżające sprawozdania o śmiertelności wśród dzieci wykazują, że czyni to z powodzeniem. Można wpaść w przesadę pod tym względem i nerwowym rodzicom należy przypominać, że dzieci, które żadnego nie poznają niebezpieczeństwa, nigdy nie staną się samodzielni, — ale jednak różne środki ostrożności, stosowane do dzieci starannie chowanych, nie są wynikiem nerwowej i bezpodstawnej nieufności. Uznaje to nawet Spencer: „W dzieciństwie“, mówi on, „konieczne jest zastosowanie absolutyzmu. Nie można pozwolić, by trzyletni dzieciak, igrając z otwartą brzytwą, uczył się „naturalnych skutków“, mogłyby one bowiem być zbyt poważne“. Istotnie, „mogłyby“ i często

bywają nazbyt srogie, nawet gdy się ma trzy razy po trzy lata.

Poważną też przeszkodą jest to, że oddziaływanie naturalne często jest tak powolne i skryte, że przychodzi zbyt późno. Bo przyroda twardym jest kupcem; gdy ma pewien zapas wiedzy na składzie, żąda zazwyczaj, aby za nią do ostatniego grosza zapłacić, co nie bez racji zwykliśmy nazywać: „naszem drogo okupionem doświadczeniem“. „Jeżeli nie będziesz biegał, pókiś zdrów“, mówi Horacjusz do leniwca, „wypadnie ci biegać, gdy będziesz miał wodną puchlinę“. Podobna nauka pod twardą dłoń przyrody jest może tem, na co zasłużył dorosły, ale czy możemy ją uważać za odpowiednią karę dla niebacznej młodości? Jakże często nieświadome zaniedbanie prawideł przyrody powoduje utratę zdrowia; lub lekkomyślna opieszałość sprowadza dotkliwe straty; zdradliwy, stopniowy upadek sił toruje drogę nieszczęściu, albo wreszcie „prosta przyjemność prowadzi do śmierci“. Nauka, jaka stąd płynie, nie jest dostatecznym wyrównaniem strat, bo w wychowaniu, jak w sztuce, nie wystarcza badać wyniki; — trzeba jeszcze obliczać koszty. Choć wiedza, zapóźno przez jednostkę nabyta, może być przekazana światu wraz z ciężarem daremnego żalu, to jednak trudno uznać taki sposób wyrabiania charakterów za dobrą gospodarke.

Może to nie będzie zarozumiałością, jeśli stwierdzimy, że Spencer, jak się zdaje, nie docenił dwóch wielkich umiejętności, ściśle z wychowaniem związanych, a ważnych i trudnych zarazem.

a) Jedna to zdobycie zaufania tych, na których wpływaliśmy chcieli. Spencer rozumie doniosłość zaufania. Bez niego nagana, bez której nie można się obejść, gdy mamy do czynienia z poważniejszymi przewinieniami, nie osiągnęłaby skutku. Nie można jednak bezkrytycznie zgodzić się na wskazany przezeń sposób zdobywania zaufania. Jeśli dziecko np. chce się bawić ogniem, matka, „roz-

sądna matka“, przewidując, że „z pewnością kiedyś się sparzy“, najpierw je ostrzega, a potem — pozwala mu się sparzyć, z tem zastrzeżeniem (za które wdzięczni jesteśmy Spencerowi), że poważnemu uszkodzeniu jednak należy zapobiec, choćby przemocą. Taka błogosławiona nauka podwójną dziecku przynosi korzyść: dziecko dowiaduje się nietylko, że ogień parzy, ale też, że jego matka jest najlepszą i najbardziej przewidującą przyjaciółką.

To jednak byłby zbyt łatwy sposób zdobycia zaufania; aby je osiąść, trzeba użyć wielu środków: cierpliwej miłości, zwyczajnej dobroci w wielu drobnych sprawach, szybkiego i serdecznego zrozumienia młodocianych planów i projektów, silnego a pobłażliwego prowadzenia w sprawach ważniejszych i troskliwej opieki, rodzącej wdzięczność za pomoc i ratunek, który odwrócił skutki młodzieńczego szaleństwa, czy nieświadomości. Spencerski sposób zdobywania zaufania jest w najlepszym razie jednym z wielu i to nie najlepszym.

b) Drugą umiejętnością, zaledwie przez Spencera uznawaną, która jednak zajmowała umysły największych pedagogów, zwolenników lub też przeciwników kary, jest umiejętność karania. Czy kara jest środkiem poprawy, czy odwetu, czy sposobem odstraszenia od przestępstwa na przyszłość? Rozróżnienie to naogół bardzo trudne, nawet gdy chodzi głównie o małych przestępców z dzieciniego pokoju lub szkoły. W tym wypadku staje się nawet szczególnie trudne ze względu na moralne znaczenie kary i sprawiane przez nią wrażenie, o co prawnik lub polityk rzadko kiedy się troszczy. Spencer zdaje sobie sprawę z tej trudności i wyprowadza wniosek, że wobec tylokrotnych pomyłek ludzkich, popełnianych przy stosowaniu kar, winniśmy raz na zawsze obowiązek ten zrzucić na przyrodę. W rozumowaniu tem uderza miła prostota, ale jakże ją pogodzić choćby z ową zalecaną naganą rodzicielską i nałożeniem odszkodowania, które przecież mieszczą w sobie pewien stopień kary. Nie możemy też z au-

torem podzielić optymistycznej wiary, że młode życie, pozostawione samo sobie, wywalczy zwycięstwo.

Czy istotnie rękojmie, które daje przyroda, są tak pewne, że możemy z lekkim sercem zrzec się na jej korzyść tak poważnej odpowiedzialności? Czy wolno nam obdarzyć ją władzą najwyższego niejako trybunału? Toż wiemy, że właśnie przyroda w niewzruszonych swych wyrokach z zinną obojętnością traktuje zasługę, odpowiedzialność, skrucę, grzech, zbrodnię i słabość, a więc te wszystkie wartości moralne, które kara, wymierzana ludzką ręką, pod uwagę brać musi. Czyżby wreszcie ludzkość tak była niezdolna do samopomocy, żeby aż musiała wyrzec się rozpacznie własnej kontroli i kierownictwa w dziedzinie kary, to znaczy cierpienia, wymierzanego dla poprawy jednostki i społeczeństwa?¹¹ Musimy też wziąć pod uwagę wpływ moralny tak ważkich czynników, jak litość i przebaczenie. Częstokroć ci, co doznali litości, popełniwszy za młodu różne przewinienia i szaleństwa, w późniejszych latach umieją być litościwi; a ci, którym przebaczone nawet bez odszkodowania, zdobywają się zkolei na wspaniałomyślne przebaczenie, którego napróżno szukalibyśmy w przyrodzie. To prawda, że przyroda umie nie tylko ranić, ale i leczyć rany i że siły naturalne, które darzą nas życiem, zdrowiem i radością, mają wewnętrzną moc przewycięzania cierpień, zniszczenia i śmierci; jednakże w planie przyrody nie leży intencja odpuszczania win i darowania choćby części kary, która się za pogwałcenie przyrodzonych praw należy. A gdybyśmy nawet wierzyli w sprawiedliwość przyrody, to człowiek zdolny jest do uczucia wyższej miary i do zastąpienia sprawiedliwości miłosierdziem.

Całość doktryny spencerowskiej przypisuje wielką wagę umiejętności przewidywania skutków, — jest to w najlepszym razie część i przytem nie najbardziej obiecująca część wychowania. Przeważnie też w pracy Spen-

¹¹ Por. str. 145—146.

cera mamy do czynienia z oddziaływaniem li tylko hamującym, podczas gdy o wiele mędrszą i sympatyczniejszą drogą jest wyszukiwanie obiecujących instynktów, zdrowych skłonności, idealnych porywów i podtrzymywania ich wszelkimi dostępnymi środkami tak, by dzieci i młodzież nabrali odwagi i rozwijali ufnie a radośnie swe wewnętrzne walory.¹² To jest rzecz, której metoda „oddziaływań naturalnych“ nie może zapewnić. Ma ona raczej tendencję do zaszczepiania ostrożności i wyrachowania. Tego rodzaju usposobienie, o ile zjawia się przedwcześnie, kłóci się fatalnie ze zdrową bezinteresownością tych lat, kiedy oczy utkwione są bardziej w przedmiocie pożądania, niż w przyjemnościach i bólach, które on za sobą pociąga. „Każde wychowanie“, mówi Guyau, „winno zmierzać do tego, aby przekonać dziecko, że jest ono zdolne do dobrego i niezdolne do złego, aż wreszcie ono się takim stanie istotnie“.¹³ Jest to polityka nie wykluczająca pomyłek, rozczarowań i niepowodzeń, a oddziaływania, pochodzące zarówno od przyrody, jak od społeczeństwa, niezawodnie ich dostarczą. Lecz nawet i w tym wypadku racjonalne postępowanie będzie polegało na tem, by dodawać odwagi tym, którzy padają, by ich stawiać na nogi i porywać naprzód, by skupiać wszystko, co w nich dobrego, i posuwając się aż do sugestji, przekonywać ich, że są zdolni do lepszych czynów.

Rozdział IV.

Wychowanie naturalne według Wordswortha.¹⁴

Niema celu zastanawiać się nad tem, co może dla nas zdziałać sama przyroda, nie jesteśmy bowiem nigdy cał-

¹² Por. str. 56—57.

¹³ Guyau, *op. cit.*, str. 17: „Toute l'éducation même doit tendre à ce but: convaincre l'enfant qu'il est capable du bien et incapable du mal, afin de lui donner en fait cette puissance et cette impuissance“.

¹⁴ William Wordsworth, 1770—1850, poeta angielski, założyciel t. zw. „szkoły jezior“, wielbiciel natury. (*Przyp. red.*).

kowiecie oddani jej pieczy. Ma ona stale do czynienia z człowiekiem uspołecznionym i do pewnego stopnia cywilizowanym. Odnosi się to do ewangelji Wordswortha. Chociaż bowiem ten największy z apostołów wychowania naturalnego, buntując się, jak Rousseau, przeciwko sztucznej przesadzie i konwencjonalizmowi życia społecznego, dość często przeciwstawiał „przyrodę“ „społeczeństwu“, to jednak nie należy przywiązywać do tych stwierdzeń zbytnej wagi. We wszystkim bowiem, co nam ten poeta w „Preludjum“ o swem dzieciństwie i młodości opowiada, wpływy otoczenia społecznego i naturalnego nie są sobie wrogie, ale łączą się z sobą i współdziałają wzajemnie. Mówi on o dziecku, wychowanem w domowym i społecznym kole, i o tem, czem dla takiego dziecka może być wpływ przyrody. Właśnie to społeczne otoczenie czyni wpływ przyrody tem większym. Marnyby się zresztą oddało hołd przyrodzie, nastając na to, że tylko człowiek urodzony w pustce i dziczy miałby korzystać z jej wpływu. Daleko lepszem świadectwem jej potęgi jest kapłaństwo przyrody w stosunku do ludzi, przygotowanych do przyjęcia jej darów przez wychowanie domowe i społeczne. I dlatego właśnie miłość przyrody nie tylko nie jest złudzeniem młodości, blednącem z biegiem lat, ale stać się może namiętnością całego życia; tem silniejszą, im bardziej człowiek nauczył się czuć i myśleć w łączności z bliskimi sobie ludźmi.

Wpływy naturalne są o wiele wcześniejsze od świadomego szukania przyrody dla jej czaru, od rozbudzenia się „miłości przyrody“ w dorosłych i ukształconych umysłach. „Świat dziecka“, słusznie mówi dr. John Brown, „liczy około trzech stóp wysokości“.¹⁵ Nie mieszczą się w nim obszerniejsze widoki przyrody, a jeśli wchodzą

¹⁵ *Horae Subsecivae*, tom II, str. 5. „Dużo czasu musi upłynąć, zanim dzieci zobaczą, lub ściślej popatrzą na to, co ponad nimi; lubią ziemię, jej kwiaty i kamienie, ezerwone wśród murawy chrząszczyki i zazułki i wszystkie ciekawe stworzenia“.

przypadkiem w jakiś nieokreślony sposób, to stanowią jedynie mało znaczące tło dla dziecięcych zajęć, zabaw i sportów. One to stanowią świat dziecka; a jednak wówczas już wpływy ziemi, morza i nieba nieznacznie wywierają swój wpływ, niepostrzeżenie wchodząc w duszę. A że każda pora roku własne posiada bogactwo zmienionych widoków, przeto życie wzruszeniowe otrzymuje nieokreślone, a jednak silne pobudki.

„Z przyrody płynie wzruszenie; nastroje ciszy
 Przyrody również są darem.
 W tem jej chwata“.¹⁶

Stąd przyrodzony zachwyty słońcem, radość wśród chłodnej świeżości poranka, zdumienie i obawa podczas powodzi, burzy lub ciemności. Wrażenia takie, oczywiście, przemijają szybko wśród bardziej dotykalnych, domowych, codziennych zajęć. Nie wywierają też bezpośredniego wpływu moralnego, ale powtarzając się, z biegiem lat coraz bardziej zasilają życie uczuciowe. Przyroda, poezja, sztuka i religja współzawodniczą z sobą jako źródła życia duszy. A nigdy bodaj moc poruszania serce nie jest tak potrzebna, jak w wieku, gdy konieczna praktyczność postępu materialnego i pochłaniające, ale często suche rozumowania naukowe i krytyczne aż nazbyt odrywają uwagę od kształcenia uczucia i wrażliwości.

To obudzenie życia uczuciowego działa w dwóch kierunkach. W jednym kierunku, ponieważ wzruszenie jest rozlewne; nawet, gdy je wywołały określone przedmioty, nie wsiąka w nie; działa na całego człowieka: na jego ciało i duszę. Tem bardziej, gdy wzruszenie jest wielkie, a przedmioty, które je budzą, zaledwie mglisto postrzegane i tylko napółwidzialne. Tak dzieje się też z naturalnymi wpływami pierwszych lat życia; ich wpływom nie brak energii, ale nie są one dość jasne; uczucia są

¹⁶ Wordsworth, *Prelude*, XIII, 1.

silne, pełne zachwytu lub obawy, ale trudno rozpoznać, skąd one przychodzą. A że każde wzruszenie usiłuje wyładować się w pewnym kierunku, wynikiem tego jest wezbranie źródeł żywotności, znajdujących odpływ w wielu kierunkach. Tak sądzi też Wordsworth:

„Uczucie udzieliło mu mocy,
Która wśród rosnących zdolności zmysłów
Jest jakby czynnikiem jednego wielkiego Ducha-Stwórcy“.¹⁷

A to właśnie tworzy pełniejsze życie, wyrażające się w rozliczny sposób.

Z biegiem czasu występuje drugi wynik: rozróżnienie i bardziej określone kojarzenie biorą górę nad mniej jasnym żywiołowym życiem samego uczucia. Wzruszenia wiążą się z wyraźnymi przeżyciami i określonymi przedmiotami, a przedewszystkiem przywiązują się do przedmiotów prostych i trwałych. To ma Wordsworth na myśli, gdy powiada, że „przyroda nigdy nie zdradziła serca, co ją pokochało“.¹⁸ Przyroda nas nie zdradza, bo przedmioty, które ona tak chętnie ofiarowuje, nie mają w sobie tej kruchości, czy złudy, która niweczy tyle ludzkich wytworów. Jeżeli moc przyzwyczajenia, którą zwalczają ci apostołowie przyrody, przytłumia naszą wrażliwość i wzrok nam zaciemnia, a ciągłe zajęcie błahostkami lub troskami zamyka jej wpływom drogę do serc naszych, nie przyroda winna wtedy, lecz my. „Poranek świeci, niebaczny na przewrotność ludzką“.¹⁹ Ilekroć spadają nam z oczu łuski, — przyroda, jedyna wiecznie obecna, ofiarowuje nam wciąż z dobrocią niewyczerpaną swój „spokojny pokaz wiecznotrwałych radości“.²⁰

Takie wpływy, co więcej, mogą żyć dalej w pamięci. Czasem, przez prosty zbieg okoliczności, wstaje z pocho-

¹⁷ *Prelude*, II, 255.

¹⁸ *Tintern Abbey*.

¹⁹ *Prelude*, XII, 31.

²⁰ *Op. cit.*, XIII, 31,

wanej przeszłości „duch nieśmiertelny szczęśliwego dnia“, spędzonego na wzgórzu lub wybrzeżu. Ale czasem też przychodzi to prawem kontrastu, najczęściej może do mieszczuchów, jakgdyby wrzawa ulicznego ruchu kierowała myśl ku wspomnieniom samotnych chwil, spędzonych tam, „gdzie wielkie jaśnieją poranki dokoła beczącej zagrody“. W podobny sposób poeta rewolucji od rzezi na barykadach przenosi nas do wizji okrętów na dalekim, cichym oceanie. Dalej jeszcze posuwa się Wordsworth. W zbyt znanych, by je cytować, wierszach swych opowiada on, jak myśl jego, ze wstrętem odwracając się od „niezdatnego, kłótliwego niepokoju i gorączki świata“, często zwracała się ku płynącej wśród lasów rzece Wye i twierdzi, że przebudzone wzruszenia takich wspomnień mogą niemały wywrzeć wpływ na tę najlepszą część życia człowieka, którą stanowią jego drobne, nienazwane, niepamiętane uczynki, świadczące o dobroci i miłości. Bo wszelkie natężenie wzruszenia w opanowanym charakterze dąży do wyrażenia się na drogach utartych i odpowiadających całemu jego nastawieniu. Trzeźwiejszy pogląd ogranicza się do stwierdzenia, że wspomnienie doznanych dzięki miłości natury przeżyć może wzbogacić nasze życie poczuciem posiadania jakiegoś dobra osobistego i samowystarczalnego.

„Kaź mi pracować, ale żadne więzy
Niechaj mię nie pozbawią wolnego nieba“,

mówi poeta, który zgłębił potęgę natury,²¹ a jego słowa znajdują oddźwięk w sercach wszystkich, którzy doszli choćby do skromnego jej poznania i ukochania. Ona nie zdradziła ich nigdy choćby dlatego, że zawiesza na ścianach naszej pamięci obrazy, które przed oczami duszy jaśnieją przynoszącą zadowolenie i przywracającą siły radością.

²¹ Barnes.

Mogą one wywierać swój wpływ w późniejszych latach w dwojaki sposób.

a) Wewnętrzne bogactwo może dać tę „wystarczającą sobie samej moc samotności“, która tak bardzo sprzyja osiągnięciu spokojnego, pogodnego poglądu na życie. Oczywiście, niezawsze tak bywa. Czyż nie opisał nam Wordsworth w swoim mistrzowskim epitafjum, jak niezadowolona duma i ambicja, mimo złotych obietnic, doprowadza do tem większego rozgoryczenia w miłym odosobnieniu wśród dzikiej przyrody i do tem głębszego smutku wśród obrazów piękna, zatrutego żądłem zawiedzionego egoizmu? Tacy ludzie muszą szukać ukojenia nie w samotności, ale w gwarnem mieście. Nie należy jednak podobnych wypadków uogólniać. Ta tak powszechna niezdolność do pozostawania sam na sam z naturą jest niezawodną oznaką duchowej słabości. Trzeba jej przeciwdziałać, a niewiele jest środków lepszych od będących darami przyrody aktualnych rozkoszy, lub ich wspomnień.

b) Drugą korzyścią jest to, że rozbudzona miłość przyrody nadaje kierunek przyjemnościom i rozrywkom późniejszego życia. Rozumie się, że cnoty nie urastają wśród rozrywek, a nawet jeśli urastają, to cnoty niższego rzędu. A jednak nie ulega wątpliwości, że sposób życia danej rodziny i przyjaźni przez jej członków zawierane zależą zarówno od przyjętego przez nią ideału rozrywek, jak od przyjętego ideału moralności. Tak więc od kształtowania domowych czy indywidualnych ideałów przyjemności mogą pośrednio zależeć wyniki, których granic niełatwo jest ustalić.

Należy tu jeszcze dodać, że ukochanie przyrody sprzyja rozwinięciu się zdrowego, pogodnego poglądu na rzeczy. Taki pogląd szczególnie dużo jest wart w czasach, kiedy nas coraz bardziej opanowuje życie wielkomiejskie. Jego znaczenie jest największe wówczas, gdy staje się źródłem tego interesowania się żywym i martwym światem, które nauczyciel-przyrodnik powinien umieć dalej

rozwijać. Dziecko urodzone i wychowane w mieście jest narażone na wiele niebezpieczeństw. Codzienne oglądanie i słuchanie rzeczy odrażających i pożałowania godnych może stępić na całe życie jego wrażliwość na ubóstwo i niedolę. Lub jeśli dziecko pochodzi z domu miłosiernego i uspołecznionego, może pod wpływem współczucia zetknąć się przedwcześnie oko w oko z szaleństwem, brudem i zepsuciem, a wtedy zacznie przedwcześnie męczyć się zagadnieniami społecznymi, do których jeszcze nie dojrzało. Miasto posiada, oczywiście, również strony dodatnie: swoje gry i rozrywki, parki, muzea, biblioteki i widowiska, bystre nurty różnobarwnego przemysłowego i handlowego życia. Korzystajmyż z tego wszystkiego, nie zaniedbując jednak zainteresowania dla pokrytej zielenią ziemi i jej skrzydlatych i czworonożnych mieszkańców. Zainteresowanie to tkwi, jak się zdaje, w instynktach wszystkich dzieci. Odpowiednio podsycane — przez wakacje na wsi, pracę w ogródku, rysunki z natury, czar nauk przyrodniczych — może ono niewątpliwie tak się rozwinąć, iż stanie się ostoją całego życia.

Nie należy przypuszczać, że zwracając się ku przyrodzie, odwracamy się od człowieka. Wyłączne zajmowanie się społeczeństwem nie prowadzi bynajmniej do najlepszego poznania go. Rzadko kiedy można poznać życie ludzkie lepiej, głębiej wniknąć w jego prawdziwą treść, niż wtedy, gdy przełamawszy więzy miejskich przyzwyczajzeń, oddajemy się szczerze przez pewien czas zainteresowaniom, które zdają się nie mieć nic wspólnego z życiem ludzi i miast.

Jedno natchnienie z wiosennego lasu
 Więcej poznania złego i dobrego,
 Więcej dać może wiedzy o człowieku,
 Niż wszyscy mędrcy Wschodu i Zachodu.

A choć prozaiczny umysł chciałby pewnie przerwać nam zapytaniem, jakim to sposobem jedno wrażenie może

dać tyle pozazłroszczenia godnej wiedzy, tem niemniej jednak twierdzenie to jest słuszne. Nawet gdyby lasy od początku swego istnienia nie mówiły nam nic o złem ani o dobrem, to jednak dają nam więcej, niż w nich szukamy. Wpływ ich może oderwać nas od niespokojnych czy próżnych, brudnych, uprzedzonych, czy nędznych myśli, które tak często w życiu podnoszą się jak wyziewy, aby wypaczyć nasze pojęcia moralne. Bo gdy kłębią się one koło nas w chwili samotnego współżycia z naturą, zaczynamy widzieć fakty i doświadczenia naszego życia w prawdziwszej perspektywie. Są chwile, gdy nie odczuwamy potrzeby nauki, choćby nas mieli uczyć najwięksi mędracy, — lecz pragniemy oglądać w prawdziwym świetle to, o czem mówiono nam tysiące razy. A to właśnie może dla nas uczynić natura, usuwając nam z przed oczu zasłonę, tkaną przez nasze umęczone i niespokojne serca.

Wordsworth każe nam wierzyć w coś więcej jeszcze. Wychowany na łonie natury, intuicyjnie wyczuwał, że życie ludzi, zwłaszcza życie pasterzy i innych mieszkańców dzikich okolic, przesycone jest jakby odbłaskiem scen, wśród których upływa. Żywił on też głębokie przekonanie, że jeśli będziemy zbliżali się do życia ze skłonnością do patrzenia na „złotą stronę tarczy“, to wkońcu dojdziemy do prawdziwszego, bo pełnego nadziei i sympatji poglądu na naturę ludzką.

Wielu ludziom wydaje się to fantastycznym i naciąganiem. My tylko dodamy, że za stronę tarczy, na którą padają nasze pierwsze spojrzenia, można uznać życie domowe, bez względu na to, czy płynie ono na wsi, czy w mieście. Pamiętajmy także, że życie wśród dolin i pagórków, jak sam Wordsworth dobrze wiedział, może być dalekie od sielanki i nie lepsze od tego życia, które walczy i grzeszy „pod zastoną dymu“ wielkiego miasta. Niezaprzeczoną jednak pozostaje prawda, że wielkiem szczęściem dla chłopca czy dziewczyny jest dzieciństwo spędzone na wsi, ich pojęcia bowiem o życiu i pracy kształ-

tują się wówczas na podstawie tego, co widzą wokoło i co łatwo rozumieją. Podobnie, jak prosta pod względem formy, pełna żywiołowości ballada łatwiej przemawia do młodej wyobraźni, niż dojrzały, bardziej opracowany utwór literacki, tak silniej działa domowa epopeja skromnego życia, płynąca nieprzerwanie na polu i w zagrodzie, w blasku słońca i podczas ulewy. Pogodna praca zarobkowa, dobrze zasłużony wypoczynek po ciężkich trudach, uczciwa niezależność, śmiało patrząca w oczy świata i wszystkim zmianom losu: — wszystko to bez porównania lepiej uwydatnia się w życiu wiejskiem, niż wśród skomplikowanych mechanizmów i organizacji, zawiści klasowych i wśród całej masy bardziej rozwiniętych, ale mniej zrozumiałych zajęć życia wielkomiejskiego. Zasady życiowe, jakie poznajemy na wsi, wypływają z samej istoty życia tych, którzy je pełnią, są bardziej pociągające ze względu na otoczenie, a skutkiem tego o wiele silniej przemawiają do młodzieńczego zainteresowania i sympatji. Dopóki tak jest, — pomimo wszelkich zastrzeżeń, — zbliżanie się do życia od „złotej strony tarczy“ będzie dawało wartościowe pod względem wychowawczym wyniki.

Pozostaje jeszcze jeden punkt, nieco trudniejszy do wyjaśnienia. Wielcy apologetci natury zazwyczaj są realistami, a co za tem idzie, zaciętymi wrogami „patetycznych złudzeń“, chcących w świecie zewnętrznym widzieć tylko odbicie ludzkich nastrojów i namiętności. Zgodnie z tem twierdzą, że w zewnętrznych zjawiskach tkwi napół jawne, napół utajone objawienie idej i Boga, z którego wszystkie idee powstają i w którym się jednoczą.

Nie należy odrzucać lekkomyślnie tej doktryny, uważając ją za mglistą metafizykę.²² Nie ulega bowiem wątpliwości, że w naturze leży bogactwo obrazów, poprzez któ-

²² Jak np. Macaulay, zob. Trevelyan, *Life and Letters of Macaulay*, tom II, str. 283. „Są tam dawne uniesienia nad lasami i wodospadami, stara zwietrzała filozofja, mówiąca o wpływie krajobrazu na umysł i t. d.“

re wyobraźnia może tworzyć wielkie, jasne i żywe idee moralne.

Jest w naturze coś więcej jeszcze. Nawet najprostszy człowiek dojrzy potęgę w wezbranym potoku, spokój w blasku cichych, niesplamionych żagleń mór, znikomość wśród liści lasu. I chociaż wrażenia takie działają raczej przez emocje, które wywołują, niż przez udzielenie pojęć, to jednak w przeżyciach takich jest coś więcej od samego uczucia. Różne przejawy bytu wywołują różne rodzaje uczuć i gdybyśmy, powtarzając często te doświadczenia, uniknęli przytępiającego wszystko wpływu przyzwyczajenia, to mogłyby one „wtajemniczyć“ nas — aby użyć terminu Wordsworth'a — w świat idei.

Z drugiej strony musimy być ostrożni w przypisywaniu naturze zdolności objawiania praw i wartości moralnych w zwykłym znaczeniu tych słów. W chwilach, gdy natura do nas przemawia, sposób, w jaki reagujemy, zależy w dużej mierze od naszego nastawienia estetycznego, które ma stosunkowo niewiele wspólnego z życiem moralnym. Czyż czar wichrów, powiewów, lasów w wiosennej szacie nie pochłania nas tak, że na chwilę zapominamy o naszych pojęciach moralnych, że zagadnienia moralne przestają nas niepokoić?

Ale tylko w przerośni natura uśmiecha się do świętego, a na grzesznika chmurzy. Nie możemy liczyć na jej pomoc, gdy chodzi o nadanie życiu naszemu wyraźnego kierunku, o ocenę instynktów przeznaczonych do służenia jakiemuś ideałowi, lub o rozważne kształcenie przyzwyczajzeń; a przecież wszystko to leży u progu moralności. Po to musimy zwrócić się do społeczeństwa. Wniosek ten nie ulegnie żadnej zmianie nawet wtedy, jeżeli do wpływów natury zaliczymy wychowanie przy pomocy przykładów z życia zwierząt, które od wieków są źródłem upozorowanych, moralizatorskich przypowieści i bajek.

Pod tym względem dużo zawdzięczamy przyrodzie: pełen niepokoju duch ludzki od latających ptaków uczy

się beztroski, a możliwość otrzymania dobrych wyników przy pracy i roztropności potwierdza gospodarka mrówek i bobrów. Jednak przykłady takie mogą przynieść korzyść dopiero wtedy, gdy w świetle innych doświadczeń doszliśmy już do możności odróżniania enoty od występku, a o tem cały świat zwierzęcy wzięty razem nie nam powiedzieć nie może. Nawet jego arystokracja, gdy poważnie zmierzmy ją ludzką miarą, okaże się daleką od tego, co ocenilibyśmy jako godne szacunku. Właśnie ubóstwo uzdolnień sprawia, że niewielka liczba przymiotów, w jakie zwierzęta są wyposażone, występuje tak jaszkrawo, że czasami mogą służyć za przykład. I chociaż prawem życia zwierzęcego jest, że „najzdatniejsze“ osobniki utrzymują się przy życiu, to nie w tej zdatności nie zasługuje na pochwałę naszych sądów moralnych, zważywszy, że „najzdatniejszą“ do życia okazuje się ta jednostka, która najskuteczniej usuwa od życia, będącego ciągle współzawodnictwem, inne bliźnie stworzenia. To też do świata zwierzęcego zwracamy się nie poto, żeby tam szukać nauki, ale przez litość i współzucie, żeby bronić zwierzęta jedne przed drugimi, lub przed okrucieństwem człowieka, żeby znajdować rozkosz w śledzeniu ich pracy, zabaw, objawów przebiegłości, zastanawiać się nad ich postępowaniem często dla nas trudnem do pojęcia.

R o z d z i a ł V.

Rodzina, szkoła, przyjaciele.

Od niepamiętnych czasów filozofowie zastanawiali się nad tem, „skąd się wzięło społeczeństwo ludzkie“; właściwie jednak raczej zjawisko samotnictwa należałoby uznać za zagadnienie, wymagające badania, każdy bowiem człowiek jest „stworzeniem towarzyskiem“. Jedynie dzięki wychowaniu i pewnej karności społecznej, dzięki dostarczonej przez społeczeństwo sferze działania może on

rozwinąć swoje siły. Od chwili urodzenia wchodzi nieodwołalnie w sferę wpływów społecznych.

Stąd psychologowie mówią, nie bez racji, o „dziedziczeniu społecznem“.²³ Nie jest to dziedziczenie w ścisłym znaczeniu tego słowa, gdyż nie oznacza bezpośredniego przechodzenia właściwości przyrodzonych czy nabytych z rodziców na dzieci; jest raczej pewien sposób ujęcia faktu, że gdy członkowie jednego pokolenia ustępują, to wyniki ich pracy nie giną wraz z nimi, a pokolenie następne nie musi zaczynać pracy na nowo od początku. Przeciwnie, dzieła przeszłych pokoleń są zebrane i przechowane pod postacią takich większych lub mniejszych zmian, jakie udało im się sprawić, dzięki skutecznemu działaniu na otoczenie. Istotnie, żadne ustępujące pokolenie nie pozostawia ani sztuki, ani instytucyj, ani zwyczajów, ani tradycji, ani języka, ani literatury w ściśle tym samym stanie, w jakim je zastało. Każde nowe życie wchodzi w to wiecznie powiększające się i wiecznie zmienne dziedzictwo społeczne, a ono oddziałuje na nie od chwili jego pojawienia się na świecie tak długo i pracowicie przygotowywanym na jego przyjęcie. Inne rodzaje dziedziczności mogą budzić wątpliwości, jak to już widzieliśmy; w tym jednak wypadku niema nawet cienia wątpliwości. Im głębiej sięga analiza, tem jaśniej widzimy, jak przez naśladowanie i przystosowanie młode życie ustosunkowuje się do danego otoczenia i jak czerpie soki odżywcze z dziedzicznego gruntu. Wiele rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się wrodzone, wiele takich, które zbyt pochopnie moglibyśmy uznać za odziedziczone w ścisłym znaczeniu tego słowa, może znaleźć proste wytłumaczenie w owym wczesnie przenikającym, nieustannym wpływie społeczeństwa.

Z tego wynika, że koncepcja „dziedziczności społecznej“ prowadzi do specjalnego zaakcentowania odpowie-

²³ Por. str. 74.

działności wychowawczej. Pogłębia ona przekonanie (zawsze bliskie dla myślącego obserwatora), że zarówno nastój domu rodzinnego, wytwarzany przez rodziców, jak ich udział w szerszym życiu społecznym, w pracy dla dobra całego kraju, już od najmłodszych lat dziecka wpływają na rozwój dobrych czy złych jego stron. I chociaż, oczywiście, wrodzone wyposażenie, będące darem natury, ma znaczenie pierwszorzędne, to jednak doniosłość „dziedziczności społecznej“ polega na tem, że przeczy ona usiłującemu usprawiedliwić ucieczkę przed odpowiedzialnością, a zarazem stanowiącemu pretekst do niedbalstwa gnuśnemu przypuszczeniu, jakoby wrodzone cechy, bez względu na siłę, były zawsze dostateczną rękojmnią samowychowania (p. str. 40). Teorja „dziedziczności społecznej“ wykazuje, do jakiego stopnia społeczeństwo wpływa na jednostkę od chwili jej urodzenia, a nawet jeszcze wcześniej; odsłania fakt, że wiele tak zwanych reakcyj wrodzonych może być udziałem wyłącznie jednostek, które żyją, poruszają się i mają własny byt w obrębie pewnego społeczeństwa. Jest to prawda, którą muszą uznać, choćby niechętnie, nawet ludzie buntujący się przeciw społeczeństwu, jak np. satyrycy, cynicy, samotnicy. Mogą oni oskarżać społeczeństwo lub wyrzekać się go; a jednak ściślejsze badanie wykazuje, że i oni zawdzięczają wpływom społeczeństwa, w którym się wychowali, nawet tę siłę moralną, tę niezależność, która im każe występować przeciw społeczeństwu. Poeci niekiedy dopatrywali się w narzutowych gładach symbolu samotniczego życia. Oko jednak badacza dopatruje się w nich śladów owych czasów, gdy góry lodowe, które je niosły, zderzały się na nieistniejących już morzach.

Teraz przejdźmy do organów, któreimi posługuje się społeczeństwo, aby wybijać swe piętno na swych członkach. Jest ich, oczywiście, wiele, tak wiele, że trudno byłoby wyliczyć wszystkie. Istotnie, jest ich tyle, ile instytucyj społecznych, ile różnorodnych sposobów urabiania

przez nich swych członków. Niektóre z instytucyj mają szczególną doniosłość. Z nich pierwszą w czasie i pierwszą ze względu na znaczenie jest rodzina.

Rodzina.

Przedewszystkiem trzeba pomyśleć o tem, że wpływ rodziny nie ogranicza się do tego tylko, co rodzice czynią świadomie dla osiągnięcia pewnego zgóry postawionego celu. Mieści się to, oczywiście, wśród wpływów rodziny, zajmuje nawet wśród nich tak poczesne miejsce, że wychowanie dzieci przez rodziców przynosi zazwyczaj jako nieoczekiwaną nagrodę wychowanie rodziców przez dzieci. A jednak dom rodzicielski wywiera najgłębszy wpływ wychowawczy nie w tych chwilach, gdy rodzice czynią coś dla zbudowania dzieci, nie w chwilach, gdy sumienia rodziców są szczególnie czujne, ale przez życie codzienne z jego zwykłymi upodobaniami, zasadniczymi zainteresowaniami, ustalonymi sądami o różnych osobach i przedsięwzięciach, z jego zwykłym kołem znajomych, z ustaloną stopą życia, przyjętymi ideałami pracy i rozrywki. Na świat bowiem zaczynamy patrzeć oczami naszej rodziny. Jeśli to pierwsze spojrzenie ukaże nam cele ludzkie w prawdziwej perspektywie, a nie zniekształcone przez próżniactwo lub lekkomyślność, nikczemność, chciwość, kłótnię, czy sentymentalne środowisko — stanie się to nietyle dzięki świadomym zabiegom wychowawczym, ile dzięki ideałom życiowym, jakie dana rodzina istotnie wyznaje i urzeczywistnia. Poziom wartości moralnej, jaką dana rodzina osiągnęła, wyrazi się z biegiem lat w codziennych uczuciach, sądach i czynach jej członków. Ten rodzaj wpływu jest szczególnie skuteczny, ponieważ ułatwiają go więzy naturalnego uczucia. Bez tych więzów, bez całkowitego zaufania stosunkowo niewiele można zrobić. Zdarzało się już, że rodzice stanowczy i rozsądni musieli uznać swą bezsilność dlatego właśnie, że nie potrafili zdo-

być zaufania swych dzieci. Normalnie jednak rodzice mają wybitną przewagę nad innymi wychowawcami, ciesząc się bowiem zaufaniem, które ktoś obcy musi dopiero zdobywać z trudnością. Sam fakt istnienia więzów naturalnego uczucia przynosi podwójną korzyść: pobudza samorzutne zaufanie, które otwiera drogę wpływom wychowawczym, a jednocześnie nadaje naganie ojca lub matki taką moc zakazu czy kary, jakiej niema bez miłości i zaufania. Pod tym względem rodzina ma znaczenie pierwszorzędne. Żaden najmilszy nawet nauczyciel, żadna władza publiczna, choćby szczerze ojcowska i łagodna, nie może z nią współzawodniczyć. I gdyby tego czynnika zabrakło w wychowaniu, czyto na skutek oziębłości rodziców, czy rozbitcia życia rodzinnego, czy też upadku rodziny, jeden z najczystszych źródeł wpływu moralnego wysechłby u źródła.

Dalszą zaletą wychowania rodzinnego jest to, że rodzice bardziej niż ktokolwiek inny są w możności uzależnić postępowanie od tego, czego indywidualność danego dziecka wymaga. Jeśli rodzice uważają swe dzieci za wyjątkowe istoty, to złą polityką byłoby rozwiewać brutalnie ich złudzenia; lepiej przyznać życzliwie, że ich bóstwa są jedyne w swoim rodzaju. Będzie to prawdą w tem znaczeniu, że wymagają opieki i starania, dostosowanego do ich indywidualnych właściwości i potrzeb. Wszyscy się na to godzą, gdy chodzi o odżywianie i higienę. Nieinaczej powinno się postępować, gdy chodzi o obiecujące lub groźne instynkty, o najczęstsze słabostki, temperament, nawet o dziwactwa, któremi przecież tak wyraźnie różnią się dzieci wspólnie wychowywane. Otóż uwzględnić to wszystko potrafi tylko czujne oko i zawsze wyciągnięta do pomocy ręka.

Stąd wynika, że wpływ rodziny najpotrzebniejszy jest wtedy właśnie, gdy wychowanie publiczne jest zorganizowane na wysoką skalę i kiedy władze publiczne napróżno usiłują zastąpić rodziców. Płonna jest obawa, żeby tego

rodzaju wychowanie mogło zastąpić funkcje rodziny. Czyż trzeba przypominać, jak wiele indywidualnych potrzeb, nawet jeśli chodzi o dziecko zupełnie przeciętne, wymyka się przez zbyt duże oczka form organizacyjnych, które z natury rzeczy mogą tylko pobieżnie i masowo zajmować się swoim materiałem? Tam właśnie, gdzie wychowanie jest zorganizowane przez władze publiczne, bardziej niż gdziekolwiek indywidualność dziecka, na którą tak silny nacisk kładli Rousseau, Pestalozzi, Froebel, powinna być badana spostrzegawczemi, pełniemi tkliwej miłości i niepokoju oczami rodziców, pielęgnowana, odpowiednio kierowana, hamowana i rozwijana. Rodzina może dać to, czego próżno szukaliśmy gdzieindziej. Naturalne uczucie nie jest jej jedyną dźwignią, oprócz niego bowiem są jeszcze wspólne radości i smutki, a z biegiem czasu narastają wspomnienia wspólnej przeszłości. Jest tam również bezinteresowna radość z zamiarów i powodzenia najbliższych, wdzięczność za dobrodziejstwa, nie pozostawiająca po sobie przykrego uczucia zadłużenia, i to szczere i chętne uczucie, którego wszyscy potrzebujemy, a które rzadko w równej mierze znajdujemy gdzieindziej.

Do tego trzeba dodać, że te wpływy, rozbiegając się wszerek, jak koła na wodzie, daleko wykraczają poza rodzinną zagrodę. Rzucają one posiew wszystkich cnót społecznych. Z uczuć bowiem rodzinnych rodzą się te wzruszenia, które nowe pokolenie wnosi czasem w szersze życie. „Oziębły krewny nie będzie nigdy gorliwym obywatelem“, mówi Burke.²⁴ Nazbyt bezwzględnie, być może, to powiedziano. Trzeba bowiem liczyć się z tem, że w każdej moralności powinno się znaleźć miejsce dla tego wyjątkowego typu, który miłuje swe plemię bardziej od rodziny, dochodząc aż do niebezpiecznej i paradoksalnej skrajności „znenawidzenia ojca swego i matki swojej“. Jednak,

²⁴ *Reflections on the Revolution*. Dzieła, tom II, str. 320.

wracając do aforyzmu Burke'a i wszelkich podobnych powiedzeń, trzeba stwierdzić, że normalna ścieżka rozwoju uczuć ludzkich prowadzi od rodziny do społeczeństwa.

Tu właśnie indywidualiści stawiali sobie niepotrzebnie niemożliwe do rozwiązania zagadnienie. Padając ofiarą błędnej abstrakcji, uważali człowieka za atom życia społecznego, a następnie wysilali się, aby wyjaśnić, w jaki to sposób z egotycznych, jeśli nie wrogich sobie atomów ludzkich mogą rozwinąć się pełne ofiarności uczucia społeczne. Tej pracy mogli oni sobie zaoszczędzić. Ich atom społeczny jest czystą abstrakcją. W rzeczywistości rodzina, nie zaś jednostka, jest cegłą w budowie społecznej. To też ludzie, których los umieścił choćby w zupełnie przeciętnej rodzinie, doszedłszy do wieku refleksji, spoglądają się, że już posunęli się daleko na bitym gościńcu, prowadzącym do szerszych sympatyj społecznych. Zważmy teraz, że te wpływy domowe zaczynają się bardzo wcześnie, w okresie, kiedy dusza jest jeszcze plastyczna, szczerza i ufna; zważmy, że one mogą działać bez przerwy przez cały okres młodzieńczy — a przestaniemy się dziwić, że rodzina oddawna uchodzi za najniezbędniejszy czynnik wychowania moralnego.

Nie może ona jednak zdziałać wszystkiego. W szczególności nie może ona zapewnić swym członkom dość różnorodnych dróg rozwojowych. Widzimy to wyraźnie w rodzinach, których członkowie mało stykają się ze światem, gdy np. chłopcy czy dziewczęta nie uczęszczają do szkół ani do uniwersytetów, lub gdy nie są ożywieni różnymi dążeniami. Chociażby taka młodzież była jak najlepsza, będzie jakby zrobiona według jednego szablonu, co wywiera przygnębiające wrażenie.

Czyż trzeba przypominać znane ostrzeżenie, że „młodzi, którzy nigdy za próg domu nie wyjrżeli, dla domu tylko odpowiedni rozum mają?”

Rodzina może również zawieść ze względu na ściśle przeprowadzoną karność. Cele jej są wysokie: posłuszeń-

stwo, które ona chce zapewnić, ma być zarazem skore i chętne. Otóż, mierząc wysoko, rodzina często zawodzi raz w jednym, to znowu w drugim kierunku. Tak, istnieją rodzice nie rozumiejący zupełnie, co to jest autorytet, a jednak lubiący rozkazywać, a nawet popierający rozkaz uderzeniem; ich odpowiednikiem jest typ dziecka odnoszącego się do rodziców ze strachem i żalem. W tym wypadku karność cierpi z powodu jednej ostateczności; — z drugiej strony może ucierpieć a nawet zaniknąć przy nierozumnym pobłażaniu. Jest to bodaj częstszy wypadek. Śmiało też można twierdzić, że wielu synów i wiele córek nawet z doskonałych rodzin nie rozumie, co to jest bezwzględny autorytet, dopóki nie zetkną się z nim z konieczności w szkole lub w świecie.

Poza tem rodzina może mieć inne jeszcze, poważniejsze braki. Doświadczenie aż nazbyt często świadczy o tem, jak łatwo dom rodzinny, wewnątrznie mocno spojony, może się wyrodzić we wstrętną klikę, niewyrozmiałą, bezwzględną, zazdrosną w stosunku do wszystkiego, co jest poza nią. W tym wypadku zamiast sprzyjać rozwojowi szerszych uczuć, będzie on je niweczył. Tak łatwo przecież usprawiedliwić zbiorowe samolubstwo, gdy każdy z grzeszących niem może się powołać na to, że mu chodzi o korzyść bliskich. Taka atmosfera, rzecz jasna, nie sprzyja rozwojowi uczuć społecznych. Nie możemy także, niestety, zamykać oczu na ubolewania godny fakt, że w każdym większym zbiorowisku znajdują się rodziny nie dorastające nawet do zbiorowego egoizmu. Są to, oczywiście, rodziny tylko z nazwy, ale nie z ducha. Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń przeciętna rodzina tyle przynajmniej jest warta, iż można liczyć na to, że da się ją ulepszyć, a przez to uczynić z niej instytucję coraz doskonalszą przygotowującą i uzupełniającą to wychowanie, jakie daje szkoła, a po niej — życie.²⁵

²⁵ Jeżeli wierzyć Platonowi, jest pewien rodzaj miłości, szczególnie wśród krewnych, do której człowiek może się zmusić, której nie zrazi

Szkola.

Chociaż szkołę, zwłaszcza elementarną, nazywają czasami rozszerzoną rodziną, to jednak przeważnie inne wrażenie odnosi chłopiec, znalazłszy się po raz pierwszy w gronie swych przyszłych kolegów. Nie byłoby nawet rzeczą pożądaną, żeby szkoła była czemś w rodzaju rodziny. Oczekujemy bowiem od niej nowych elementów wychowawczych, takich jak: samopomoc i współzawodnictwo, które w domu rodzinnym zaznaczają się tylko w słabym stopniu. Złudzenia pochodzące z nazbyt dobrego inniemania o sobie, tak łatwo podtrzymywane przez atmosferę domu, w szkole rozpraszają się bez śladu. A chociaż przy ożywionej rywalizacji współzawodnicy niezawsze liczą się ze sprawiedliwością i zasługą, to jednak wyrabia ona takie zalety, jak: odwaga, ufność we własne siły, szacunek dla kolegów i umiejętność zniesienia odmowy, czy porażki. Chodzi o to tylko, żeby ten duch współzawodnictwa nie stłumił innych głębszych pobudek działania. Bez względu bowiem na to, jak cenimy wartość współzawodnictwa, nie wolno nam zapomnieć, że pragnienie pokonania rywala ma niewiele wspólnego z chęcią spełnienia obowiązku. Co więcej, możemy dodać, że nawet wtedy, gdy współzawodnictwo będziemy traktowali jako poboczny motyw działania, pomimo pozorów wielkiej skuteczności będzie ono posiadało fatalny brak. Istotną wartość ma bowiem jedynie bezpośrednie umiłowanie celu, dla którego działamy. Ten motyw ostoi się nawet wtedy, gdy przestaną działać uboczne pobudki, do których należy współzawodnictwo. Ostatnie ma tę sła-

nawet obojętność i nieczułość rodziców (patrz znamieny ustęp w *Protagorasie*, zakończony słowami: „Lecz człowiek dobry ukrywa swoje uczucia i zmusza się do chwaleń rodziców, a jeśli skrzywdzili go i jest na nich zagniewany, uspokaja gniew swój, godzi się z nimi i zmusza się do miłowania i chwaleń własnego ciała i krwi“ (Por. przekł. W. Witwickiego, str. 83).

bość, że do końca działania pozostaje motywem zewnętrznym, skutkiem czego nie może zapewnić w dostatecznej mierze ciągłości pracy. Wszystko to są tylko zastrzeżenia. Nie zmieniają one w niczem faktu, że w społeczeństwie przemysłowym i handlowym współzawodnictwo szkolne przygotowuje młodzież do ciężkich zadań późniejszego życia. Dlatego nawet, gdyby to leżało w zakresie naszych możliwości, nie powinniśmy tłumić tej wytężonej rywalizacji, jaka powstaje w szkole czy na boisku.

Do korzyści, jakie przynosi szkoła, zaliczyć musimy i to, że młodzież, przekroczywszy jej próg, odrazu dostaje się pod ciężkie jarzmo opinii publicznej. Takiej opinii rodzina nie może wytworzyć. Prawdziwa bowiem opinia publiczna powstaje dopiero tam, gdzie jest prawdziwa publiczność. Otóż w każdej znaczniejszej szkole opinia publiczna powstaje bardzo prędko. Bo też szkoła posiada wszystkie potrzebne warunki: niepisany, pochodzący z tradycji kodeks z niepisanymi ustawami, dotyczącymi tchórzostwa, donosicielstwa, pochlebstwa, kłamstwa, „dobrej formy“, słuchania lub obchodzenia władzy. Dalej poza kodeksem istnieją jeszcze „sankcje“ stosowane w tej małej rzeczypospolitej bez wahań i litości, hamujących władze przy szerszym i bardziej odpowiedzialnym wymiarze sprawiedliwości. Stąd wynika, że nawet ci uczniowie, którzy niewiele poza tem skorzystają z nauk szkolnych, wyniosą z niej przekonanie, jak doniosłym czynnikiem jest sąd społeczny.

Tu także powstają dwie bliźniacze siły: koleżeństwo i przewodzenie. Zwykle jeden przywódca wysuwa się na czoło gromady kolegów. Dzięki wrodzonemu darowi i stwierdzonej czynami dzielności staje się on nieustraszonym i niewyczerpanym inicjatorem i organizatorem zabaw i figlów; słabsi zaś jego koledzy w instynktownym uwielbieniu dla bohatera formują się w szeregi i słuchają go lojalnie, a punktem honoru jest u nich wierność kole-

żeńską w dobrej i złej doli. Trzeba dodać, że w większości szkół to „uwielbienie bohaterów“ przejawia się również w apoteozowaniu niektórych nauczycieli. Chociaż bowiem wiemy z doświadczenia, że dopiero w późniejszych latach dochodzimy do sprawiedliwej oceny tego, co nauczyciele dla nas uczynili, to jednak zazwyczaj nie czekamy tak długo, strojąc ich w przynioty, niekiedy urojone, niekiedy, na szczęście, rzeczywiste. W ten sposób młodzieńczy entuzjazm szuka godnego szlachetnych zachwyków ideału.

Stąd na nauczyciela spada duża odpowiedzialność. Bo chociaż, miejmy nadzieję, niewielu jest nauczycieli, którzyby świadomie stawiali się młodzieży za wzór godny naśladowania, nie zmienia to jednak faktu, że uczniowie często chcą się na nich wzorować. Przedmiotem naśladowania staje się przytem nietyle to, co mówią lub czynią z obowiązku na oczach swych uczniów, jak to, czemu się rzeczywiście oddają w swem codziennem życiu. Zalety nauczycieli, choćby nikt nie zwracał na nie uwagi, mówią same za siebie i działają jak silny, zaraźliwy przykład. Takiemu wpływowi trudno się oprzeć. Jeżeli ktoś wątpi o tem, niechaj przypomni sobie Sokratesa. Starał on się nauczać, nie okazując swego autorytetu, a jednak wbrew woli uzyskał to, że uczniowie uwielbiali go i współzawodniczyli między sobą w naśladowaniu jego sposobu życia. Praca nauczyciela, jak się ktoś wyraził, to wznoszenie rusztowania. Nie stawia on się uczniom za wzór, ani nie zmusza ich do ślepego, jak w stanie hipnozy, naśladownictwa, lecz przygotowuje ich na ten dzień, gdy on już odejdzie, a oni będą musieli ostać się intelektualnie i moralnie lub upaść, zależnie od własnej dzielności. W tem znaczeniu nauczyciel pracuje z myślą, aby uczynić się zbytecznym. Nie wynika stąd, jakoby on miał od początku zacierać swą indywidualność. Tego mu robić nie wolno. A gdyby spróbował, to wcześniej czy później przekonałby się niewątpliwie, że naśladowcze instynkty młodzieży

i niemożliwa do wykorzenia potrzeba przykładu sprzymierzają się przeciw niemu.²⁶

Jest jeszcze kilka innych względów, dla których wpływ szkoły uważamy za szczególnie skuteczny. Otwiera ona młodzieńcowi oczy na to, jak doniosłe znaczenie ma porządek i punktualność, jaki istotny sens i jaką wartość ma organizacja i władza, choć nie oparta na sile przymusu, jednak w razie potrzeby umiejąca go użyć. Szkoła również wpaja stopniowo w młodociane umysły przekonanie, że praca, choćby niemiła, jest obowiązkiem, którego się oczekuje i wymaga od synów człowieczych.

Mogłoby powstać tu jeszcze jedno zagadnienie. Wszyscy zgadzamy się, że szkoła powinna uczyć cnoty; różne są jednak zapatrywania na to, w jakim zakresie ona ma nauczać o cnocie. Bezsprzecznie bowiem co innego jest moralność, czyli wyrobione instynkty, dobre nawyki, prawa uczucia, jasne i proste wytknięte zamierzenia, zdrowy sąd, a co innego nauka moralności. Otóż kwestją jest, do jakiego stopnia szkoła powinna wkraczać w ostatnią dziedzinę. Odpowiedź na to pytanie przyjdzie sama, gdy przejdziemy do rozważań nad wychowawczą wartością wskazań moralnych.²⁷

Przyjaciele.

Przechodzimy obecnie do omówienia wpływów przyjaźni. Na wstępie spotykamy się z trudnością. Polega ona na tem, że ten czynnik, tak ważny dla rozwoju moralnego, wymyka się naszej kontroli. Ze wszystkich stosunków, jakie zachodzą między ludźmi, przyjaźń właśnie najbardziej może zazdrośnie opierać się wszelkim nakazom. Jest to węzeł nie dający się zadzierzgnąć: musi powstać samo-

²⁶ Zmarły prof. Laurie, który dobrze znał nauczyciela, nie waha się żądać od niego, aby starał się być uosobieniem moralnego prawa. Por. *Institutes of Education*.

²⁷ Por. str. 179—180, 205—206, 218—219.

rzutnie. Trzeba czasu na to, żeby jedna faza nastąpiła po drugiej, żeby zwykła znajomość przeszła w żywe zainteresowanie, zainteresowanie w sympatję, a sympatja w trwałe przywiązanie.

Pewną zachętą jest w każdym razie okoliczność, że przyjaźni wyrastają na wielu i bardzo różnorodnych podłożach. Jedni szukają przyjaciela, którego mogliby uwielbiać, inni szukają kogoś, ktoby ich uwielbiał. Czasem węzłem łączącym przyjaciół jest wspólna przeszłość, „ta pierwsza tajemnica szczęśliwego związku“, owo ogniwo dziwnie mocno spajające ludzi w późniejszych latach, choć poza tem niewiele już mają ze sobą wspólnego. Czasami znowu związkiem przyjaźni stają się: udział we wspólnej sprawie, wspólne przedsięwzięcie, wspólne przygody, upodobania, studja lub ćwiczenia sportowe.

Ostatnia okoliczność daje pewne możliwości kierowania przyjaźnią. Jakkolwiek bowiem rodzice mogą rozsądnie unikać pozorów narzucania dzieciom swego wyboru, to jednak niekoniecznie muszą być bierni i bezsilni. W każdym razie mogą oni dążyć do takiego ułożenia życia rodzinnego, aby ich dzieci uniknęły zarówno niedobranego towarzystwa, które naraża przyjacielskie instynkty młodzieży na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, płynące ze złego wyboru, jak z drugiej strony całkowitego odsunięcia się od życia i mogącego stąd wyniknąć niedorozwoju tych instynktów, pozbawionych możliwości wybierania wśród dostatecznie różnorodnego towarzystwa. Więcej jeszcze mogą rodzice osiągnąć, popierając zdrowe zamiłowania i zachęcając dzieci do rozrywek, które ułatwiają zawieranie przyjaźni. Wszystko to jest, co prawda, tylko częściowem zabezpieczeniem, nie zaś uniwersalnem lekarstwem na wszelkie płocze i źle dobrane przyjaźni. Najlepszą zaś rzeczą, której rodzice mają nauczyć się od dzieci, jest mądre tolerowanie niewybrednych przywiązań i dziwnych uwielbień, przez które musi przejść każda młoda dusza, dążąc do życia społecznego. Jeśli zaś już

ktos chce zwalczac owe dziwaczne i kapryśne przyjaźni, niechże się nie stara przekonać zapomocą mądrych przemów i ostrzeżeń o konieczności starannego wybierania przyjaciół. O wiele skuteczniejszym środkiem jest rozbudzić jakieś silne zainteresowania, np.: literackie, artystyczne, czy praktyczne. Dokoła niego zgromadzą się pokrewne sobie dusze, aby zgłębić prawdziwą tajemnicę przyjaźni.

O wartości przyjaźni tak już wiele mówiono, iż zbyt rzeczą jest rozchodzić się o tem, jak wiele przyjaciele dla nas mogą uczynić. Powszechnie uznaje się ich za powierników, zapobiegających temu, abyśmy się nie stali — według dobrze znanej przenośni Bacona — „pożeraczami własnych serc“. W kłopotach i troskach są naszymi współnikami i doradcami, którym pozwalamy mówić śmiało (choć niezbyt często i niezbyt obszernie) o naszych wadach i ułomnościach. Są wreszcie wypróbowanymi i pożądanymi towarzyszami wszystkich naszych przedsięwzięć, od chłopięcych przygód począwszy, aż do pracy dla kościoła i państwa. Zawsze dzieląc nasze trudy i troski, często przyczyniają się nadto do ich rozproszenia. A chociaż Arystoteles słusznie ostrzega, że przestrzeń osłabia uczucie przyjaźni, to jednak przyjaciel może wpływać na przyjaciela, pomimo że niezawsze przebywają razem ze sobą. Nawet duże zmiany miejsca pobytu, zajęcia i doli często nie zmniejszają tych wpływów. Kto ma szczerych przyjaciół, nigdy nie będzie osamotniony; czyniąc nawet najlepsze postanowienia, będzie on myślą łączył się z przyjaciółmi. Będzie działał i myślał, jakgdyby w ich obecności; w najskrytszych swych myślach będzie stawał przed ich trybunałem. Tak pojęta przyjaźń jest potęgą, która może zarówno dodawać odwagi, jak powstrzymać od działania. Istotną sprawą jest przytem właściwie nie to, czego się nasi przyjaciele po nas spodziewają. Często pobłazają oni naszym słabostkom bardziej, niżby tego wymagało nasze dobro. Ale my sami w najlepszych na-

szych chwilach wierzyzny w to, iż oni się po nas czegoś spodziewają. I to jest takie ważne! Dzięki temu bowiem stają się oni naszym drugim, dobrowolnie przez nas wybranym sumieniem. W jego obliczu nasze błędy i upadki urastają do rozmiarów „tego największego świętokradztwa, które burzy niewidzialny ołtarz zaufania“.²⁸

Nie możemy także zapominać o tem, że przyjaźń jest jedną z dróg wiodących od uczuć osobistych do społecznych. Okazuje nam ona, jak silne więzy mogą nas łączyć z ludźmi, z którymi nie jesteśmy związani ani pokrewieństwem, ani współżyciem od dzieciństwa. Dobrzy przyjaciele nie są skłonni do nienawiści, chyba że za przejaw nienawiści będziemy uważać zupełną obojętność dla ludzi oziębłych i niespołecznych. Sympatje ich nie wyczerpują się w ich własnym zamkniętym kółku. Przeciwnie, w szlachetniejszych sercach przyjaźń budzi do życia dalej sięgające sympatje i broni przed cynizmem, przeżerającym szersze więzy. Nie znaczy to jeszcze, by tam, gdzie węzły przyjaźni są silne, wykluczony był brak żywego udziału w życiu obywatelskiem. Szkoła epikurejska z czasów starożytnych jest wymownym przykładem, że przyjaciele, złączeni wspólnością filozofji i kultury, mogą być obojętni na szersze zagadnienia życia praktycznego, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Ale to właśnie stanowi słaby punkt zarówno tej szkoły, jak bliższych czy dalszych jej naśladowców. Nie za to bowiem najbardziej wdzięczni jesteśmy naszym przyjaciołom, iż dając nam pewność swego przywiązania i szacunku, pozwalają nam mężnie znosić obojętność świata, lub umacniają nas w naszej obojętności względem niego. O wiele większą przysługę oddają nam oni, czyniąc nas przez swą zachętę i swe od nas wymagania tem bardziej zdolnymi do udziału w szerszem życiu społecznem, czego nie zastąpi żadna osobista przyjaźń. Jeśli bowiem obywatel wolnego państwa ma pracować

²⁸ George Eliot, *Middlemarch*.

użytecznie i wydajnie, to musi działać w pewnym zespole; trudno zaś przypuścić, aby zespół, mający cele publiczne na widoku, czy to będzie kółko wieśniaków, czy duże stronnictwo polityczne, mógł się opierać tylko na zgodności poglądów i wspólności interesów. Jeśli taka organizacja ma się ostać wobec napaści, waśni, zniechęcenia i niepowodzenia, jej członkowie muszą być względem siebie niewzruszenie lojalni; taka zaś lojalność rzadko dojrzewa tam, gdzie nie padły ziarna przyjaźni.

Rozdział VI.

Praca zarobkowa.

Chłopcy opuszczają szkołę, by się wychowywać w dłuższej szkole życia, której główną treścią dla większości jest praca zarobkowa. „Gdy człowiek uzyska dostateczne środki utrzymania, powinien zabrać się do praktykowania cnoty“ — mówi grecki poeta. „Może należałoby zacząć wcześniej“ — brzmi krótki komentarz Platona.²⁹ Jeśli chodzi o naród tak nawskróś handlowy i przemysłowy, jak Anglja, komentarz jest słuszniejszy od maksymy. Właśnie bowiem zdobywając sobie środki utrzymania, zarówno rozwijamy w sobie cnoty, jak uprzytomniamy sobie ich potrzebę.

W rozważaniach niniejszych obchodzi nas przede wszystkim fakt, że z chwilą, gdy młodzieniec zaczyna pracować na utrzymanie, uzależnia się odrazu od ekonomicznej organizacji swego kraju i dostaje się pod żelazne jarzmo prawa podziału pracy, pod które w narodzie, składającym się z ludzi pracy, większość musi się ugiąć, jeśli

²⁹ Platon, *Rzeczpospolita*, przeł. Stanisław Lisiecki. Kraków. Nakł. Pol. Akademji Umiejętności, 1928. Str. 175: „Sokrates. Bo Fokylidesa sentencji nie słyszałeś, a mówi on, że dopiero, gdy się ma środki do życia, można się enocie poświęcić. — Glaukon. Mniemam, że już przedtem“.

nie chce zginąć z głodu. Narzuca się zatem pytanie, czy tego rodzaju organizację życia można uznać za zadowalającą szkołę cnoty.

Otóż niewątpliwie podział pracy posiada poważne znaczenie ekonomiczne. Jest on uznanym powszechnie warunkiem sprawnej produkcji dóbr materialnych. Jest przeto przyjętym środkiem stwarzania tej podstawy, na której buduje się życie moralne i duchowe narodu. A dalej, jest jedną z najważniejszych przyczyn wewnętrznej spójności narodu, sam bowiem fakt podziału pracy łączy różnych pracowników węzłami wzajemnej zależności i pomocy. Wszystko to są rzeczy niewątpliwe. Pewna wątpliwość nasuwa się dopiero, gdy zwrócimy się do rozważań etycznych. Wystarczy bowiem zbadać, z jakich źródeł wypłynął podział pracy, będący jakby systemem pracy zarobkowej, aby zupełnie jasno zrozumieć, że nie był on przeznaczony do tego, aby służyć moralnemu rozwojowi, o ile przynajmniej w jego powstawaniu brały udział ludzkie zamiary. Podział pracy powstał dla zupełnie innych, niższych celów. Jest to poprostu doskonale w ciągu długiego narodowego rozwoju wykształcony sposób należytego zaspokajania materialnych potrzeb lub, gdy chodzi o wyższe formy specjalizacji, skutecznego wypełniania pracy narodowej w jej wszystkich nieskończone daleko sięgających rozgałęzieniach. Stąd banalnym już stało się spostrzeżenie, że podział pracy bardzo mało troszczy się o życie indywidualne i że zmierza do swych celów, miazdząc po drodze różnego rodzaju pracowników niewolniczo przykutych do swoich zadań. „Umysłowe okaleczenie“ — takiego terminu użył Adam Smith dla oznaczenia zgubnych dla intelektu skutków przemysłowej specjalizacji.³⁰ A czyż wszystko nie przemawia za tem, że podział pracy zagraża również moralnemu okaleczeniu? Toż pierwszym warunkiem zdobycia środków utrzymania jest oddanie

³⁰ *Wealth of Nations*, Rogers' ed., ks. V. rozdz. I, str. 365.

najlepszych godzin dnia, najlepszych lat życia jakiejś ciasnej, specjalnej pracy, nie znajdującej się w żadnej proporcji do możliwości człowieka jako istoty moralnej. To też nie dziwnego, że dla wielu ludzi wszechwładna konieczność zdobywania środków do życia nie staje się bynajmniej radosną drogą ku rozwojowi, lecz raczej — ciężkim haraczem, za którego cenę dopiero nabywa się możliwość rozwijania się.

Niepodobna zaprzeczyć, że tak bywa istotnie. Żelazne prawo specjalizacji czyni z ludzi środki do realizowania celów przede wszystkim przemysłowych — a cele te nie są moralne ani w samym założeniu, ani w praktyce. Otóż w takim społeczeństwie, jak angielskie, gdzie walka o byt jest tak intensywna, musi to prowadzić do tego, że cele moralne coraz bardziej schodzą na drugi plan, raz wobec palących potrzeb produkcji materialnej, to znowu wobec wymagań innych prac społecznych. Tegoby oczywiście nie było, gdyby organizm społeczny powstał, utrzymywał się i rozwijał, aby służyć życiu moralnemu swoich członków. Reformatorzy społeczni, przejęci tym faktem, obmyślają plany i pracują z myślą o lepszych czasach; krzepią się też rozsądną, być może, nadzieją, że wreszcie zaświta dzień, gdy podział pracy nie będzie już wymagał tak okrutnej daniny. Przy obecnym jednak ustroju społecznym, który może potrwać jeszcze długo, zachodzi jaszkrawy konflikt między ciasną specjalizacją, jakiej wymaga praca zarobkowa, a pędem do rozwoju moralnego, właściwym przeciętnemu człowiekowi. Krótko mówiąc, przymusowa praca na chleb nie jest, jak dobrze to nieraz czujemy, idealną szkołą charakterów.

Na szczęście jednak medal ten ma stronę odwrotną. Na korzyść podziału pracy możemy przecież co najmniej to powiedzieć, że nam pozwala pracować wydajnie. Uzdolnia on nas do działania. Jak zaś uczyli najmądrsi z ludzi poczynając od Arystotelesa, charakter urabia się tylko w działaniu i przez działanie, nie zaś przez nadzieję, ży-

czenia i jałowe projekty. Co więcej, podział pracy przyczynia się do scalania społeczeństwa, a wszystkie takie czynniki wywierają głęboko sięgający wpływ moralny. To czyni i podział pracy. Jest on wprawdzie nauczycielem brutalnym i niemiłym, jego lekcje jednak są skuteczne. On to nam wbija w głowę, że czy chcemy, czy nie chcemy, musimy koniecznie znajdować się w stosunkach wzajemnej zależności z naszymi bliźnimi. Słusznie też powiedział Adam Smith: „Gdy nasze życie ledwie wystarcza, aby pozyskać przyjaźń kilku osób, wszyscy ludzie zawsze potrzebują współpracy i pomocy wielkich mas“.³¹ Nie zastanawiają się jednak nad tem, zaczynając pracować na chleb. Myślą przedewszystkiem o zapewnieniu utrzymania sobie i swoim bliskim — i nikt ich za to nie może potępić. Jednak i tragarz może dojść do przekonania, jeśli tylko stać go na taką dozę filozofji, że walcząc o zdobycie uczciwej niezależności, spełnia pierwszorzędną funkcję społeczną, pełniąc bowiem swą służbę w szeregach armji pracy, zachowuje i pomnaża bogactwo narodowe, to zaś zużyłoby się wszystko, gdyby nie istniał podział pracy“.³²

Co ważniejsze, zapamiętajmy sobie, że właśnie w szkole przymusowej pracy większość ludzi poznaje nie wrogie coprawda, ale surowe oblicze obowiązku; nie pozna zaś go nigdy próżniak, ten „sobie pan“, który tak rzadko potrafi być panem swoich zadań. Padamy tu często ofiarą złudzeń. Wyobrażamy sobie często, jakoby cały świat stał otworem przed wchodzącym w życie młodzieńcem. Prawda to, że za naszych dni, kiedy swoboda wyboru ciągle się rozszerza, przed młodzieżą otwierają się tak szerokie możliwości, o jakich jej przodkowie nawet nie marzyli. Czyż nawet najuboższy w epoce demokratycznej wolności nie

³¹ *Wealth of Nations*, ks. I, rozdz. II.

³² Wyrażenie „gromadzenie bogactw“ nie dość jasno wykazuje, do jakiego stopnia bogactwo podlega wiecznej przemianie pod wpływem przemysłu i przedsiębiorczości.

może sobie wybrać: zawodu, do którego czuje powołanie, miejsca zamieszkania, zwierzchnika, przyjaciół, religji, władców? Zbadajmy jednak rzecz zbliska, a okaże się, że ten „swobodny wybór“ obraca się w ciasnych granicach. Ogranicza go ciemnota lub apatja rodziców, odziedziczone stanowisko w społeczeństwie, niedostateczne wykształcenie, brak sposobności, przypadek, wreszcie sto innych przyczyn niezależnych od jednostki. A nawet jeśli sam wybór jest względnie swobodny, wybierający, rzuciwszy kości, wkrótce wpada w więzy podziału pracy. W większości wypadków uniemożliwia to wybór powtórny, grożąc bezskutecznością czy niepowodzeniem działania. Wieczysta prawda tkwi w sławnym obrazie Platona.³³ Poza Parkami przędącymi losy ludzi siedzi dostojna postać Konieczności. Na jej kolanach kręci się wrzeciono. Kto chce dobrze spełnić swą rolę, niech się wyzbędzie złudzenia, jakoby można było prząść swój los według własnego upodobania. Nawet gdyby nasz ustrój społeczny był o wiele doskonalszy, tylko część swobodnego wyboru należałaby do nas, druga bowiem część polega z konieczności na przyjęciu nieuniknionych ograniczeń.

Właściwie mówiąc, niema w tem nieszczęścia. Ta okoliczność, że musimy pracować w warunkach niezależnych od naszej woli, jeszcze na nas bynajmniej nie nakłada kajdan. Różnica bowiem między moralną niewolą a moralną wolnością polega nie na istnieniu lub nieistnieniu ograniczeń, lecz na sposobie rozwiązania dwu spraw: po pierwsze, jakie jest pochodzenie i jaka natura tych ograniczeń; po drugie, jakiego rodzaju życie jest w tych warunkach możliwe dla przeciętnego człowieka? Nad pierwszym z tych pytań nie możemy się długo zatrzymywać w praktycznej, jak ta, książce. Zaprowadziłoby to nas za daleko w głąb zagadnień społecznych i metafizycznych. Zaznaczyliśmy już, że pewne względy, zarówno ekono-

³³ *Rzeczpospolita* (przekł. St. Lisieckiego), księga X, str. 612—614.

miczne, jak etyczne, przemawiają na rzecz organizacji pracy zarobkowej, poddanej prawu podziału pracy. Wolno poza tem przypuścić, że chociaż napewno nikt tego rodzaju organizacji nie obmyśliłby poto, aby była szkołą cnoty, to jednak na tle szeroko pojętej ewolucji społecznej lepiej ona harmonizuje z postępem moralnym, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Celów, którym służą instytucje przemysłowe i handlowe, nie można mierzyć rangą motywów, które je powołały do życia.

Przejdźmy teraz do drugiego punktu, zatrzymując w pamięci zawartą w poprzednich rozważaniach prawdę, że burząc się przeciwko niewoli specjalizacji, zbyt łatwo przeoczamy rzeczywistą wartość i pełnię życia moralnego, której nie jest pozbawiona nawet najcięższa praca fizyczna. Carlyle w jednym ze swoich pism opowiada, że pani de Staël najgłębiej przeżywała poczucie wolności moralnej wówczas, gdy była uwięziona w Bastylji.³⁴ Dajmy na to, że w tem powiedzeniu więcej jest retoryki, niż ścisłości. W każdym razie posłuży nam ono do wprowadzenia dwu zupełnie niezaprzeczalnych twierdzeń. Pierwsze z nich głosi, że nawet podczas najcięższej służby u ludzi i organizacji, mało dbających o rozwój moralny swoich pracowników, znajdzie się zawsze dużo sposobności do praktykowania wszystkich głównych cnót pracy zarobkowej. Czyż niema tam miejsca na niezależność, uczciwość, oszczędność, wytrwałość, wspaniałomyślność? Aż nazbyt często biadamy nad tem, że praca zarobkowa bierze w niewolę całe nasze życie. Należałoby jednak pamiętać i o tem, że praca ta ma swoje cnoty, nie ustępujące żadnym innym cnotom. Drugie twierdzenie głosi, że niezależnie od tego, co sądzimy o naszych ograniczeniach, dopiero rodzaj moż-

³⁴ Listy do Lockharta, *Lockhart's Life*, t. II, str. 237: „Niewola jest błogosławieństwem i wielką wolnością, największą, jaką można dać człowiekowi. Tak więc zastanowiwszy się i zważywszy to, Madame de Staël uważa, że miejscem i t. d.“

liwego wśród nich życia rozstrzyga o tem, w jakim stopniu one hamują — naprawdę lub tylko pozornie — rozwój charakteru. Madame de Staël twierdzi, że wolność znalazła w Bastylji. Niezależnie od tego, czy to jest fakt, czy zwrot retoryczny, znalazłszy się wobec człowieka, którego charakter wyszedł zwycięsko z tej tak pospolitej, a jednak tak bardzo przesiewającej ludzi walki o byt, napewno nie użyjemy wobec niego tonu protekcyjnego, ani nie wyrazimy mu politowania. Możemy naturalnie pragnąć, żeby sfera jego działania była szersza i swobodniejsza, możemy zastanawiać się nad tem, jak wiele mógłby zdziałać, do czego mógłby dojść równie silny charakter w przyjaźniejszych warunkach. Jednak już i ten wynik, który mamy przed sobą, ma istotną wartość. Jest on żywym dowodem, że najciaśniej nawet krępujące nas ograniczenia niekoniecznie muszą prowadzić do nieudolności moralnej, jeśli nie są sposobnością do wyżej sięgającego udoskonalenia się, jak uczyli stoicy, a nawet praktyczny skądinąd Arystoteles.

Jeżeli człowiek może osiągnąć takie wyniki w warunkach szczególnie trudnych, to tem bardziej musi to być możliwe w przeciętnych wypadkach. Społeczeństwo nie jest z pewnością doskonałą szkołą cnoty. A jednak wielu ludzi przeszło przez nią z tak dobrym wynikiem, iż trzeba przyznać, że natura ludzka jest dość silna, aby dalekie od ideału warunki społeczne nałamać ku potrzebom życia moralnego. Charaktery nasze zatem nie potrzebują, na szczęście, czekać ze swoim rozwojem, aż reformatorzy ekonomiczni i polityczni uczynią ze społeczeństwa doskonałą szkołą cnoty.

Czas jednak przypomnieć, że chociaż przeważna większość ludzi wyrabia lub marnuje charakter w pościgu za chlebem, to jednak praca zarobkowa nie jest jedyną sferą, w której się to dzieje. Są jeszcze dwie inne, równie doniosłe dziedziny. Pierwszą z nich jest dziedzina czynnej pracy obywatelskiej, coraz dostępniejsza dla wszystkich

dzięki postępom demokracji; drugą stanowi udział w życiu religijnem tego lub innego kościoła, co pozwala nawet najciemniejszym i najnieścieśliwszym z ludzi znaleźć życie głębsze i więcej dające zadowolenia od tego, które mogą zapewnić organizacje świeckie, choćby przy największych staraniach.

R o z d z i a ł VII.

Życie obywatelskie.

Życie obywatelskie jest inaczej ukształtowane, niż praca zarobkowa. Z niewielu wyjątkami (jak na przykład płacenie podatków państwowych i komunalnych) nie jest ono ani cześć przymusowem ani niezbędnem. Zarówno w ustroju demokratycznym, jak przed jego nastaniem, niejeden człowiek wyrobił w sobie kryształowy charakter, ani razu nie wyszedłszy poza dobre uczynki spełniane w domu, wśród sąsiadów, czy w warsztacie pracy. Jest to jednak jednym z dobrodziejstw czasów demokratycznych, że otwarły one sferę męskich i kształcących mężów obywatelskich na niwie lokalnej i ogólnopaństwowej pracy obywatelskiej.

Ma to znaczenie z wielu względów. Po pierwsze, czyni niezbędnem przygotowanie obywatela do pełnienia obowiązków obywatelskich. Przygotowanie to polega w pewnej części na udzieleniu wiedzy, a więc co najmniej na nauczaniu historii kraju rodzinnego, daniu wiadomości o prawach, instytucjach społecznych, ustroju i systemie ekonomicznym. Potrzeba tego rodzaju wiadomości wzrosnie jeszcze, skoro przyjdzie czas, — socjaliści zapewniają, że jest on już bliski, — gdy samorząd w przemyśle i handlu stanie się dopełnieniem samorządu politycznego. Wtedy bowiem powstanie zapotrzebowanie nie tylko na wykształconych pracowników, ale w daleko większym stopniu, niż obecnie, na światłych przywódców rzesz pracu-

jących. Do tego musimy dążyć, jeśli rządy demokracji nie mają się niestawnie skończyć nierządem ciemnoty.

Jeszcze pilniejszą jednak sprawą jest przygotowanie moralne. Nie wystarczy sama wiedza, choćby najbardziej spopularyzowana. Powinna ona sprzymierzyć się z cechami charakteru, zapewniającymi dbałość o dobro publiczne. Stąd wynika, że w demokracji: dom, szkoła, organizacja przemysłowa i związki religijne nabierają nowego znaczenia, zarówno etycznego, jak politycznego. Wszystkie te instytucje są powołane w demokracji do wychowania obywateli, łączących wiedzę z miłością ojczyzny, miłość ojczyzny z gotowością do służby obywatelskiej, służbę obywatelską z lojalnością względem towarzyszy i przywódców, a lojalność z uczciwością, która brzydzi się wszelkiem przekupstwem. W tem wychowaniu może odegrać pewną rolę pouczanie słowne. Rodzina, mianowicie, a jeszcze bardziej szkoła może dużo powiedzieć o narodowych przykładach bohaterstwa i poświęcenia, o wzruszających walkach i zwycięstwach, zarówno wojennych, jak pokojowych, stanowiących naszą spuściznę narodową; mogą one również otoczyć blaskiem romantycznej legendy historyczne miasta, pamiętne pola walk, rozpadające się w gruzy twierdze, lub głośnie w dziejach okolice. Jednak mówienie odgrywa tu mniejszą rolę. Najlepiej też służyć państwu rodzina i szkoła, zakładając niewzruszone fundamenty pod charaktery dzielne, prawe i pełne poświęcenia.

Wszystko to jednak dopiero początek. Pełniejszy bowiem rozwój cnót politycznych może nastąpić dopiero w samym życiu politycznem. Powtarzamy tu stare odkrycie. Tylko przez uprawianie danego rzemiosła można zostać dobrym rzemieślnikiem; podobnie też dobrymi obywatelami stajemy się przez czynny udział w życiu obywatelskiem. Innej drogi niema. Powinno to nas przekonać, jak bardzo mylą się ci, którzy twierdzą, że nikt nie powinien korzystać z praw politycznych, dopóki nie dowiódł, że dojrzał do korzystania z nich. Jest to niemożliwe

do spełnienia żądanie. Nikt bowiem nie może wykazać, że jest zdolny do korzystania z praw politycznych, dopóki ich nie otrzymał. Dlatego, chociaż istnieją oczywiście dające pewną gwarancję probierze, czy to ekonomiczne, czy wykształceniowe, jedna jest tylko rozstrzygająca próba zdolności. Stanowi ją eksperyment, wykazujący, jak ludzie korzystają z praw po ich uzyskaniu. Prawda, że jest to połączone z dużym ryzykiem politycznym, inaczej jednak być nie może, przynajmniej o ile ostatecznym usprawiedliwieniem uczynionego kroku ma być postępowanie obywatela po uzyskaniu praw, nie zaś poprzedzające ten fakt argumenty jego przyjaciół. Zestawienie tego ryzyka z wszelkimi możliwymi korzyściami należy do reformatorów politycznych i mężów stanu. Reformator moralności ma prawo tymczasem zauważyć, że jeśli nawet surowy rekrut demokracji nie potrafi zupełnie dobrze służyć swej ojczyźnie przy urnie wyborczej, to jednak, jeśli tylko nie zbraknie mu uczciwości, może dobrze służyć samemu sobie. Z pewnością bowiem szeroko zakrojone interesy publiczne będą miały dla jego rozwoju duchowego takie znaczenie, jakiego nie mogą mieć ciasne i monotonne obowiązki prywatne. Korzystając z tej sposobności, będzie on też mógł rozwinać cnoty polityczne, które powstają tylko dzięki czynnemu udziałowi w życiu politycznym. Oto argument etyczny, przemawiający za szeroką swobodą. Oczywiście, nie należy przeciągać struny, i napewno nikt dbający naprawdę o dobro ojczyzny nie dopuści do tego, by miała stać się osełką, służącą do ostrzenia na niej tępej nieudolności, choćby stąd miały wyniknąć niebezpieczne szkody polityczne. Należałoby raczej zapamiętać, że — ostatecznie — nasza ojczyzna nie poto tylko istnieje, aby być wzorem doskonałości politycznej, chyba że — przywoławszy na pomoc Platona i Arystotelesa — skonstruowalibyśmy doskonały twór polityczny, w którym zarówno mężczyźni, jak kobiety, osiągając pełnię rozwoju, tworzyliby jedność organiczną, będącą państwem.

Nie chcemy, oczywiście, przez to powiedzieć, jakoby ludzie ciążyli ku życiu obywatelskiemu dla moralnego udoskonalenia swoich charakterów. Na szczęście nie! Głosują oni, agituja, organizują, dezorganizują i t. d., kierując się mniej wzniosłymi motywami; czynią to np. dlatego, że sprawia im to przyjemność, lub ponieważ tkwi w nich impuls obywatelski, albo jeszcze dlatego, że nie chcą ulec przeciwnemu obozowi, lub rządowi ludzi gorszych od siebie, a może poprostu dlatego, że nie mogą usiedzieć spokojnie wśród ogólnego podniecenia. Tem niemniej, dzięki niezmiernej przenikliwości narodowego Przeznaczenia, zyskują oni przeważnie o wiele więcej, niż świadomie szukają, myśląc bowiem dzień po dniu wciąż tylko o polityce, partjach, wiecach, czy mowach wyborczych, nieświadomie kształcą w sobie cnoty polityczne.

Tego rodzaju wychowanie ma, oczywiście, swoje niebezpieczeństwa. Gdy organizacja partji jest silna, gdy w niej panuje duch podniosły, warunkiem skuteczności działania jest lojalność jej członków, rozwinięta do tego stopnia, aby każdy z nich mógł znieść dużo osobistych przykrości w imię szerszych wspólnych celów. Jednak ta lojalność musi się łączyć ze zdolnością do zerwania z partją, gdy tego wymaga dobro ojczyzny, wyższe od interesów partji. Czyż z samych już zasad polityki nie wynika, że zwartość partji, służącej do skutecznego urzeczywistniania przekonań politycznych, musi się liczyć z tą szerszą jednością, która wita światło, choćby ono pochodziło od przeciwników politycznych, i gotowa jest uznać fakt, że nawet droga nam partja może w pewnej chwili nie być najlepszą wyrazicielką naszych przekonań politycznych? Podobnie mają się rzeczy, gdy władza należy do większości. Nauczyć się szanować większość, to rzecz nader ważna w ustroju demokratycznym; ale rzeczą jeszcze ważniejszą jest zachować niezależność indywidualnego sądu, któryby się w razie potrzeby potrafił oprzeć większości,

w tem przekonaniu, że w braku tego czynnika opinja większości straci całą swą wartość, wyradzając się w opinję przeważającej liczby słabych głów. Kiepskiem uznaniem dla większości byłoby bić przed nią pokłony, jak przed wyrocznią, zapominając o jej omylności.³⁵ Trzeba też pamiętać i o tem, że życie polityczne, mające wyrabiać cnoty polityczne, może utrwałać polityczne wady. Dzieje się tak zwłaszcza wówczas, gdy szkoła i rodzina nie spełniają swych zadań. Boć, oczywiście, przy dużej swobodzie otwiera się szerokie pole do nadużyć ze strony przywódców, do łatwowierności i przekupności ze strony mas, podległych ich wpływom. Co więcej, gdy życie polityczne nie jest zorganizowane dla celów moralnych, łatwo wytwarza się w niem duch prywaty, bezwzględności i brak skrupułów, stępujący ostrze honoru, przyzwyczajający umysły do kompromisów i kręactwa, spychający ważniejsze cele na daleki plan, byle tylko zapewnić partji krótkotrwałe triumfy.

Potrzeba wobec tego środków zaradczych. Są one częściowo zawarte we wczesnem wychowaniu przez rodzinę i szkołę. Ale można ich również szukać w związkach religijnych — i te wywierają czasami wpływ najpotężniejszy.

R o z d z i a ł VIII.

Życie religijne.

Organizacja życia religijnego znajduje się na innym planie, niż pozostałe instytucje umoralniające. Nie chce ona być jedną więcej instytucją wśród wielu innych, lecz rości sobie pretensję do wywierania wpływu na wszystkie inne czynniki. Różnic między organizacjami religijnymi rozwinęło się wiele. A jednak na tym punkcie najmniej-sza sekta będzie zgodna z najpowszechniejszym kościo-

³⁵ Mac Cunn, *Ethics of Citizenship*, IV wyd., str. 74.

łem. Roszczenie to nie jest bezpodstawne. Wpływ bowiem nawet najskromniejszych organizacyj religijnych musi głęboko przenikać wszystkie, zarówno prywatne, jak publiczne stosunki jej członków. Jeśli tego nie ma, organizacja skazana jest na upadek.

Wszelka bowiem żywotna organizacja religijna zawsze dążyła i dążyć będzie do tego, aby wprowadzić każdego ze swych członków osobiście w szersze i trwalsze życie. Nietrudno sprawdzić, że tak jest istotnie. Świadczy o tem już sam zewnętrzny wygląd budynków kościelnych: — czy będzie to stara katedra, czy mniejszy kościół oglądany z okna pędzącego pociągu, czy skromna wiejska kapliczka. W każdym z nich myślący człowiek łatwo dopatrzy się odwiecznego symbolu dążenia do związania życia ludzkiego z czemś wiecznem, bez czego, jak jeden z najmędrszych naszych ludzi powiedział, „pokolenie nie będzie wewnętrznie spojone z pokoleniem, a ludzie staną się czemś niewiele lepszem od much żyjących jedno lato“.³⁶ Emerson opowiada, jak podczas pamiętnej wizyty u Carlyle'a na łąkach Dumfriesshire rozmowa potoczyła się „o tych subtelnych ogniwach, co spajają całe wieki ze sobą, i o tem, jak każdy wypadek wpływa na całą przyszłość“. Carlyle wskazał na leżącą woddali wioskę Dunscore, która wyglądała jak maleńka plamka na obszarach łąk: — „Chrystus umarł na krzyżu: temu zawdzięcza swoje powstanie ten tam kościół w Dunscore: to znów sprowadziło tu pana i mnie: czas jest czemś względnem“.³⁷ Skoro takie myśli powstają na widok samego tylko zewnętrznego symbolu, to o wieleż potężniej musi działać osobiste zetknięcie z duchowem życiem kościoła? Rozlewa się ono licznymi drogami. Do nich należą obrzędy, liturgje, pobożne pieśni, kazania, nauki, zjednoczenie w codziennej pracy. I jest to zaiste faktem, opierającym się scepty-

³⁶ Burke, *Thoughts on the French Revolution*. Dzieła, tom II, str. 367.

³⁷ Froude, *Life of Carlyle*, tom II, str. 358.

cyzmowi czytającego i myślącego świata, że krocząc po tych odwiecznych drogach, całe pokolenia dochodziły do zetknięcia się z rzeczywistością, wobec której „sprawy doczesne istnieją tylko względnie“.

W ten to sposób organizacje religijne podają najciemniejszym ludziom te same prawdy, które filozofja niesie myślącemu światu. „Czyż myślisz — pyta Plato — że człowiek wraz ze wszystkimi swemi sprawami wyda się czemś wielkiem komuś, kto oglądał wieczność i wszechbyć?“³⁸ A czyż nie to jest najważniejszą treścią doktryny Spinozy, że w oczach człowieka, który nauczył się patrzeć na byt „sub quadam specie aeternitatis“, świat, światowe troski i ambicje, zajmujące zwykle tak dużo miejsca, kureczą się do właściwego im znaczenia, czyli do nieznacznosci. Do podobnego wyniku dochodzą ludzie, którym filozofja jest zupełnie obca, pod wpływem doświadczenia religijnego. Gdyby podobny wynik miały osiągnąć jakieś inne wpływy, musiałyby one do zmiennego życia ludzkiego wprowadzić tło, głęboko zmieniające jego perspektywę duchową i jego wartościowanie.

Znaczenie organizacyj religijnych polega na tem, że pod ich wpływem członkowie ich zaczynają żyć dla odległych i niewidzialnych celów. Sprawić to może każda wielka organizacja. Życie takich organizacyj rozciąga się na całe wieki. W porównaniu z niem życie jednostki jest jakby jedną chwilką. Otóż te organizacje z całą wiarą w wytrwałe wysiłki wskazują dalekie cele wspólnego działania. Myśl o nich pozwala jednostce zapomnieć o swojej nicości, poskromić swą niecierpliwość, nie poddać się rozpaczcy, wzmocnić energję, krzepić się nadzieją, chociażby zdawała sobie sprawę, że nie dożyje spełnienia się tych celów. Z kilku jednak względów kościół może to

³⁸ *Rzeczpospolita* (przeł. St. Lisieckiego), księga VI, str. 343. „Czy zatem można sobie wystawić, iżby umysł wzniósł, posiadający zdolność ogarnięcia bezgranicznego czasu, oraz wszelkiej istności, miał w żywocie człowieczym upatrywać coś wielkiego?“

uczynić lepiej, niż jakakolwiek inna organizacja. Jak wiele innych organizacyj, zapewnia on nawet najstarszym udział w szerszym zespole; wskazuje słowami i czynami odległe cele; stowarzysza swych członków i uczy przewodzić masom. Jednak w przeciwieństwie do innych organizacyj służy przede wszystkim celom duchowym. Czyni to zwłaszcza przez to, że jest rzecznikiem życia przysłego. A jakkolwiek wiara w nie wywołuje liczne wątpliwości, to jednak niepodobna zaprzeczyć, że właśnie ta wiara zmienia oblicze świata dla milionów ludzi. Nie jest to jednak wszystko. Być może, ważniejszą jeszcze jest rzeczą, że życie religijne już tu na tym świecie wspólnym nam wszystkim, niezależnie od takiej czy innej wiary w nieśmiertelność, przeciwdziała dwu odwiecznym niebezpieczeństwom, szczególnie groźnym w takim społeczeństwie, jak nasze. Jedno polega na tem, że jednostka ludzka może się łatwo załamać na skutek poczucia swojej osobistej niemocy i nicości; drugie polega na tem, że może ona zapomnieć lub wyprzeć się zupełnie celów duchowych i nawet nie dlatego, aby się oddać rozpuście, lecz na skutek przyswojenia sobie tego „cnotliwego materializmu“, który działa jeszcze bardziej zabójczo.³⁹ W wielkich państwach handlowo-przemysłowych niebezpieczeństwo to jest szczególnie groźne.

Kościół jest powołany do walki właśnie z temi dwoma niebezpieczeństwami. Zrozpaczonym zapewnia udział we wspólnem życiu, poświęconem szlachetnym celom. Są one odległe tylko w tem znaczeniu, że ludzie za setki lat będą żyli dla nich, jak żyją obecnie. Wygodnym zaś lub brutalnym materialistom pokazuje lepszą drogę życia duchowego. Kościoły mogą różnić się między sobą sposobem rozumienia, czem jest materializm, mogą też zwalczać go różnemi środkami: od włosienicy i bicia, od postu i po-

³⁹ De Tocqueville uważa, że jest to poważne niebezpieczeństwo, które grozi społeczeństwu demokratycznemu. *Democracy in America*. Część II, księga II, rozdział XI.

kuty do polityki uduchowania wygodnego życia domowego i stosunków społecznych; wspólną ich cechę natomiast stanowi niegasnąca żarliwość, z jaką zwalczają niskie rozkosze i zatracanie ducha w wygodnym i lekko-myślnym użyciu.

Dlatego to kościoły zawsze były wielkimi budzicielami sumień. Działy one zapomocą różnych środków. Należały do nich: klątwy i pokuta, dyscyplina kościelna i cenzura, zamknięte zgromadzenia religijne, rachunek sumienia, uświęcanie cnoty posłuszeństwa, zaznaczanie, że dusza bezpośrednio odpowiada przed Bogiem. Wszystkie jednak dążyły do jednego celu. Stwierdzały mianowicie, że istnieją najwyższe prawa życia, którym pod groźbą kar trzeba być posłusznym. Wszystkie też usiłowały wzbudzić w sercach wzruszenie moralne, a więc czy to obawę grzechu, czy miłość Boga, czy poszanowanie autorytetu. A bez tych wzruszeń żadne prawo, choćby najdosłowniejsze, nie pobudzi woli do działania.

Nie twierdzimy, jakoby tylko religijne organizacje mogły to sprawić. Oddziaływania w tym kierunku zaczynają się w rodzinie; szkoła również odgrywa swą rolę; dyscyplina życia praktycznego dorzuca swe wpływy. Zawsze jednak było to szczególnem zadaniem kościoła — i przytem nietylko ze względu na głoszoną przezeń naukę etyczną (choć niewątpliwie stanowi to jedną z jego funkcyj), co raczej ze względu na to, że on wywiera stały nacisk na sumienia w ciągu długich lat, a zwłaszcza w tym wieku, kiedy człowiek z nieubłaganą koniecznością staje twarzą w twarz z pokusą, cierpieniem, opuszczeniem i śmiercią.

Nie byłoby też słuszną rzeczą umieszczać naukę etyczną jakiejkolwiek organizacji religijnej na jednej linii z nauką świeckich moralistów, choćby najpoważniejszych. Będąc instytucją bardziej jeszcze praktyczną, niż dydaktyczną, kościół musi ilustrować i popierać swe pouczenia czynami. Szczególną zasługą chrystjanizmu od wie-

ków było to, że kładł nacisk na wartość i możliwości rozwojowe indywidualnej duszy. Dla naszych czasów ta odwieczna nauka ma szczególnie doniosłe znaczenie. Wobec rozszerzenia się bowiem naszego poglądu na przyrodę i życie aż nazbyt łatwo dojść do przekonania, że życie indywidualne nie ma żadnej wartości. Czemże ono jest w porównaniu z kipiącym życiem zmarłych już pokoleń? Czem ono jest w zestawieniu z olbrzymią ludnością wielkiego imperjum? Trudno o bardziej obezwładniającą refleksję! Paraliżuje ona nie tylko wszelki moralny wysiłek, lecz również wychowawczy i społeczny. Jakkolwiek bowiem ludzie pracujący dla celów moralnych i społecznych niekoniecznie muszą wyznawać wiele dogmatów, to jednak bez jednego artykułu wiary obejść się nie mogą. Muszą oni, mianowicie, wierzyć w wartość i zdolność do rozwoju tych ludzi, dla których pracują. Zbyt pośpiesznie byłoby może twierdzić, że przekonanie to nie mogłoby się utrzymać, gdyby nie było kościołów. Niema się co nad tem zastanawiać. Faktem jest, że najbardziej przyczyniła się do jego podtrzymania tradycyjna chrześcijańska nauka, iż nawet upadłe życie ma swą wartość w oczach Boga.

Dodać należy wkońcu, że jeśli nawet kościół nie ubiega się o wchodzący w każdy szczegół rząd nad sumieniami, to jednak zawsze może, jeśli tylko ma wpływy, przyczynić się do ożywienia pracy społecznej. Gdy w młodych duszach odezwie się potrzeba i chęć niesienia pomocy innym, niedobrze jest pozostawiać im szukanie własnych dróg. Lepiej, aby organizacja podsunęła im odpowiednią pracę, zużytkowując jak najlepiej ich uzdolnienia i skłonności. Oczywiście, wyszukiwanie pola działania dla swych członków pozostanie zawsze drugorzędem i ubocznym zadaniem związku religijnego. Główną jego misją jest budzić ducha, mającego ożywiać całą, — nawet świecką, — pracę na ziemi. Jedno z drugim powinno się łączyć w ten sposób, by oddawanie cesarzowi tego, co

jest cesarskie, nie było fałszywym przeciwieństwem od dawania Bogu, co jest boskie — lecz jego szczerym wynikiem.

Rozdział IX.

Wpływy społeczne a jedność charakteru.

Szczęśliwy to człowiek, który zastanawiając się w późniejszych swoich latach nad tem, co społeczeństwo uczyniło dla jego charakteru, nie ulega dwu przeświadczeniom. Przedmiotem pierwszego z nich jest niedoskonałość środków, któremi posługuje się społeczeństwo, aby jednostkę uczynić swą własnością. A chociaż szacunek i lojalność względem swego domu, szkoły, kościoła, zarówno jak ten głos wewnętrzny, co mu wyrzuca, że on sam nie wziął od nich wszystkiego, co mu dać mogły, skłonią go do milczenia, to jednak nie ukryją przed nim faktu, że dom, szkoła i kościół mają różne braki. Jeszcze trudniej będzie mu uznać codzienną pracę zarobkową i życie publiczne za doskonałą szkołę charakterów. One same zresztą za to się nie mają.

Drugie przeświadczenie będzie prawdopodobnie dotyczyło tego, że całe jego wychowanie moralne, choćby mu nawet zawdzięczał bardzo wiele, było jednak bezsprzecznie fragmentaryczne. Jeden wpływ sprawił w nim to, — drugi tamto; naprzód rodzina, po niej szkoła, a później różnorodne wpływy późniejszych lat. Wszystkie w ten sposób wytworzone enoty zrastają się bezwątpienia w jedną organiczną całość natury psychologicznej, jeśli już nie etycznej. Jednak tkwią w nim również inne wspomnienia — wspomnienia wstrząsów i rozczarowań, gdy ze spokojnej przystani domowej przechodził do szkoły, a potem znowu ze szkoły do warsztatu czy biura. Uświadomi sobie także (któż bowiem z nas nie uświadamia sobie tego), że istnieje wielka niewspółmierność, powiedzmy nawet sprzeczność, między wymaganiami kościoła i świata.

I chociaż trudno odmówić rozumnej istocie dążenia do tego, aby być zawsze sobą, nie ukryje to przed nim faktu, że nie jest on tym samym człowiekiem w jednej sferze działania, co w innej, a jego ideały moralne mogą być nawet bardzo dalekie od jego praktyki moralnej.

Coś z tego wolno uznać za uboczny objaw rozwoju moralnego. Bo rzadko kto może przejść od doświadczeń ciaśniejszych do szerszych bez odkryć i rozczarowań.⁴⁰ Wiele jednak pozostanie, by świadczyć o niespójności społeczeństwa i jego wewnętrznych sprzecznościach, a więc i o tem, że następujące po sobie dobroczynne wpływy, tak bardzo przyczyniające się do urobienia dobrego syna, ucznia, rzemieślnika, obywatela, nie działają zgodnie dla wspólnego celu, ani nie dążą stale do tej jedności i stałości, bez której niema prawdziwie moralnego charakteru.

Niepodobna zaprzeczyć, że większość ludzi z tem właśnie się spotyka. Mówiąc słusznie, że społeczeństwo kształtuje nasze charaktery, nie należy ulegać fałszywemu mniemaniu, podsuwanemu przez termin ogólny. Nie powinniśmy przypisywać społeczeństwu, nawet jeśli traktujemy je jako organizm, większej jedności etycznej, od rzeczywiście przez nie posiadanej. Faktem jest, że społeczeństwem rządzi wielu panów. Niektórzy z nich, jak rodzina lub kościół, pracują przede wszystkim nad urobieniem charakteru moralnego. Inni, jak warsztat pracy, kantor, czy partja polityczna wogóle nie myślą o charakterze moralnym. Czyż można się wobec tego dziwić, że wynik nie jest jednolity? Prawdę mówiąc, brakuje mu często tej zwartej harmonji i proporcji, po której poznajemy człowieka charakteru w odróżnieniu od człowieka uzdolnionego.

A tymczasem w wychowaniu moralnem różnica ta odgrywa pierwszorzędną rolę. Wychowanie moralne nie może zadowalać się rozwijaniem zdolności, choćby naj-

⁴⁰ Por. str. 223.

światniejszych i najdonioślejszych. Musi ono cenić zwartość życia wyżej od tej lub od innej zdolności. Musi ono zatem zabezpieczyć się przeciw produkowaniu ludzi, których zalety w jednej dziedzinie nie mają równoważnika w innej, lub nawet ustępują miejsca wyraźnym wadom charakteru. Wychowanie moralne powinno scalać życie — nietylko je wzbogacać.

Nie znaczy to, by nawet najlepsi z nas mogli zajść jednakowo daleko we wszystkich cnotach. Wręcz przeciwnie, ludzie są pod tym względem nieskończenie zróżnicowani, zależnie od swych zdolności wrodzonych, oraz powołania i okoliczności. Natomiast ważną jest rzeczą, aby każdy człowiek, niezależnie od tego, jaka jest dziedzina jego działalności, wnosił do niej te same zasady i ten sam ideał. Otóż tego właśnie niepodobna osiągnąć, dopóki wielkie umoralniające wpływy społeczeństwa, o których mówiliśmy, będą działały częściowo przynajmniej niezależnie jeden od drugiego, nie zaś zjednoczone przez jeden wszystko ogarniający plan moralnego wychowania.

Wobec tego dochodzimy do dwóch wniosków. Po pierwsze, że wyćwiczenie moralne, którego nabywamy w społeczeństwach współczesnych, nie jest wystarczające i bezwarunkowo domaga się uzupełnienia; po drugie, że niezależnie od tego, jaką formę będzie miało to uzupełnienie, musi ono zapewniać charakterom ludzkim więcej tej jedności, zwartości, harmonji i proporcji, której tak niezmordowanie domagali się filozofowie greccy, uważając je za istotę cnoty.

Zupełnie jasną jest wobec tego rzeczą, jakie nam się narzuca obecnie zagadnienie. Musimy zapytać, w jaki sposób należy w tym kierunku uzupełnić wpływy nawet najlepiej rozwiniętych społeczeństw współczesnych. Na to pytanie jest więcej odpowiedzi niż jedna.

Było to przekonaniem zarówno Platona, jak Arystotelesa, że w dużej mierze niepodobna ulepszyć charakterów jednostek bez reformy społeczeństwa; ono to bowiem

jest głównym narzędziem wychowania moralnego. Nie przeczyli oni, co prawda, aby nawet w zepsutem społeczeństwie nie można było prowadzić dobrego życia. W dziełach obydwóch są miejsca, gdzie oni, zupełnie podobnie do stoików, rozwodzą się nad tem, jak to cnota odnosi zwycięstwo nad okolicznościami. Podstawową jednak nauką obydwu ich było, że charaktery ludzkie nie osiągną szczytowego punktu swego rozwoju, dopóki społeczeństwa nie zostaną w ten sposób zreorganizowane, aby wreszcie stały się szkołami i dziedzinami cnoty.

W znanyim ustępie Plato zastanawia się nad tem, co ma czynić człowiek, którego los rzucił między nieprzyjazne i złe otoczenie społeczne, gdy walka o poprawienie społeczeństwa, którego jest członkiem, zdaje się być beznadziejna. Otóż nawet wtedy dzielny człowiek ma jeszcze sposób wyjścia. Może on, mianowicie, wycofać się z wiru życia i panować nad własną duszą cierpliwie, jak ktoś, co chroni się przed zawieją, aż będzie mógł odejść spokojnie na wyspy Błogostawionych. Lecz Plato zaraz dodaje: „Nie osiągnie on jednak tego, co najlepsze, ani nigdy nie będzie mógł tego osiągnąć, o ile nie znajdzie odpowiedniego życia społecznego“.⁴¹ Dlatego to nauka Platona największy nacisk kładzie na reformę instytucyj społecznych i od niej uzależnia postęp moralności. Niektórzy komentatorzy zarzucali mu, że jednostkę poświęca państwu. Dziwna to krytyka! Czyż bowiem wyraźne zadanie jego idealnego państwa nie polega na tem, aby powołać do życia w całej pełni wszystko, co w jego przekonaniu jest najlepsze i najtrwalsze w naturze ludzkiej? To właśnie najlepiej charakteryzuje Platona; to również stanowi najbardziej wartościową doktrynę w etyce greckiej.

⁴¹ *Rzeczpospolita* (przekł. St. Lisieckiego), ks. VI, str. 365—6.

„A d e j m a n t. Zaiste, nie zupełnie błahych rzeczy dokazał, kto tak rozstaje się z życiem. — Sokrates. Jednakże i nie największej, jeżeli nie znajdzie ustawodawstwa, sprzyjającego jego skłonnościom“.

Nie należy odrzucać tego, jako płodu czystej fantazji. Reformatorzy społeczni w niejednym już pokoleniu dowiedli sposobem eksperymentalnym, że można zmieniać społeczeństwa. A ewolucjoniści ostatnich czasów na podstawie rozległych badań twierdzą, że społeczeństwa muszą podlegać nieustannym zmianom, bo tego wymagają prawa życia. I chociaż ewolucjoniści mogą więcej powiedzieć o tem, skąd się ten proces wziął, niż dokąd dąży; choć mogą deptać bezlitośnie po jednostce i jej nadziejach, — to jednak ich nauka pozwala nam wierzyć, że reformator, każący nam pracować dla ulepszenia naszych domów, szkół i kościołów, nie jest obłądnym tylko wizjonerem. Trudności wzrastają dopiero wówczas, gdy stajemy w obliczu sił, zachowujących się oporniej wobec zadań moralnych, innemi słowy, wobec systemów ekonomicznych i politycznych. Jakkolwiek bowiem daleko pozostawiliśmy poza sobą ów przestarzały konserwatyzm, co to chciał tym systemom przypisywać niezmiennosc praw natury, to jednak doświadczenie (od czasu do czasu oświetlane łunami rewolucyj) poucza, że one zmieniają się powoli, a już najpowolniej, gdy staramy się z nich uczynić narzędzia, służące do lepszego urabiania charakterów ich członków. Instytucje bowiem ekonomiczne i polityczne nazbyt ściśle są związane z własnymi celami, nazbyt pochłonięte wytwarzaniem czy podziałem dóbr materialnych, reformowaniem czy obroną konstytucyj, administracją czy rozszerzaniem granic państwa. Nie usprawiedliwia to jednak opuszczania rąk. Wręcz przeciwnie, wolno liczyć na to, że z rozwojem ducha prawdziwie demokratycznego przekonanie o wartości i możliwościach rozwojowych jednostki, ten główny artykuł wiary demokratycznej, będzie się stopniowo coraz bardziej przenosiło w dziedzinę praktyki. Gdy zaś to nastąpi, to można być pewnym, że ludzie przestaną się już godzić na to, aby z nich czyniono poprostu tylko środki bądź do gromadzenia bogactw, bądź do urzeczywistniania pro-

gramów politycznych. Zechcą oni stać się, czem w istocie są: „celami samymi w sobie“. A w miarę, jak będą to czynić, charakter, jako najwyższy cel wszystkich działań przemysłowych i politycznych, zacznie otrzymywać coraz więcej z tego, co mu się należy — nawet w ubieganiu się o bogactwo, czy w walce o władzę. Każda jednak rekonstrukcja instytucyj jest powolna, zmusna i zależna od tysiącznych okoliczności. Hamować ją mogą nieodparte wymagania polityczne i ekonomiczne, wzrastająca gęstość zaludnienia, szczupłość gruntów, zabiegi o rynki zbytu, współzawodnictwo partyj, namiętne dążenie do zwiększenia potęgi narodowej, a nawet walka o byt narodowy. W tym stanie rzeczy nasuwa się pytanie, czy tymczasem można tu wogóle coś zrobić? Odpowiedź brzmi, że posługując się takimi łatwo dostępnymi środkami, jak rodzina, szkoła, kościół i inne, można jednak coś zrobić, — może nawet wiele, — byle tylko służyć zawsze sprawie najwyższej: ideałom moralnym.

R o z d z i a ł X.

Wartość wychowawcza ideałów moralnych.

Ideały moralne pomagają nam w wychowaniu bynajmniej nie przez to, że wprowadzają do życia nowe pierwiastki, których tam dotąd nie było. Zdarza się to, co prawda, czasami. Zdarza się to mianowicie w tych rzadkich okresach, gdy jakiś wielki prorok, nauczyciel, czy jakieś bractwo nakładają na świat nowy, dotychczas nie uznawany obowiązek. Nawet wtedy jednak świat czasami w niezależny sposób odkrywa obowiązki, znajdujące wyraz proroczy, dzięki czemu głos, rozlegający się, jakby się zdawało, na puszczy, wkrótce znajduje oddźwięk w sercach i sumieniach chętnych uczniów. Z reguły zaś ideały, któremi się posługujemy, jak również ideały, których potrzebę odczuwamy, różnią się od rzeczywiście moralno-

ści bynajmniej nie tem, że odkrywają coś zupełnie nowego, lecz raczej tem, że coś pomijają. Istotnie, zawsze możemy utworzyć niemal nieosiągalny ideał poprostu tylko przez pominięcie naszych słabości i braków. Stąd uwaga zawierająca w sobie co najmniej połowę prawdy, że ideały nie są niczem innym, jak aktualnem życiem ludzi, z którego tylko usunięto wady i ułomności.⁴²

Jeszcze ciekawszą dla nas jest okoliczność, że to, czego w nich nie opuszczono, zostaje w odmienny sposób zaakcentowane. Innemi słowy, obowiązki, o które chodzi w tych ideałach, mogą być obowiązkami znanemi nam z codziennej najzwyczajszej pracy; jednak ich względna ważkość może być tak zmieniona, że to rzeczywiście usprawiedliwia błędne mniemanie, jakoby ideały różniły się w istotny sposób od rzeczywistości.

Ostatni szczegół ma duże znaczenie w życiu praktycznem. Napróżno bowiem liczylibyśmy na pomoc ze strony ideałów, gdyby zadaniem wychowania miało być narzucanie ludzkości obowiązków i cnót, których brak w życiu rzuca się w oczy. Nie tego bowiem przedewszystkiem spragnieni są ci wszyscy, którzy znajdują się pod umoralniającym wpływem istniejących instytucyj. O wiele ważniejszą jest rzeczą, aby ideał był wcieleniem tych właśnie cnót i obowiązków, które ci, co mają się na nim wzorować, już w pewien niedoskonały sposób spełniają, a teraz widzą je tylko w słuszniejszej i sprawiedliwszej proporcji. Bo tylko wtedy ludzie we wskazanym im ideale będą widzieli nie upokarzające wytknięcie tego, czem nie są, ale przecucie tego, czego mogą się spodziewać i co są zdolni z siebie wydobyć. Nie potrzeba na to żadnego ide-

⁴² Bonar, *Malthus and his Work*, str. 27. „Autorzy utopij od Platona do More'a i od Rousseau'a do Ruskina postępowali się zawsze jednym i tym samym schematem, pomijali mianowicie największe wady swych epok, a na ich miejsce kładli cechy wręcz przeciwne. Podobnie ludzie, wyobrażając sobie niebo, myślą o ukochanym kraju ojczystym bez jego stron ujemnych“.

ału, aby powołać do życia cnoty i obowiązki. Zjawiają się one jako naturalna odpowiedź natury ludzkiej na wpływy otoczenia społecznego. Potrzeba ideałów wyłania się dopiero wtedy, gdy się okazuje, że te cnoty i obowiązki trzeba lepiej skoordynować, niż to może uczynić to niedoskonałe zwierciadło moralności, jakim jest społeczeństwo współczesne.

Nasuują się tu odrazu dwa dalsze pytania: po pierwsze, w jaki sposób taki ideał (czy ideały) mogą znaleźć rodzice, nauczyciele, reformatorzy, moralisci i wogóle ludzie kierujący wychowaniem moralnym; po drugie, jak należy postępować, gdy już ten ideał został znaleziony, by uczynić go jak najbardziej skutecznym.

Znaleźć ideały moralne pod pewnym względem jest bardzo łatwo, bo ideałów jest bardzo wiele, zaczawszy od niewygórowanych pragnień przeciętnych rodziców, a kończąc na ideale myśliciela w dziedzinie etyki, ustanawiającego starannie opracowaną klasyfikację cnót według pewnej skali wartości moralnych. Są ideały świeckie i ideały świętych, ideały ascetów i hedonistów, ideały proste i wysubtelnione, ideały rozumowe i uczuciowe i wiele, wiele innych. Cała historia postępu moralnego w przeciągu stuleci jest długim szeregiem następujących po sobie coraz to innych ideałów. Każde też posunięte w rozwoju społeczeństwo jest widownią, na której mnóstwo ideałów ubiega się o dalsze istnienie i przewagę. Krótko mówiąc, ideały można znaleźć tak łatwo, że całe zagadnienie sprowadza się nie do znajdowania, ale do czynienia właściwego wyboru.

Tu właśnie badacz problemów etycznych może pomóc wychowawcy. Jednym bowiem z najważniejszych jego zadań jest uczynić przegląd krytyczny różnych ideałów wytworzonych przez doświadczenie moralne. Świat będzie go może pomawiał o zbyt wielką pochopność do rozwijania własnego ideału. W rzeczywistości będzie on raczej badał i oceniał już istniejące ideały, niż usiłował

dodać do ich liczby jakiś zupełnie nowy. Byłby on jednak słabym krytykiem, gdyby nie miał własnych przekonań i własnych kryterjów oceny. Jeśli jego krytyka ma być poważna i skuteczna, musi on w pewnych sprawach mieć wyrobione zdanie. Musi jasno zdawać sobie sprawę z natury i autorytetu prawa moralnego; musi skrzętnie zebrać dane psychologii dotyczące wyposażenia dziedzicznego człowieka i jego zdolności; musi ustalić swój pogląd na podstawowe warunki życia społecznego, z których rozwój moralny wyrasta tak, jak ziarno z gleby. Dopiero na podstawie tych danych może on tworzyć swój ideał człowieka, stanowiący najdoskonalszą realizację prawa moralnego. Wynik, do którego dojdzie, będzie coprawda abstrakcją. Ale to jest nieuniknione, nawet gdyby wszystko uczynił, aby go sprowadzić do poziomu i rodzaju kultury, w której sam działa. I gdyby ktoś z rodziców czy nauczycieli poszedł do niego, podobnie jak pewien ojciec poszedł niegdyś do Pitagorasa, aby się dowiedzieć, co ma robić ze swoim chłopcem, nie otrzymałby nic więcej prócz zupełnie ogólnych wskazówek. Tego się zgóry należało spodziewać. Etyk bowiem tworzy ideał przez oczyszczanie go od szczegółów, zależnych zarówno od zdolności indywidualnych, jak od okoliczności społecznych. Stąd jeszcze nie wynika, żeby jego ideał nie mógł być drogowskazem w życiu praktycznym. Cechy indywidualne nie wyczerpują jeszcze całej natury ludzkiej, ani osobliwości społeczne całego życia społecznego. A skoro tak, to wychowawca, zwracający się do myśliciela etycznego po wskazówki, napewno nie odejdzie z próżnemi rękami. Nie otrzyma od niego, coprawda, konkretnego ideału, któryby mógł realizować w swoim synu czy wychowanku, ale dostanie ośrodek, dokoła którego ten konkretny ideał będzie się skupiał. Albowiem ideał etyczny, oparty na głębokich dociekaniach nad istotą człowieka i nad istotą prawa moralnego, jest prawdą i tylko prawdą, choć z pewnością nie całą prawdą.

Jakkolwiek jednak duże usługi może tu oddać filozofja, nie powinna ona w dyktatorski sposób nastawać na to, aby tylko te ideały nadawały się do urzeczywistnienia, które mają na sobie stempel teorji. Nie z samej bowiem filozofji rodzą się ideały. Istniały one już wtedy, gdy filozofji jeszcze nie było na świecie. Zrodziły się one, podobnie jak cnoty i obowiązki stanowiące ich treść, z potrzeb i dążeń okresów, w których teorji jeszcze nie było. W szczególny zaś sposób do ich powstania przyczyniło się właściwe wszystkim rozumnym istotom, nietylko filozofom, pragnienie, aby życie miało związek wewnętrzny i jedność. Kiedy zaś wreszcie występuje na scenę teoretyk w zakresie etyki, powinien on pamiętać, że zadanie jego nie polega na dziesiątkowaniu ideałów, które zdążyły się zakorzenieć w wyobraźni, dążeniach i życiu ludzi, choćby one były niewiadomo jak liczne. Gdyby się nawet o to pokusił, pod naciskiem faktów musiałby się stać wyrozumiałym i pobłażliwym. Czyż bowiem w samej filozofji nie toczy się spór o to, który z ideałów ma być uznany za najwyższy: ascetyczny czy hedonistyczny, indywidualistyczny czy socjalny? Dodajmy, że jeśli jest naprawdę filozofem o szerokich horyzontach, to choćby najmocniej bronił własnych przekonań, musi uznać, iż wobec ogromnej różnorodności ludzkich uzdolnień, warunków i zadań jest jeszcze aż nadto miejsca na różnorodne sposoby rozumienia życia. Powinienby również doskonale zdawać sobie sprawę i z tego, jak bardzo świat ludzki potrzebuje ideałów. W tym stanie rzeczy musiałby się on dobrze zastanowić, zanimby się zdecydował przekreślić choćby jeden ideał, nawet mało znaczący, fantastyczny, fragmentaryczny lub niezupełny, przyczyniający się jednak do podniesienia poziomu życia codziennego. Powinienby się raczej cieszyć, że ideały między sobą tak silnie współzawodniczą. Świadczy to nietylko o tem, jak wielkie jest zapotrzebowanie ideałów, lecz również o tem, jak bardzo żywotnem jest prawo moralne, wymagające dla

swego urzeczywistniania się pracy wielu umysłów i wielu rąk.

Tego rodzaju tolerancji wobec ideałów nie należy jednak rozumieć w ten sposób, jakoby wszystkie ideały były równe i jakoby dokonywanie wśród nich wyboru nie było sprawą pierwszorzędnej doniosłości. Pomiedzy bowiem przyjmowaniem ideału na podstawach filozoficznych — jak czyni mniejszość ludzi — a przyjmowaniem go bez żadnego uzasadnienia istnieją jeszcze dwie alternatywy.

Jedna z nich polega na słuchaniu autorytetu, a więc np. kościoła, wybranego przywódcy, książki czy jakiegoś filozofa — i przyjmowaniu od niego ideału na wiarę. Dzieje się tak w wielu domach, szkołach, kościołach i nie bez pewnego usprawiedliwienia. Toż przecie nierozsądną, a nawet potworną rzeczą byłoby twierdzić, jakoby nikt nie miał prawa przyswoić sobie ideału, którego sam nie wymyślił i filozoficznie nie uzasadnił. Otóż jedną z alternatyw, jakie pozostają po odrzuceniu tego stanowiska, jest przyjęcie go na wiarę. Ryzyko jest oczywiste. Zaufanie może się skierować na niewłaściwy przedmiot, a posłuszeństwo może być ślepe i niewolnicze. Są bowiem autorytety i autorytety. Niektóre z nich mogą się powołać na długi szereg dodatnich wpływów wychowawczych. Jest to jakby ich list uwierzytelniający. Otóż człowiek, poddający swój rozum takiemu autorytetowi i przyjmujący jego ideał na wiarę, może spokojnie twierdzić, że oddaje należny hołd temu, co wytrzymało ogniową próbę doświadczenia. „Człowiek sumienia raczej zwątpi w swój własny rozum, niż potępi swój rodzaj“, powiedział Burke, z większym niż zazwyczaj naciskiem broniąc posłuszeństwa względem autorytetu.⁴³ Teza ta da się też pogodzić z wymaganiami rozsądku, o ile jej obrońcy zechcą z taką, jak Burke, troskliwością odróżniać autorytety, poparte przez długie doświadczenie, od autorytetów pozbawionych takiego poparcia.

⁴³ *Letter to the Sheriffs of Bristol*. Dzieła, tom II, str. 39.

Nie jest to jednak jedyna alternatywa. Obok autorytetu bowiem jeszcze i intuicja ma zwolenników wśród ludzi nie uprawiających teorii. Rzecz jasna, że z intuicją wiążą się pewne niebezpieczeństwa. Poza zaufaniem bowiem do intuicji ukrywa się bardzo często poprostu tylko kaprys lub lekkomyślność. Odstraszającym przykładem są „eksperymenty wychowawcze“ dokonywane czasem przez rodziców, zarozumiale wierzących tylko własnym natchnieniem. To wszakże jest tylko parodią. W życiu bowiem dzieje się tak, jak w innych sztukach. Istnieje w nim przychodząca wraz z doświadczeniem wytrawność, istnieje intuicyjna wnikliwość, będąca owocem długiego i głębokiego obcowania z faktami moralnymi. Dochodzi ona do swego ideału nie drogą badania i rozumowania. Wystarczy, żeby ideał wyblysnął czyto z płomiennych słów jakiegoś proroka etycznego, czy z jakiegoś władczego faktu, lub fikcji. Natychmiast będzie przyjęty z niezachwianem oddaniem.

Na jedną z tych dwóch dróg trafia ogromna większość naszych wychowawców i kroczy po nich długo w poszukiwaniu swych ideałów. A chociaż istnieją poważne argumenty za przyjęciem ideałów, wzrosłych na gruncie rozumowym (por. str. 236—242), nie upoważnia to jeszcze filozofji do wypowiedzenia wojny autorytetowi i intuicji. Zgodnie z własnym przekonaniem filozof, mający uznanie tylko dla praw uzasadnionych rozumowo, odmówi swego zaufania zarówno jednemu, jak drugiej. Dopóki jednak godzi się wraz z Platonem⁴⁴ na to, że wyrozumowana prawda wyraza poza granice pochłoniętego pracą świata praktyków życiowych, musi uznać, iż najlepiej przysłuży się ludziom,

⁴⁴ *Rzeczpospolita* (przekład St. Lisieckiego), ks. VI, str. 360. „Więc niepodobieństwem, aby tłum był miłośnikiem mądrości“. W tem powiedzeniu wyraziła się pogarda Platona dla mas, nawet jednak najbardziej przekonany demokratą musi przyznać, że przeciętny człowiek nie jest zdolny do filozoficznej analizy i konstrukcji, już choćby ze względu na palące potrzeby praktycznego życia.

gdy będzie dążył do tego, aby uczynić autorytet bardziej racjonalnym, a intuicję bardziej wybredną.

Następną kwestją jest, w jaki sposób przyjęte już ideały uczynić jak najbardziej skutecznymi.

Daliśmy już na to pytanie częściową odpowiedź. Ideały bowiem najskuteczniej wpływają za pośrednictwem tych instytucyj społecznych, o których już mówiliśmy. Jest na to powszechna zgoda, zwłaszcza gdy chodzi o niektóre z nich. Naprzykład, rodzina, szkoła i kościół z całym oddaniem służą idealnej moralności. Nie dość jednak na tem. Ideały nigdy naprawdę nie zapłodnią świata, dopóki ich realizacją będą się zajmowali wyłącznie rodzice, nauczyciele, kapłani i moralisci — czyli zawodowi, że tak powiem, wychowawcy. W ich służbę trzeba koniecznie zaciągnąć również przywódców życia przemysłowego i politycznego. Wielu uzna z pewnością to wymaganie za utopję. I trzeba się zgodzić, iż trudno się spodziewać, aby ludzie przystępowali do interesów lub polityki przede wszystkim poto, aby umoralnić swych bliźnich. Czołowi przedstawiciele handlu lub przemysłu będą myśleli przede wszystkim o dobrobycie lub bogactwie, politycy zaś skupią swą uwagę bardziej na interesach narodowych i materialnych warunkach potęgi i szczęścia swego państwa, niż na moralnem doskonaleniu się swoich współobywateli. Dobrzeby jednak było, gdyby każdy z tych ludzi zdobył się na tyle patriotyzmu, aby przy wszelkich poczynaniach mieć zawsze przed oczyma typ człowieka, któregoby chciał widzieć w warsztatach, urzędach, flocie, armji i przy urnach wyborczych swego kraju. Właśnie w dziedzinie przemysłu, handlu i polityki najbardziej daje się odczuwać potrzeba ideałów, któreby podniosły poziom życia praktycznego. I jeżeli przywódcy w tych dziedzinach nie znajdą miejsca dla ideałów moralnych obok ambicyj handlowych i politycznych, to praca zarobkowa i życie obywatelskie pozostaną i nadal bardzo niedoskonałymi szkołami cnoty.⁴⁵ Najwyższym ce-

⁴⁵ Por. str. 115—117, 125—126, 132.

lem, zarówno politycznym, jak moralnym, dla wielkicli filozofów greckich było urobienie charakteru współobywatei. A jakkolwiek w dużo większych i bardziej skomplikowanych państwach współczesnych nie może to w tym samym stopniu pozostać bezpośrednim celem publicznej akcji, jak w małych, zamkniętych w sobie politejach świata starożytnego, to jednak powinnyby to nadal uchodzić za najszczytniejszy cel wszelkiego życia politycznego.

Nie wystarcza, rzecz jasna, opisać, w jaki sposób do tego wzniosłego zadania przyczyniają się różne wpływy przyrodnicze i społeczne, któreśmy tu przejrżeli pokrótce. Oprócz nich bowiem istnieją jeszcze pewne specjalne środki, do których ludzkość uciekała się od zarania swej historii. Używały ich zaś zarówno jednostki, jak instytucje, z takim przekonaniem i tak wyraźnym skutkiem, że im się należy osobne i bardziej szczegółowe opracowanie.

Mamy na myśli trzy popularne środki pedagogiczne: karę, przykład i przepis.

Rozdział XI.

Kara.⁴⁰

Mieliśmy sposobność przekonać się (z pomocą Herberta Spencera), że natura ma swoje sankcje karne. Mają je instytucje, mają i jednostki. Wiele z tych sankcyj ustanawia człowiek w sposób zupełnie określony. Tu należą kary wymierzane przez rodziców lub nauczycieli, albo surowe reakcje prawa karnego przeciwko złoczyńcom. Inne bywają niemniej okrutne i ciężkie, choć nikt ich nie planował umyślnie, i dają się odczuć dopiero po wielu dniach. Tak samolub czy cynik, działający naprzekór więzom rodziny i przyjaźni, w późniejszych latach pozostaje w świecie osamotniony, a rozrzutność i marno-

⁴⁰ Interesujący rozdział o karze znajduje się w książce Mc Taggarta p. t. *Studies in Hegelian Cosmology*, str. 129—150.

trawstwo doprowadzają wreszcie swe ofiary do nędzy. Nemezis bowiem jest boginią nie dającą się zdetronizować. Prędzej czy później, szybko czy powoli, przez wszystkie stopnie srogości aż do ubóstwa, niesławy lub śmierci, wymierza ona swą straszną zapłatę.

Wiele z tych reakcyj, rzecz jasna, wymyka się z pod kontroli częściowo lub w zupełności; inne znów, choć podlegają kontroli, to jednak z taką trudnością dają się zastosować, że często zarówno jednostki, jak społeczności, skutkiem braku wiedzy błędnie je stosowały. Nie wynika stąd jednak, aby stać na boku i pozostawiać swobodę działania „naturze“. Raczej wskazane jest coś wręcz przeciwnego. Ludzkość bardzo już nacierpiała się, cierpi i jeszcze będzie cierpiała od kar różnego rodzaju. Ogrom tych cierpień staje się pobudką dla wychowawców i reformatorów prawa do opracowywania nowych metod. Ich zadaniem byłoby obrócić na dobro publiczne i na rzecz wyrobienia charakterów to gorzkie, a często jałowe żniwo cierpień. Nie uchylają się też oni od tego zadania. Ich uwaga kieruje się obecnie na teorię i sztukę karania.

Oddawna już uznano, że kara ma służyć do osiągnięcia pewnych daleko sięgających celów ogólnych. Może ona mieć charakter zadośćuczynienia: winowajca musi naprawić i odpokutować swą winę. Może być odstrasząca: może powstrzymywać od popełniania wykroczenia, lub jeśli wykroczenie już zostało popełnione, a po niem musi przyjść kara, może tak nastraszyć winowajcę, aby nauczony doświadczeniem, już nie powtórzył wykroczenia. Może ona być środkiem zapobiegawczym: w tym wypadku chce ona uniemożliwić dalsze wykroczenia zapomocą zamków i krat lub innych jakichś środków. Nadewszystko jednak może ona być ożywiona duchem wychowawczym lub reformatorskim. Wówczas zmierza do tego, aby uczynić zapomocą cierpienia winowajcę może nie doskonałym, — żaden bowiem człowiek jeszcze nie stał się doskonałym dzięki samemu tylko cierpieniu, — w każdym

jednak razie mniej niedoskonałym, niżby był, gdyby go nigdy karząca ręka nie dosięgła.

Zasady te nie wykluczają się nawzajem. Reforma może się łączyć z postrachem; przekonamy się również, że jeśli kara ma spełnić swe zadanie, musi w pewnym sensie być odpłatą. I dlatego, jeśli się mówi, że trzeba wybierać między temi zasadami — co rzeczywiście jest sprawą żywotną — to znaczy to tylko tyle, iż jedną z tych zasad należy uznać za naczelną.

Nietrudno rozstrzygnąć, która z tych zasad powinna dominować w wychowaniu. Można się rozmaicie zapatrywać na to, czy do państwa należy poprawiać charaktery obywateli przez stosowanie prawa karnego. Na tym punkcie może być różnica zdań. Gdy jednak głównem zadaniem jakiejś działalności jest kształcenie charakterów, jak to ma miejsce w wychowaniu, jedyne pytanie, jakie się nasuwa, musi brzmieć: czy kara jest środkiem, zapewniającym osiągnięcie tego niewątpliwie pożądanego wyniku. A skoro wszystkie rodzaje kary polegają na sprawianiu cierpienia lub straszaniu cierpieniem, pytanie to sprowadza się do zagadnienia, czy zadanie cierpienia może stać się środkiem poprawy.

Odpowiedź brzmi, że może, lub raczej, że może, o ile zostanie spełniony warunek, w porównaniu z którym wszystko inne ma stosunkowo niewielką doniosłość. Warunkiem tym jest, aby zadanie cierpienia wywołało w ukaranym poczucie winy i w konsekwencji prawdziwą skruchę. To najważniejsze! Kara może sprowadzić rzeczywistą poprawę tylko wówczas, gdy wywołuje zmianę stosunku winowajcy do popełnionego wykroczenia, co pociąga za sobą z jego strony, po pierwsze, uczucie swej winy (choćby we własnem sumieniu — publiczne wyznanie nie jest tu konieczne), a po drugie, żal za swój postępek. Wartość wychowawcza całej sprawy od tego przedewszystkiem zależy. I poza tem możemy, co prawda, coś zrobić. Możemy przekonać nawet zatwardziałych grzeszników o potrzebie

zadośćuczynienia. Możemy odstraszyć od popełnienia lub powtórzenia wykroczenia. Możemy winowajcę odosobnić lub unicestwić, podobnie jak zabijamy niebezpieczne zwierzęta. Dopóki jednak nie doprowadziliśmy jego woli do pokuty, mało czynimy dla charakteru, choćbyśmy nawet wiele czynili dla zapewnienia poprawnego postępowania.

Otóż tego niepodobna osiągnąć, o ile wymierzająca karę władza, czyto przed ukaraniem, czy potem, nie będzie uznana za organ autorytetu moralnego. Często się słyszy, i to jest niestety aż nazbyt prawdziwe, że kary wymierzone przez sądy państwowe rzadko kiedy doprowadzają do skruchy. Niema się czemu dziwić. Wbrew bowiem poglądom heglistów, współczesne państwo nie jest uznawane za organ autorytetu moralnego. Co najwyżej możnaby je uznać za organ niedoskonały. Można się też zgodzić, że sądy przysięgłych są do pewnego stopnia głosem sumienia publicznego. Niestety, przestępca narazie nie zdaje sobie z tego sprawy. Wie on dobrze, iż wykroczył przeciwko prawu swego kraju, ale wymierzona mu kara prawie nigdy nie mówi mu o tem, że popełnił czyn moralnie haniebnym i przestępnym. Nie porusza ona jego sumienia. Inaczej w domu rodzinnym, szkole lub kościele. W tych instytucjach władza wymierzająca karę, w normalnych przynajmniej wypadkach, jest uznawana za autorytet moralny, a wraz z tem kara nabiera odmiennego charakteru. Staje się ona może nie najlepszą, ale skuteczną — lekcją moralności. Winowajca bowiem widzi tu jasno, że przez niedbalstwo, lenistwo, samowolę lub namiętność obraził prawo, mające sankcję moralną, od czego jego własne sumienie powinno go być powstrzymać. Od takiego zaś przeświadczenia już tylko jeden krok do skruchy i pokuty. Kara też niekoniecznie ma być surową. Kara nawet z pozoru bardzo łagodna w porównaniu z wielkością przewinienia może wystarczyć, jeśli rozprószy omamienie winowajcy, doprowadzi go do

przekonania, że wykroczył przeciw moralności i że prawa moralnego nie można lekceważyć. Bezwątpienia też, gdyby państwo lub społeczeństwo, wymierzające kary przestępcom, mogło w oczach swych obywateli uzyskać tę aureolę atrybutów moralnych, jaka otacza rodzinę, szkołę i kościół, posiadłoby ono skuteczny oręż opinii publicznej. Mogłoby też stosować przewidziane przez kodeks karny represje z większym skutkiem dla reformy moralnej, a z mniejszym dla pognębienia tych, którzy się dostaną pod jego ciężką rękę, niż to jest przy obecnym niedoskonałym stanie spraw ludzkich.

W związku z takim pojmowaniem kary nadarza się sposobność do oświecenia w należyty sposób dwu przykrych wzruszeń, które stale towarzyszą wszelkiemu rozmyślnemu zadawaniu cierpienia. Są to: strach i upokorzenie.

Wszelkiej karze towarzyszy strach. Niepodobna też zaprzeczyć, że w tysiącznych wypadkach obawa przed cierpieniem i karą ma charakter nieszlachetny, niewolniczy. Inny jest strach przed karą, którą ma wymierzyć władza ciesząca się szacunkiem. Wtedy bowiem obawę wzbudza nie samo tylko cierpienie. Wraz z tą obawą łączy się strach przed sprawiającem ból odsunięciem od czegoś, co uznajemy za dobre, czy to będzie osoba, czy instytucja, czy prawo. Tak przeobrażona, może ona zupełnie utracić niewolniczy charakter, a nawet stać się pewnego rodzaju hołdem, złożonym moralności. Lepiej jest niewątpliwie, gdy motywu moralnego nie kazi zupełnie uczucie strachu. Jeżeli jednak strach być musi, a nie można go uniknąć, gdy się uciekamy do kary, to niechby przynajmniej nie miał w sobie nic niskiego. Takim będzie strach, który choć w części wynika z szacunku dla uznanych przedstawicieli i organów prawa moralnego. Świadczą o tem niewątpliwie wypadki, gdzie karzącego z karanym łączą wzajemne związki zaufania i sympatji, jak np. nauczyciela z uczniem, ojca z dzieckiem. Któż nie

przyzna, że w takich razach niski strach przed cierpieniem może ustąpić na najdalszy plan i stracić zupełnie na znaczeniu? Miłość dziecka dla ojca, lub szacunek ucznia dla nauczyciela nie jest znowu tak wątłą roślinką, aby pod naciskiem choćby nawet licznych kar miały ustąpić miejsca niewolniczemu strachowi, — oczywiście, pod warunkiem, że kary są zasłużone.

Podobnie ma się sprawa z upokorzeniem. Musi ono łączyć się z wszelką karą; często też spotykamy się z uwagą, że kara upokarza. I tak jest niewątpliwie, dopóki nasza myśl krąży dokoła kary, dopóki dręczymy się pytaniem, co o tem sądzą postronni świadkowie. Jeśli jednak za cenę nieuniknionego upokorzenia winowajca dochodzi do skruchy, nabiera ono innego charakteru, stając się ucieczką od złej woli, a może nawet początkiem nowego życia. Upokorzenie, stając się krokiem na drodze moralnego ulepszenia, przestaje być poniżeniem. Wykroczenie poniżej, kara zaś i związane z nią upokorzenie są raczej pożądanem podniesieniem z upadku.

Stąd wynika, że jeśli kara ma poprawiać, to musi mieć charakter zadośćuczynienia. Droga bowiem do poprawy prowadzi przez skruchę, a niema skruchy bez cierpienia. Tego uniknąć nie można! Kara może być lekka, można ją nawet zupełnie darować, — a jednak cierpienie może być nad wyraz dojmujące. I nie może być inaczej, skoro tylko w pełni odczuty wstyd za popełnioną winę może przywrócić należyty stosunek winowajcy do złamanego prawa. W tym sensie winowajca musi wypić kielich goryczy aż do dna; w tym sensie musi odpokutować swą winę; w tym sensie musi uczynić co do joty zadość złamanemu prawu.

I nie wychodzi to na złe władzy wymierzającej karę lub większej albo mniejszej społeczności, która poza nią stoi, gdy otoczenie żywo się oburza na złe postępowanie, na co zwykle nastają zwolennicy zasady zadośćuczynienia. Dobrze jest, gdy jakiś naród z całego serca nienawi-

dzi występku i ściga go karzącą dłonią. Dobrze, gdy rodzina i szkoła brzydzi się występkiem i tępi go. Dobrze, jeśli się do żywego oburza, gdy przemoc pozostaje bezkarną, i doznaje zadośćuczynienia, gdy surowa nemezis dosięga zbrodniarza. A to nie przez zemstę lub z braku współczucia dla winowajcy, lecz z wyższego względu. Chodzi tu o to, że kara najskuteczniej poprawia i uczy moralności, gdy za nią stoi zwartym murem zdecydowana opinja publiczna. Możemy podziwiać odważne współzucie Burns'a, który skierował do arcywroga rodu ludzkiego życzenie: „A możebyś się zastanowił chwilę i poprawił!“⁴⁷ Przypuśćmy jednak, że wychowanie miałoby poprawić tego zakamieniałego przestępcę. Nie ulega wątpliwości, że osoby obciążone tem zadaniem doznałyby wielkiego poparcia, gdyby opinja publiczna potępiła jego piekielne sprawki.

Ten fikcyjny przykład nasuwa jednak najzupełniej praktyczne pytanie, czy istnieją niepoprawni grzesznicy i co z nimi robić? Doniosłe to zagadnienie, gdyż właśnie w obliczu niepoprawności załamuje się czysto poprawcza teoria kary. Gdyby bowiem jedynym motywem kary była poprawa, toby niepoprawnych nie należało karać zupełnie. Innemi słowy, niepoprawnych powinniśmy w takim razie pozostawić w spokoju, a karać pozostałych, którzy nie mają marki zatwardziałych grzeszników.

Jest to w każdym wypadku palące zagadnienie. Jednakże jest ono o wiele bardziej palące dla rodziny lub szkoły, niż dla państwa. Państwo bowiem może uciec się do wykluczania swych obywateli. Gdy nie może uleczyć lub zastraszyć, może zamknąć lub oddzielić, w razie potrzeby nawet na całe życie. Może ono to czynić w interesie publicznym. Nie możemy jednak tego zrobić w szkole. Szkoła niewątpliwie w najgorszym wypadku może wypędzić i uwolnić się od parszywej owcy. Ale to nie załatwia

⁴⁷ Wyjątek z żartobliwej „Ody do djabła“.

sprawy: zrzuca ją tylko na barki kogoś innego — czyto szkoły poprawczej, czy domu rodzicielskiego, jeśli ci odrzuceni dom posiadają. A cóż powiedzieć o rodzinie? Czyż ma ona zamknąć drzwi, zerwać więzy krwi i skazać ich na ciężki los bezdomnych lub na coś jeszcze gorszego?

Trudno na to odpowiedzieć. Niewiele nam też pomoże oczywisty wniosek, że skoro istnieją niepoprawni, to choćby ze względu na porządek publiczny, przyzwoitość i zdrowie moralne należy z nimi postępować jakoś inaczej, niż z tymi, których się poprawia lub nastrasza. Nie ma rady! Społeczeństwo musi oddzielać moralnie trędowatych.

Jest jeszcze inne wzięcie się do rzeczy: mieć nadzieję wbrew nadziei. Na szczęście, nie jest to tem samem, co spodziewać się wbrew możliwości. Dobro bowiem i zło, pomimo całego przeciwieństwa, tak dziwnie mieszają się ze sobą w ludzkiej naturze, że w wielu wypadkach byłoby lekkomyślnością twierdzić, iż dobro nie istnieje, ponieważ wydaje się, że zupełnie zanikło. Ostatecznie w najgorszych wypadkach mamy najczęściej do czynienia z upadkiem; gdzie zaś dobro było, tam nie ginie ono tak łatwo. Potwierdzają to ludzie mający stale do czynienia z najgorszymi typami kryminalnemi. Stwierdzają oni, że nawet głęboko upadli zachowują jednak pewne ślady lepszego życia, jakieś iskierki uczuć ludzkich, do których można się odwołać nie bez skutku. Na tem opierają się nadzieje nietylko już gorących filantropów, lecz również doświadczonych kryminologów. Wiedzą oni, mianowicie, że przez długotrwałe i troskliwe stosowanie higieny moralnej przy skąpem wymierzaniu kar, z wyjątkiem dłuższego pozbawienia swobody i zmuszenia do dyscypliny, da się ocalić niejedno, zwłaszcza jeszcze młode życie, od któregoby nasi przodkowie odstąpili, uznając je za beznadziejne. A przecież ani kryminologja, ani sztuka postępowania z przestępcami z pewnością nie osiągnęły jeszcze swoich granic.

Nie powinniśmy też bez potrzeby pogarszać swej opinii o t. zw. niepoprawnych w domu i szkole, przenosząc na nich cień, jaki rzucają zakamieniali przestępcy z sądów karnych i więzień. W ogromnej większości wypadków nie są oni źli całkowicie, a co najważniejsze, nie zdążyli się jeszcze w złem utrwalić. A skoro tak, nie jest utopją liczyć na bogate i wciąż rosnące środki wychowania; nie jest również utopją stanowczo przeciwstawiać się wyrzucaniu niepoprawnych na śmietnisko bezwartościowych istnień ludzkich, dopóki się nie wyczerpało cierpliwości i wyjątkowych środków.

O wielez bardziej stosuje się to do jednostek, które nie są „niepoprawne“ i nie są bynajmniej zupełnie złe. Chociażby bowiem karanie było niewiadomo jak konieczne, zawsze pozostanie ono podrzędnym czynnikiem w o wiele większej sztuce urabiania charakterów. Nawet gdy chodzi o wychowanie powściągów, jest ono o wiele mniej skuteczne od pozytywnych metod popierania rozwoju, które, jak o tem mówiliśmy powyżej,⁴⁸ najskuteczniej dyscyplinują wychowanka. Wolno też mieć nadzieję, iż przy należytem odwoływaniu się do przykładu, nakazu i sumienia, kara, choć może nigdy nie zniknie ze świata, pocznie się jednak bardziej liczyć z naturą ludzką, niż obecnie, gdy jeszcze aż nazbyt często uchodzi za konieczną drogę do enoty.

Kara jednak istnieje, a skoro tak, nie możemy porzucić tego przedmiotu bez podania pewnych prawideł, dotyczących stosowania kary w praktyce pedagogicznej.⁴⁹

Po pierwsze zatem, trzeba mieć pewność, że wykroczenie zostało popełnione. Niepodobna odpowiedzieć na pytanie, ilu winowajców lepiej puścić bezkarnie, niż uka-

⁴⁸ Zob. str. 52 i 89—90.

⁴⁹ Por. Bentham, *Theory of Legislation*, część III, zwłaszcza rozdz. VI p. t.: Wybór kary, w którym, oczywiście bez szczególnego uwzględnienia wychowania, sformułowane są zasady karania.

rać jednego niewinnego. Niepodobna na to odpowiedzieć, ponieważ te dwie sprawy są niewspółmierne.

Po drugie, należy rozróżniać stopnie wykroczenia. Co innego np. jest nie spełnić obowiązku, a co innego popełnić zły czyn; co innego zgrzeszyć przeciw samemu sobie, a co innego przeciw innym; co innego wykroczyć przeciwko porządkowi społecznemu, a co innego obrazić moralność i szerzyć zarazę moralną.

Po trzecie, kara ma być dostosowana do wykroczenia. Łatwo to prawidło wypowiedzieć, ale trudno je zastosować. Któż bowiem potrafi zupełnie ściśle ustopniować wykroczenia i odpowiadające im kary? Bardzo to trudna sprawa już w prawie kryminalnem, choć to prawo, ze względu na swą surowość i ogólnikowość, nie może głębiej wnikać w indywidualne cechy charakteru. W szkole lub w domu trudności wzrastają dziesięciokrotnie, tu bowiem można i trzeba jak najdokładniej badać poszczególne indywidualności. Najlepszym wyjściem będzie zapewne wybierać takie kary, które najłatwiej doprowadzają do skruchy.

Będzie to zarazem najlepszym argumentem na rzecz czwartego prawidła. Stanowi je znana zasada, że między karą a wykroczeniem powinna zachodzić pewna analogja. Kara ma uderzyć wolę, że tak powiem, we właściwy punkt. A więc ma ona np. przegłodzić łakomeczucha, upokorzyć bezczelnego, zmusić leniwego do pracy, lekomyślnego nauczyć ostrożności. W ten tylko sposób kara może przemówić do winowajcy.

Niemniej rozsądne jest wymaganie, aby kara była zarazem przykładem. Skoro się ją już stosuje, nie należy poprzestać na otworzeniu oczu winowajcy i wymierzeniu, co mu się należy. Można z niej uczynić poglądową lekcję dla licznej rzeszy możliwych winowajców.

Nie znaczy to jednak, aby kara miała być surowa. Można by tak interpretować zalecenie: „Działaj przykładem“; naprawdę jednak należałoby je rozumieć w sposób

wręcz przeciwny, a mianowicie, że kara nigdy nie ma przewyższać tego stopnia, który jest niezbędny, aby przywrócić zachwiany autorytet, napiętnować wykroczenie, uczynić zadość zdrowemu wymaganiu, że sprawca złego ma cierpieć za swój postępek, ale przede wszystkim, aby poruszyć sumienie winowajcy. W tem znaczeniu kara ma być ekonomiczna, czyli, innymi słowy, nigdy nie cięższa, niż to jest konieczne do osiągnięcia zamierzonego celu, bez względu na to, czy nim będzie zachowanie prawa i porządku, czy też poprawienie karanego.

Słuszne jest wreszcie wymaganie, żeby kara możliwie zawsze łączyła się z odpowiednim powetowaniem szkód. Winowajcę, mianowicie, należy zmusić do naprawienia w granicach możliwości szkód, będących skutkiem wykroczenia — niezależnie od tego, czy te szkody są duże, czy małe.

Zamykamy ten rozdział uwagą, że nikt nie urobi charakteru przez stosowanie prawideł dotyczących karania, choćby sformułowanych z największą starannością. Temu celowi służą pozytywne środki, pobudzające rozwój, a jednocześnie zapewniające karność. Wśród nich dużą rolę odgrywa przykład.

Rozdział XII.

Przykład.

Przykład pierwotnie działa przez wywołanie dosłownego naśladowania wzoru. Dzieci instynktownie robią to, co w ich oczach robią inni, lub o czem słyszą od innych. Są one wrodzonymi aktorami, od wczesnych lat też grają różne role.

W wielu wypadkach nie ma to większego znaczenia dla rozwoju moralnego, choć może interesować psychologa. Interesuje go to, ponieważ tu właśnie natrafia on na zaczątki tych silnych skojarzeń pomiędzy spostrzeże-

niami lub przedstawieniami a działaniami, które wyjaśniają, dlaczego to w późniejszym życiu po przedstawieniu spraw, które należy zrobić, automatycznie następuje ich wykonanie. Dzięki temu w woli sprężonej z przyzwyczajeniem stopniowo nagromadza się wielki zapas tych przedstawień motorycznych, które jej pozwalają z taką sprawnością posługiwać się złożonym aparatem nerwowym i mięśniowym. Bezpośredniego znaczenia dla etyki cała ta sprawa w każdym razie nabiera dopiero wówczas, gdy czynności, zrodzone przez naśladownictwo, mogą pobudzić do rozwoju jakąś zdolność lub instynkt tak, że dzięki otrzymanej pobudce i wyćwiczeniu stają się one cnotą. Tego rodzaju czynności istotnie nie brakuje. Wpływ moralny przykładu rozpoczyna się wraz z ich wykonywaniem, zwłaszcza gdy ono często się powtarza. Zachowanie się bowiem ludzkich istot dziwnie interesuje nawet małe dzieci, gdy zaś przykłady w otaczającym życiu lub historii następują po sobie, wciąż na nowo narzucając się umysłowi, z naśladowania rodzi się przyzwyczajenie.

Przy zwykłym biegu rzeczy najważniejszymi są przykłady z kółka rodzinnego. Nie znaczy to jednak, aby one właśnie miały działać najskuteczniej. Nie najgorsze to dzieci, które wolą naśladować Achillesa albo jakiegoś innego bohatera greckiego, rzymskiego lub ojczyzno, niż własnych rodziców. Nie jest to, jak się zdaje, zmyśleniem, że prostsze życie dawniejszych czasów często łatwiej trafia do prostszych umysłów. W każdym razie przykłady domowe, których stałego wpływu ani myślimy umniejszać,⁵⁰ w krótkim czasie poczynają się zasilać przykładami zaczerpniętymi ze świata fantazji.

Doskonale sobie zdawał z tego sprawę Platon. To też wychowanie platońskie zaczyna się nie od wpływów „realnego życia“, ale od religijnych i innych opowiadań, których dzieci uczą się na kolanach piastunek, oraz od

⁵⁰ Zob. str. 103.

tych wszystkich, którzy im mówią od najwcześniejszych lat o bogach i bohaterach. Jest w tych opowiadaniach niewątpliwie dużo zmyślenia. Wychowanie musimy zaczynać od „kłamstwa“. Ma to być jednak „kłamstwo szlachetne i dostojne“. Z faktami może ono obchodzić się swobodnie, ale poza maską fantazji powinno mieć rysy zdrowego i dobrze rozważonego zamiaru moralnego.⁵¹

Nie należy jednak tego tak rozumieć, jakoby cel moralny miał przyświecać przez zmyślenie. Wręcz przeciwnie, dzieci są tak skore do odkrywania zasadzki morału, że trzeba dokładać wszelkich starań, aby on pozostał w ukryciu. Natomiast nie ma on być ukryty dla tych, którzy dają książkę z opowiadaniem w ręce młodzieży, a to z dwu względów: po pierwsze, ze względu na pozytywny wpływ zdrowej, szlachetnej i prawdziwie wielkiej literatury; a po drugie, ponieważ żaden indeks książek zakazanych nie zapobiegnie złej lekturze. Przeciwnie, starannie pielęgnowany kult dobrej literatury przyczyni się na dłuższą metę o wiele skuteczniej do wyrugowania utworów skandalicznych, frywolnych i kryminalnych od tysiąca zakazów.

W związku z tem nie należy też zapominać, — a któż zapomni o tem z czytelników Rzeczypospolitej Platona? — że wychowawca, dobierający literaturę dla młodzieży, choćby miał poglądy najszersze, znajduje się w innem położeniu, niż urodzony bibliofil i krytyk; ostatni bowiem ma na myśli przedewszystkiem literacką formę, a mało się troszczy, lub zupełnie nie dba o to, jaki pokarm dla charakteru moralnego będzie stanowił dany utwór dramatyczny, powieściowy, lub dany poemat. Sporo utworów, zaliczanych do literatury klasycznej, podobnie jak wiele książek do niej na szczęście nie zaliczanych, zupełnie się nie nadaje do bibliotek szkolnych i domowych.

⁵¹ *Rzeczpospolita* (przekł. St. Lisieckiego), ks. II, str. 112—116. Por. także str. 127.

W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, iż wzbogacimy w pożądanym sposobie zasób kształcących przykładów, sięgając w duchu dalekim od ciasnego purytanizmu do poezji epicznej, powieści i ballad. Powinniśmy się przytem starać o to, aby młodzież przywykła obcować z temi tworcami fantazji, które, choć nigdy nie były żywymi ludźmi, tak jednak głęboko wpływają na życie. Nietrudno też zrozumieć, co miał na myśli Robert Chambers,⁵² gdy oświadczył, że „wzniósł w swem sercu pomniki“ pisarzom, którzy pierwsi otworzyli mu oczy na życie, sięgające daleko poza ciasny horyzont jego rodzinnej wioski.⁵³ I rzeczywiście, jest to faktem, który potwierdzą nauczyciele, interesujący się dalszem życiem swoich wychowanków, że na karierę bardzo wielu już chłopców rozstrzygający wpływ — w dobrym lub złym kierunku — wywarł świat fantazji, z którym oni za młodu obcowali. I trudno, aby było inaczej, skoro naśladownictwo jest jednym z najwcześniejszych, najgłębszych i najtrwalszych instynktów człowieka. Jego wpływ nie ogranicza się też do okresu dziecięctwa. Kiedyś przyjaciele Diderota zastali go we łzach. Na ich zdziwione zapytania odpowiedział, iż opłakuje swych przyjaciół: ...Pamełę, Klarysę Grandisona.⁵⁴ Każdy zaś z czytelników Wordswortha wie dobrze, jak on, chroniąc się przed małostkowością, lub co gorsza, plotką i napaścią osobistą, znajdował zawsze bezpieczną ucieczkę w towarzystwie Uny i Desdemony, oraz w szlachetnych uczuciach miłości czy troski, przekazanych mu przez poetów.⁵⁵

Nie możemy jednak poprzestać na wytworach fantazji. Prawie równocześnie z opowieściami młodzież otrzy-

⁵² Szkocki pisarz, księgarz i wydawca, ur. 1802, zm. w 1871 r. (*Przyp. red.*).

⁵³ *Memoir of Robert Chambers*, wyd. 2-gie, str. 64.

⁵⁴ Por. Morley, *Diderot*, str. 261.

⁵⁵ Patrz: cztery sonety p. t. *Personal Talk*, *Dzieła* (Moxon), IV, 219.

muje do ręki biografję, a z biografją historję, która zresztą dla młodych umysłów jest przede wszystkim galerją życiorysów. Jakąż oszczędność czasu i sił zyskujemy, używając tych środków! Gdy chcemy nauczyć odwagi, wielkoduszności, miłosierdzia, zamiast długo rozwodzić się o tych cnotach, wskazujemy tylko: „Oto odwaga, oto wielkoduszność, oto miłosierdzie!“ To wystarcza.

Nie przypuszczajmy jednak, aby wszystko to dało się osiągnąć przez samo tylko dosłowne naśladowanie. Ma ono swe ciasne granice, lecz nieuchronnie je przekracza. A wówczas staje się czemś wyższem. Wszelkie mianowicie naśladowanie, w każdym zaś razie wszelkie naśladowanie ożywione prawdziwie ludzkim duchem, jest do pewnego stopnia odkrywaniem. Nie jest ono mechaniczną pracą kopisty. Gdy bowiem naśladowanie doprowadza do działania, doświadczamy, co to znaczy działać. W świetle zaś tego nowego przeżycia przykład nabiera nowego, pogłębionego charakteru. Wkładamy wien podobne przeżycie wewnętrzne i w ten sposób uczymy się odtwarzać i rozumieć świat motywów. Proces ten posuwa się naprzód i naśladowanie staje się coraz głębsze. Nie poprzestaje już ono na jawnem i łatwo wpadającym w oczy działaniu. Stara się odgadywać i odtwarzać ducha naśladowanych czynów. W ten sposób „bohater“, czyto wzięty z powieści, czy z potocznego życia, poczyna żyć drugiem życiem, nietylko już w postępkach, ale i w duszy swego „czciociela“.⁵⁶

Stanowi to ogromny krok naprzód. Rozszerza to znacznie granice naśladownictwa, pozwalając mu korzystać z wielu wzorów, których wartość tkwi nie w samym sposobie działania, ale w duchu, przenikającym działanie. Świadczy o tem wieczysty wpływ przykładów, pochodzących z dawno minionych stuleci. Mogliśmy się już przekonać, że przemożny wpływ na wyobraźnię młodzieży

⁵⁶ Dużo światła na naśladownictwo rzuciła praca prof. Baldwin a p. t.: *Social and Ethical Interpretations in Mental Development*.

wywierają bynajmniej nie najbliższe osoby z otoczenia. Raczej wyrze go jakiś bohater homerowy, wiking, krzyżowiec, błędny rycerz, podróżnik, wódz indyjski lub banita. A chociaż młodzież, odtwarzając z początku dość niewolniczo tego rodzaju wzory, wpada w manierę „pozowania“, to jednak z biegiem czasu — chciałyby się pragnąć, aby nie nazbyt szybko — to dosłowne naśladownictwo poczyna jej się wydawać dziecinnem i bezsensownem. Nie znaczy to jednak, aby odtąd już mogła się ona obywać bez wzorów. Zmiana sprowadza się do tego tylko, że teraz poczyna działać na naśladowcę przede wszystkim duch, którego te wzory są uosobieniem, a więc np. duch dzielności, wierności, wytrwałości, awanturniczości, odwagi. Umiłowanych wzorów, jednym słowem, ani się nie odrzuca, ani nie naśladuje niewolniczo: odtwarza się ich ducha.

Tak też być musi, gdyby się bowiem działa inaczej, nasze przywiązanie do przykładów, choćby najświetniejszych, nigdyby się nie mogło stać drogą do dobroci. Sama istota dobroci nie pozwala na ślepe naśladownictwo. Dobry bowiem człowiek jest przede wszystkim człowiekiem samorodnym. Jest on samorodny w tym sensie, że jest szczery. Każde jego spojrzenie, słowo, każdy gest, czyn każdy nie są skopjowane, aktorskie, lecz są bezpośrednio żywymi ujawnieniami tkwiącego w nim moralnego ducha. To stanowi jego czar, jego urok. Gdybyśmy zatem chcieli naśladować dobroć, musielibyśmy upodobnić się do tego, co stanowi jego istotę, a więc stać się samorodnymi. Nędzny hołd złożylibyśmy osobie uwielbianej, poprostu tylko przebierając się w jej szaty. Byłoby to bezduszne małpowanie, chociażby nawet wzór był najszlachetniejszy. Dobrze to umieć przenieść się w imaginnacji na miejsce dawnych bohaterów lub świętych; gorzej próbować drogą niewolniczego naśladownictwa przenieść ich w nasze czasy. Hołdem, który im się należy, nie jest postępowanie tak, jak oni postępowali, lecz jakby

w naszym przekonaniu musieli postępować wśród zmienionych okoliczności naszego życia. Tylko w ten sposób rozumiane przykłady mogą wywrzeć cały swój wpływ wychowawczy. O ile występują w charakterze precedensów, nie mają one większej wartości. Ich drogi bowiem nie są naszymi drogami, usiłując zaś nagiąć je do naszych, sami tylko wpadamy w pedantyzm i śmieszność. Wielka też prawda mieści się w zastanawiającej przestrodze Emersona: „Strzeż się naśladownictwa. Tylko Stwórca mógłby nauczyć ludzi, co każdy z nich powinien robić”.⁵⁷

Tak swobodnie pojęte przykłady mogą mieć potrójne znaczenie.

1. Po pierwsze oczyszczają one i podnoszą naszą moralną ocenę zarówno ludzi, jak postępków. Przypominamy, iż często niepowodzenia moralne wynikają nie z niezdolności do spostrzegania warunków naszego działania, lecz z niezdolności do ich oceniania.⁵⁸ Skąpiec np. może sobie zdawać doskonale sprawę z tego, że za pieniądze w danej sytuacji będzie mógł zabawić się, lub spełnić dobry uczynek. Jednakże w tym samym czasie myśl o posiadanym pieniądzu i o wszystkim, co by mógł zań dostać, powstaje w nim z taką żywością, że poczyna górować nad wszystkim innym, wyczarowuje pomiędzy nim i jego pięknymi zamiarami jakąś dziwnie zniekształcającą wszystko przesłonę, aż wkońcu jego hojność kureczy się do zera. Przypuśćmy jednak, że dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zetknie się on z jakimś niezwykłym wypadkiem wspaniałomyślności wówczas, gdy sam jeszcze nie wyzwolił się od panującego nad nim złudzenia. Czy to nie zmieni jego porównawczej oceny rzeczy? Czy nie pocznie się wkońcu dziwić, jak mógł tak się mamić, aby gromadząc coraz więcej pieniędzy, tak mało zyskiwać za nie przyjemności dla siebie lub ulgi dla innych? W ten sposób przykład, zakorzeniwszy się w naszym umyśle,

⁵⁷ *Essay on Self-reliance*, Dzieła (Macmillan and Co.), t. II, str. 67.

⁵⁸ Por. str. 204—205.

może zmienić nasze poglądy na życie. Mówić prawdę, cześć ojca i matkę, płacić długi: — wszystko to są wytarte ogólniki; jednakże nabierają one nowego znaczenia, przynoszą ze sobą zmianę poglądów i ocen z chwilą, gdyśmy rzeczywiście poznali choć jednego człowieka, który je ucieleśnił w sposób trafny i bezinteresowny.

2. Łączy się z tem ściśle ta okoliczność, że przykład pozwala nam jakgdyby odkrywać samych siebie. Dzieje się to nawet wówczas, gdy tak nas przewyższa, że pierwszym uczuciem, którego doznajemy w jego obecności, jest cześć i pokora. Nigdy bowiem na widok szlachetnego życia nie ograniczamy się do podziwu, jak wobec dzieła sztuki lub siły albo wdzięku jakiegoś zwierzęcia. Jest ono dla nas podnioslejszym objawem tego samego ducha moralnego, który uznajemy za coś w nas samych najlepszego. Przykład, choćby niewspółmiernie wysoki, przestaje odtąd być nam obcy. Jest nam pokrewny. „Poczy-namy się z nim utożsamiać“, jak to się mówi. Pozwala nam to ufać, że choć tak bardzo nas przerasta, to jednak przynajmniej tyle z niego jest w nas, że możemy dążyć do stania się nim. W tem świetle nasze upadki spotykają się z nowem potępieniem. Zaczynamy na nie patrzeć, jak na przeszkody, nie pozwalające pewnej zasadzie moralnego życia w nas osiągnąć o wiele pełniejszego niż dotychczas rozwoju, choć byłaby do tego zdolna. Z tych względów nawet Kant zmuszony był przyznać, że przykłady dodają nam bodźca.⁵⁹

Wszystkie bowiem cnoty stanowią jedną całość. Grecy filozofowie niezmordowanie na to nastawali. Cnoty nie są kapryśnie przez los porozrzucanemi darami. Wydaje nam się tylko, że one są tak bardzo rozmaite, gdy je dzielimy według różnych szeregów, klas, zajęć życiowych. Kto umie patrzeć, kto umie wczuwać się, ten pod całą tą różnaitością wysledzi zawsze tego samego moral-

⁵⁹ *Grundlegung zur Metaphysik der Sitten*, cz. II, zob. dalej str. 175.

nego ducha, różnemi drogami usiłującego ożywić ludzką naturę.

Tego rodzaju wpływ nie ogranicza się do wypadków, kiedy przykład przewyższa nas pod względem moralnym. Ta sama wspólność człowieczeństwa, ta sama wspólność ducha moralnego, która nas ośmiela do tego, aby w świętym dostrzec naszą własną naturę ludzką, tylko uwzniośloną, pozwala nam również głębiej i serdeczniej wniknąć w życie duchowe zwykłych naszych bliźnich. Mogą oni różnić się swym losem, zamożnością, zdolnościami. Ale to nie oddziela nas od nich. Ten oto chudopachołek, ten bogacz, ten żebrak, ten arystokrata — czemże są oni? — czy nie nami samymi, naszą własną tak dobrze nam znaną naturą moralną wśród zmienionych tylko okoliczności? ⁶⁰

Tu znowu świat fikcji, oparty na zrozumieniu człowieka przez człowieka, może wyświadczyć pierwszorzędną usługę. Jedną bowiem z prerogatyw pisarza stwarzającego fikcję jest to, że może on wyzwolić uciśnioną naturę ludzką od krępującej ją ograniczoności faktów i objawić ją nam w przeistaczających ją przyjaznych okolicznościach idealnej sytuacji. Zdarza się to i w zwykłym życiu, że jakiś człowiek po długiej walce z przeciwnościami, uchwyciwszy wreszcie szczęśliwą sposobność, wkracza na drogę, która mu odpowiada. Teraz, powiadamy, powinien on pokazać, do czego jest zdolny. Co los zrządza tylko od czasu do czasu, to pisarz, operujący fikcją, może zrobić zawsze. Stawiając naturę ludzką w blasku fantastycznych okoliczności, może on, że tak powiem, dać jej pole do pokazania, na co ją stać. Pod tym względem literatura piękna jest podobna do nauk eksperymentalnych, którym się ją nazbyt może pośpiesznie przeciwstawia. Gdy chemik chce nam pokazać, jakie właściwości ma jakiś kwas albo jakaś zasada, ukazuje dany związek che-

⁶⁰ Ten temat opracowałem w rozdziale o Braterstwie w *Ethics of Citizenship*, 4-te wyd., Mac Lehosé and Sons, str. 26.

miczny wśród rzucających nań światło sztucznych warunków eksperymentu. W podobny sposób fantazja twórcza w swem laboratorium fikcyjnym demonstruje nam, czem jest dusza ludzka, pokazując, jak ona myśli, czuje, chce, działa wśród starannie dobranych warunków fikcyjnej sytuacji. William Godwin napisał utwór p. t.: „St. Leon“ z tą myślą, aby — jak wyznał — „zmieszać ludzkie uczucia i namiętności z nieprawdopodobnymi sytuacjami“.⁶¹ Otóż wolno nam krytykować sposób wykonania, — nie wolno cenzurować jego pomysłu. Chemik dla lepszego uwydatnienia właściwości fosforu spala go w sztucznie wytworzonej atmosferze tlenu. Czy sztuczne wytwarzanie warunków, mających wywołać te właśnie namiętności, które pragniemy zbadać, nie jest czemś w rodzaju chemii ludzkich wzruszeń? Nie o samo przecież zadowolenie estetyczne chodzi. Potoki światła rzucono już w ten sposób na rzeczywistość moralną. Tem się tłumaczy, dlaczego bohaterowie i bohaterki Waltera Scotta i Szekspira dla wielu z nas są postaciami bardziej realnymi od ludzi znanych nam z codziennego życia. Dlatego to tak mądra jest uwaga, że złudzenie nie jest omamieniem. Bo też nie może być mowy o omamieniu, gdy genjusz, stwarzając z wielką sztuką świat fikcyjny, ukazuje najlepsze i największe pierwiastki człowieka w sytuacjach, zapewniających większą pełnię tej demonstracji. W ten to sposób postaci, zrodzone przez fantazję, niejednemu już pomogły żyć, choć same nigdy nie oglądały światła niebieskiego. Będąc tylko wytworami umysłu poety lub powieściopisarza, dają one więc ludziom to, czego same nie mają i mieć nie mogą.

3. Przykłady zatem oświecają. Lecz również przyspieszają rozwój moralny.

Zwykła to jest trudność w wychowaniu moralnym, że

⁶¹ *St. Leon*. W opowiadaniu tem autor usiłował wykazać, jaki wpływ na ludzkie stosunki mogłoby wyrzucić zdobycie kamienia filozoficznego i eliksiru życia.

te dwie rzeczy: światło rozsądku i bodziec do działania bywają rozdzielone. Ludzie słuchają argumentów, rad i upomnień. Przyznają słuszność. Obiecują. Nie spełniają. Inaczej bywa, gdy się odwołać do przykładu. Konkretny bowiem, pokrewny nam, sugestywny i łatwo zrozumiały wzór przemawia do nas i porusza uczucia pobudzające do działania. O wiele trudniej trafiają do duszy i zobowiązują przepisy. Różnych używamy środków, by je podtrzymać, powtarzamy je np. bez skutku i t. p. Cóż, kiedy definicje, przepisy, nakazy nie przyspieszają w nas pulsu. Natomiast obraz człowieka żyje w nas długo, a przez swą obecność porusza sprężyny działania. Dlatego to Carlyle mógł twierdzić, że „kult bohaterów“ stanowi potężniejszą dźwignię postępu ludzkości od najgłębszych słów wszystkich mędrców świata.⁰² Dużo w tem słuszności. Chcąc wypróbować jakąś siłę moralną, należy jej użyć w trudnych, a nawet wręcz rozpaczliwych wypadkach. W takich okolicznościach przekonywamy się o sztuce lekarza. Wypróbujmyż zatem i szerszą sztukę kształcenia charakterów, zapytując, w jaki sposób tchórza uczynić odważnym lub rozwiązłego czystym? Apostołowie „kultu bohaterów“ odpowiadają, że obraz życia czystego lub pełnego poświęcenia może wywołać wzruszenia, zdolne do wyrzucenia z duszy nawet tych strasznych drożdżności. Filozofja na swój sposób potwierdza tę prawdę. Czyż Sokrates nie wywarł głębokiego wpływu na swych uczniów, choć wszystko czynił, aby usunąć na daleki plan swą osobowość i uczyć, jak ktoś nie mający autorytetu? A cynicy, epikurejczycy i stoicy czyż nie wryli się w wyobraźnię i życie ludzi może nawet głębiej, niż cała mądrość Arystotelesa? Łatwo zrozumieć, dlaczego. Do doktryny dodali typ: typ cynika, typ epikurejczyka, typ sto-

⁰² Por. Carlyle, *Sartor Resartus*, ks. III, rozdz. VII. „W tym fackie, że kult bohaterów istnieje, istniał i będzie zawsze istniał powszechnie wśród ludzi, widzieć możesz kamień węgielny fundamentu, na którym wszelka polityka po wsze czasy bezpiecznie spoczywać może“.

ika. I typ się przyjął, gdy przepisy czy argumenty mogłyby na to czekać długo i napróżno.

„Przykład“ — powiedział Burke — „jest szkołą ludzkości; kto się w niej niczego nie nauczył, ten się niczego nie nauczy w żadnej innej“.⁶³ Jest to z pewnością przesada, ale przesada do wybaczenia. Tak silna, jak wymowa faktów. „Można to chyba przyjąć za prawdę, iż od czasów Chrystusa („i wcześniej jeszcze“ — od siebie dodamy) nie było chyba miasta, w któremby przynajmniej raz na sto lat nie zabłysnął tak wzniosły charakter, że sama już jego obecność zawstydzała złych, a dobrych czyniła lepszymi; obcując z takimi charakterami odczuwa się chwilami jakgdyby obecność samego Boga“.⁶⁴

Niewystarczalność przykładu.

A jednak wpływ przykładu ma swoje granice — granice nieuniknione, bo związane z samą istotą przykładu. Przykład, mianowicie, jest zawsze czemś konkretnem, jakąś rzeczywistą lub fikcyjną osobowością, z indywidualnymi rysami charakteru, a skutkiem tego poddaną ograniczeniom czasu, miejsca i okoliczności. Jest to słuszne, nawet gdy chodzi o ludzi, którzy się dla nas stali uświęconymi wzorami. Sokrates, święty Paweł, Marek Aureljusz, święty Ludwik, święty Bernard, Erazm, Luter, Lojola, Washington, Gordon: — czyż oni wszyscy nie są wielkimi wzorami właśnie dlatego, że czas nie może zniszczyć ani ich, ani ich ograniczeń? Jest w tem pewne niebezpieczeństwo — tem większe, im bardziej one zawładnęły naszą wyobraźnią i zhołdowały nas samych. Wzór zawsze ma swoje granice. Jest on grecki, hebrajski, rzymski, średniowieczny, angielski. Uzyskując panowanie nad nami, może on przysłonić nam fakt, że życie moralne jest

⁶³ *Letters on a Regicide Peace*, I, Dzieła, V, str. 223.

⁶⁴ Seeley, *Ecce Homo*, wyd. 20-te, rozdz. XIV: The enthusiasm of humanity, str. 161.

czemś szerszem od wszystkiego, co pojedynczy wzór zdolny jest ucieleśnić.

Niebezpieczeństwo to, rzecz jasna, jest tem większe, im pośledniejszy jest obrany wzór. Któż nie widział, jak chłopcy i dziewczęta już po kilku miesiącach mają dość czezonego „bohatera“? A gdyby tak komuś z nas zaproponowano, aby powrócił do dawnych uwielbień, — co powiedzielibyśmy na to? Dzień ich przeminął, i przytem nie skutkiem naszej niestałości, lecz skutkiem ich ograniczoności.

Dlatego życie całkowicie wzorowane na przykładach, zwłaszcza niedość typowych, może nie odpowiedzieć wymaganiom i to z dwu względów. Może ono, mianowicie, albo rozpaść się na fragmenty niezwiązanych ze sobą uwielbień i naśladowań, lub też, w razie stalszych przywiązań, znaleźć się w trudnem położeniu pana domu, któremu wypadło bawić nie ze sobą wspólnego nie mające towarzystwo. Jest rzeczą w każdym razie oczywistą, iż im więcej ktoś uwielbia wzorów, tem silniej musi odczuwać, jak każdy z nich jest niewystarczalny. Dlatego to moralność oparta na przykładach najbardziej uwydatnia ciasnotę swych granic właśnie wtedy, gdy staje się najpowszechniejszą.

Drugie ograniczenie ma swe źródło nie w przykładzie, ale w wielbicielu. Istnieją, mianowicie, osoby niewrażliwe na wszystko, co przemawia do wyobraźni, a więc i na przykłady. Dla tych niefortunnych ludzi cały wielki świat fikcji jest zamknięty na siedm pieczęci. „Sztuka“, jak ktoś powiedział, „obyłaby się bez komentatorów, gdyby była w pełni powołana do mówienia sama za siebie“.⁶⁵ Jednakże to nie sztuce brak powołania. Brakuje go raczej tej dużej części świata, która, będąc pozbawiona wyobraźni i zdolności do wczuwania się, bardzo słabo rozumie utwory artystyczne. Dlatego to potrzebni są kry-

⁶⁵ Thomson, *Outlines of the Laws of Thought*, str. 33.

tycy i komentatorzy. W świecie intelektualnym odgrywają oni rolę pośredników. Niektórzy jednak ludzie nawet ich nie rozumieją. Zresztą przykład może być niezrozumiały, choć nie jest bynajmniej fikcyjny. Wystarczy, aby go od nas dzieliły: czas, miejsce i okoliczności. Pótwierdzi to niejedyn głośiciel nauki chrześcijańskiej. Pomimo uciekania się do pomocy poezji, malarstwa, rzeźby i alegorji doprowadzenie ludzi do rzeczywistego wniknięcia w życie Chrystusa pozostaje wyjątkowo trudnym zadaniem. Wystarczy to, aby szukać poza przykładem jeszcze innych środków, — chybabyśmy przystali na to, że moralnym może być tylko ten, kto ma wyobraźnię.

Pozostaje jeszcze istotniejsze ograniczenie. Polega ono na tem, że przykład jest jakby narzędziem, służącym do wywoływania możliwości moralnych, ale nie jest środkiem wszczepiającym te możliwości, a tem bardziej jedynym środkiem. Musimy tu iść za Kantem. „Cześć dla jakiejś osoby“ — powiedział ten największy z krytyków przykładu — „jest właściwie tylko czcią dla prawa moralnego, którego ona jest dla nas przykładem“.⁶⁶ Zastanawiające powiedzenie! Jest ono najoczywściej fałszywe, jeśli je rozumieć w ten sposób, że nie odczuwamy szacunku dla osób, dopókiśmy nie doszli do uświadomienia sobie praw moralnych, nakazujących uczciwość, prawdomówność, odwagę, lub jakieś inne obowiązki. Czyż bowiem nie jest to banalną prawdą, że prawa moralne zazwyczaj objawiają się nam przedewszystkiem w ucieleśnieniu konkretnem i zindywidualizowanym? A jednak tkwi w tem powiedzeniu pewna podstawowa prawda. Wszelki szacunek dla osób opiera się na pewnych zgóry powziętych założeniach. A uwielbiane wzory, nawet najświetniejsze, wywierają na nas swój wpływ, ponieważ znajdują odgłos w tkwiącym już w naszej świadomości

⁶⁶ *Grundlegung zur Methaphysik der Sitten*, cz. I, przypisek. „Alle Achtung für eine Person ist eigentlich nur Achtung fürs Gesetz (der Rechtschaffenheit etc.), wovon jede uns das Beispiel gibt“.

duchu moralnym. Mówiąc stylem Platona, spotykający się z uznaniem przykład oglądamy „okiem duszy“. Gdyby nie to, całe piękno życia mogłoby przejść niedostrzeżone przed ślepymi oczyma i cała jego muzyka mogłaby przebrzmieć poza głuchemi uszami. Potwierdza to codzienne doświadczenie. Czyż bowiem nie zdarza się nam widzieć, że nawet najsprytniejszy niepoń okazuje się głupcem, gdy próbuje czytać w charakterze prawego człowieka i po prostaku się myli, wkładając weń własne nędzne myśli i plany? Odwrotnie, często bywa i tak, że człowiek uczciwy, nawet nie nadzwyczajnie bystry, łatwo rozpoznaje dobroć swoich bliźnich. Przyczyna oczywista. Polega ona na tem, że jeden z tych ludzi ma w sobie klucz, otwierający dostęp do duszy innego człowieka, a drugi go nie ma. Klucz ten w danym wypadku polega na posiadaniu ducha moralnego, samorzutnie rozpoznającego dobroć i witającego jej obecność. Dobroć bowiem jest czemś, czego nie można widzieć w innych ludziach. O jej obecności lub nieobecności wyrabiamy sobie zdanie, interpretując ich postęпки i słowa. Chcąc zaś interpretować je trafnie, musimy sami mieć w sobie czyto w postaci uczucia, czy idei, tego samego ducha moralnego, z którego, jak sądzimy, począł się dany czyn, lub wyraz. Usprawiedliwia to do pewnego stopnia znane twierdzenie Kanta, że „w dziedzinie moralności niema zupełnie miejsca na naśladownictwo“.⁶⁷ Przypomina nam ono, że choć przykład może mieć na nas wpływ zbawienny, to jednak nie

⁶⁷ *Grundlegung zur Metaphysik der Sitten*, cz. II. „Man könnte auch der Sittlichkeit nicht übler raten, als wenn man sie von Beispielen entlehnen wollte. Denn jedes Beispiel, was mir davon vorgestellt wird, muß selbst zuvor nach Prinzipien der Moralität beurteilt werden, ob es auch würdig sei, zum ursprünglichen Beispiele, d. i. zum Muster, zu dienen, keineswegs aber kann es den Begriff derselben zuoberst an die Hand geben. Selbst der Heilige der Evangelii muß zuvor mit unserem Ideal der sittlichen Vollkommenheit verglichen werden, ehe man ihn dafür erkennt... Nachahmung findet im Sittlichen gar nicht statt, und Beispiele dienen nur zur Aufmunterung“.

jest w stanie wszczepić w nas moralnego ducha. Jest zaś tak dlatego, ponieważ przykład może być skuteczny dopiero wówczas, gdy mający mu podlegać osobnik już ma w sobie reagujące nań uczucie i przekonanie. Komu tego brak, ten nie dostrzeże wartości moralnej w tem, co ma przed oczyma. Stara zasada filozoficzna głosiła, iż „podobne poznajemy przez podobne“. Daje się ona tu zastosować. Gdyby istniały ludzkie istoty najzupełniej niezdolne do moralnego życia, toby im nie pomógł nawet widok „najdoskonalszego w świecie społeczeństwa, umiającego szlachetnie żyć i umierać“. Uwydatniłby on tylko w całej pełni ich nieudolność moralną.

Doktryna ta zatem bynajmniej nie pozbawia nas otuchy, choć na pierwszy rzut oka mogłoby się tak wydawać. Zacieśnia ona coprawda ostatecznie granice wychowawczego wpływu przykładów. Jest to jednak ograniczenie, z którym łatwo się pogodzić, świadczy ono bowiem o sile i niezależnej żywotności indywidualnego życia. Ostatecznie wielkie przykłady oddałyby nam marną przysługę, gdybyśmy, pozostając pod ich hipnozą, szli tylko za nimi na ślepo i bezwolnie. Więcej z siebie mamy do dania, one zaś więcej mają od nas żądać. I dajemy to z siebie, stwierdzając w samym akcie lojalnego oddania się tę niezależną zasadę moralnego życia, od której zależy najwyższe nasze prawo do tego, by mieć bezwzględną wartość moralną.⁶³

Uwaga ta pozostaje w sile również wówczas, gdy naszym wzorem jest nie pojedynczy człowiek, lecz stworzony w wyobraźni ideał stosunków społecznych. Może to być przytem ideał, jaki czasami rodziły genialne umysły, ale może być i taki, jaki sobie maluje większość śmiertel-

⁶³ Por. Kant, *Grundlegung zur Metaphysik der Sitten*, cz. I. „Es ist überall nichts in der Welt, ja überhaupt auch ausser derselben zu denken möglich, was ohne Einschränkung für gut könnte gehalten werden, als allein ein guter Wille“.

ników, chociażby marząc o lepszym otoczeniu społecznym, lub o bardziej odpowiednim zajęciu.

Wyższość społecznego wzoru polega na tem, że jest łatwo zrozumiały. Lepiej ucieleśnia różnostronność obowiązków i pragnień. Ukazuje obowiązki życiowe na szerszym tle społecznym. I przytem wartość tego rodzaju wzoru, — zwłaszcza gdy jest tworem genialnego umysłu, — nie zależy od tego tylko, czy da on się dosłownie urzeczywistnić na tym świecie. Obowiązki, które on ucieleśnia, jak: — panowanie nad sobą, odwaga, miłość prawdy czy sprawiedliwości — wszystkie one zachowają trwałą wartość i dadzą się zastosować, chociażby warunki społeczne zmieniły się zupełnie. Tak właśnie należałoby się zapatrywać na taki wzór; — natomiast ulegalibyśmy płonnej nadziei, gdybyśmy oczekiwali po nim szczegółowych wskazówek postępowania. Nie byłoby to rozsądne, jak nierozsądnem byłoby obierać sobie za wzór czyjeś postępowanie tylko wtedy, gdy ono jest nam bliskie pod względem czasu, miejsca i innych okoliczności.

Zauważyliśmy już, że przykład jednostkowy zawsze jest zamknięty w pewnych granicach. To samo trzeba powiedzieć również o wzorze społecznym. Jest on również konkretny, a skutkiem tego zależny od miejsca i czasu, w którym powstał. Nawet Platon jest tego dowodem. Narysował on obraz idealnego państwa, według którego miały się kształtować jednostki. Wydawało mu się, że stwarza wzór uniwersalny. A jednak nawet przy pobieżnym czytaniu łatwo zauważyć, jak bardzo był on grecki. Jeszcze ważniejsze jest drugie ograniczenie. Żaden jeszcze człowiek nie napełnił się duchem moralnym, wciągnąwszy go w siebie jednym ożywczym wdechem, chociażby miał przed sobą największą utopję, na jaką może się zdobyć ludzka fantazja. Musi w nim przed tem być coś, czego żaden ideał nie wszczepi. Dlatego to nawet najpoprawniejsza zewnętrzna zgodność z ideałami społecznymi,

choćby one były nie wiem jak szlachetne, byłyby tylko nędznym surogatem żywiłowego uwielbienia i samorzutnej lojalności. A to są korzenie i zarazem owoce moralnej niezależności jednostki.

Dodajmy do tego, że z uwielbieniem dla utopij społecznych łączą się pewne swoiste niebezpieczeństwa. Jednym z nich jest pedanterja. Nieraz to już w dziejach świata ludzie usiłovali ukształtować swe życie na modłę pewnych wzorów społecznych, które zapożyczali z odległej przeszłości. Tak było z angielskimi purytanami i presbiterjanami. W radzie i bitwie naśladowali oni przykłady ze Starego Testamentu, czytając biblję, jak powiedział Sterling,⁶⁰ przy blasku strzałów pistoletowych. Podobnie niektórzy entuzjaści odrodzenia kształtowali się według klasycznych wzorów. Rewolucjoniści zaś francuscy starali się pod innym niebem powołać do życia zdobycze rzymskiej „swobody“. To samo zdarza się w mniejszym stopniu, ilekroć ludzie przejmują się jakimś systemem życia, ukazującym im się na obłokach przeszłości lub przyszłości, i tak o nim nieustannie myślą, że wkońcu wpadają w dziwactwo lub fanatyzm. Osoby takie umieją doskonale nastawać, — nigdy natomiast nie wiedzą, kiedy zaprzestawać.

Innym niebezpieczeństwem jest marzycielstwo. Istnieje pewna nieudolna i nieprzewidująca ochoczość do zadowalania się pokarmem fantastycznych planów. Zdolność ta, — lub raczej wada, — ułatwia często marzycielowi ucieczkę od wielu rzeczy drażniących, pospolitych, lub brzydkich w jego otoczeniu. Działa więc, jak środek znieczulający. Zawarta w niej słabość ujawnia się w godzinie działania. To przecież tak łatwo zniechęcić się pierwszymi trudnościami podjętego zadania i zamiast walczyć z niemi oddać się marzeniom o jakimś nowym projekcie. Budowniczo wie tego rodzaju zamków na lodzie potrafią

⁶⁰ John Sterling, 1806—1844, poeta i pisarz angielski. (Przyp. red.).

nieraz do późnej starości zapalać się do coraz to nowych spraw — i nie nie zrobić.

Dochodzimy ostatecznie do tego wyniku, iż wychowywanie zapomocą przykładów, i to zarówno indywidualnych, jak społecznych, skazane jest przez same prawa wyobraźni na to, aby być niewystarczalnem. Niema też co ukrywać, że w całej pracy wyobraźni jest coś z nieświadomego intelektualnego omamienia. Z natury swojej ukazuje ona i może tylko ukazywać przedmioty w pewnej przynajmniej mierze konkretne, skończone, ograniczone. Takie są przedmioty wyobrażeń, nawet wówczas, gdy rzeczywiście istnieją. W tych wypadkach niema, oczywiście, omamienia. Jest ono jednak wtedy, gdy na obraz konkretny, skończony, ograniczony zapatrujemy się w ten sposób, jakgdyby on był całą prawdą. Otóż tego rodzaju „omamienia“ trudno się ustrzec. Autor w biografji, historii, czy powieści wtedy właśnie jest całkowicie uczciwy, wtedy wierny sobie, gdy najbardziej grzeszy. Będąc bowiem wiernym sobie, musi odmalować swój obraz z takim urokiem i wykończeniem, z takim ciepłem i blaskiem, abyśmy, zapatrzeni weń, gotowi byli zapomnieć o wszystkim innem. Mamy więc zapomnieć, innemi słowy, że jego obraz jest tylko fragmentem życia, oddartym od szerszego świata zjawisk. A jakkolwiek może on mówić nam prawdę i tylko prawdę, to jednak nigdy nie powie, nigdy nie potrafi powiedzieć całej prawdy. Stąd wynika jego siła i słabość zarówno w bajce dla dzieci, jak w eposie: — siła w gloryfikowaniu aspektów, faz, elementów ludzkiego życia, — słabość w czynieniu tego tak, iż, jak to powiedział Cervantes, „wdzięczne kłamstwa zaślubiają umysł czytelnika“. To nas omamia do tego stopnia, iż wkońcu zapominamy, jak wiele jest jeszcze na świecie rzeczy poza ograniczoną pełnością jego czarującego obrazu.⁷⁰

⁷⁰ Ilość aspektów, czy elementów życia, które wyobraźnia wybiera i syntetyzuje, może być zaiste ogromna. Bywają one też bardzo doniosłe

Już choćby z tego względu nie wolno nam zamknąć się w moralności, opartej na wzorach rzeczywistych lub wyimaginowanych. Poza nią dużo jeszcze pozostaje miejsca na moralność, kierującą się przepisami.

Rozdział XIII.

Przepis.

Stąd, iż o moralności opartej na wzorach mówiliśmy wcześniej, nie należy wysnuwać wniosku, jakoby moralność, ujęta w przepisy, miała się pojawiać dopiero w późniejszym stadium rozwoju jednostki ludzkiej. Można się co prawda zgodzić na to, że przepisy stają się naprawdę skuteczne dopiero w późniejszym stadium, jednakże narzucają się one dziecku niewątpliwie już wówczas, gdy ono przestaje być niemowlęciem.

W bardzo też wczesnym okresie życia narodu ludzie zaczynają moralizować. Ich epepeje nie zajmują się już tylko wojną, miłością i uctami. Głębokie myśli rozsiane tu i ówdzie, np. w pieśniach Homera, świadczą o tem, że refleksja już się przebudziła. To samo zauważamy we wczesnych opowiadaniach historycznych. Przez bezrefleksyjne szczegóły rocznikarskie przebija się żyłka moralizatorska. Aż wreszcie zjawiają się moralizatorzy z powołania. Będą to: poeci liryczni, dający wyraz wezbranym uczuciom, kapłani, wytykający błędy i dający wskazówki, mędrce, których wieszczę słowa z ust do ust przechodzą. W ten to sposób rodzą się przepisy. Koniec końców na każde dziecko spada ogromne dziedzictwo powie-

i zapładniające. W ten sposób wyobraźnia może nas prowadzić do prawdy, rozszerzając ciasny horyzont pospolitego poglądu na życie. Fikcja w tym sensie może być o wiele bardziej prawdziwą od tak zwanego faktu. Nie powinno to jednak pozbawiać nas krytycyzmu. Spinoza utrafił w samo sedno, twierdząc, że najtrudniej bywa uniknąć błędów, lub raczej braków „abstrakcji“, a mianowicie jednostronności i niepełności poglądów, — gdy one sprzymierzają się z wyobraźnią.

dzeń, przysłów, refleksyj, ogólników, stanowiących integralną część ducha narodowego. Będąc wskazówkami postępowania, okazują one wybitną pomoc moralistom i wychowawcom. Skutek jest znany. Wśród najrozmaitszych okoliczności, w porę i nie w porę karmieni jesteśmy przykazaniami, wiersz za wierszem, przepis za przepisem. Dzieci czytają przepisy na ścianach swoich pokojów, a młodzież szkolna na okładkach kajetów. Gdy wiejska dziewczyna opuszcza dom rodzinny, matka żegna ją przykazaniem; z przykazaniem również wysłał ojciec w świat swego syna. W przepisie starcy streszczają doświadczenie swego życia. Często też bliscy od człowieka nie myślącego już o światowych sprawach w ostatnim darze otrzymują — przykazanie moralne.

1. Nieusystematyzowane przepisy.

Pamiętając o tem wszystkiem, niepodobna zaprzeczyć, że przepisy kształtują ludzkie życie. Wywierają one potężny wpływ już w pierwszej fazie swojego rozwoju. W fazie tej stanowią one bieżącą moralność ogółu bez żadnych jeszcze pretensyj do systemu lub nawet uporządkowania. Wiersze poetów, sentencje moralistów, słowa mówców, a przedewszystkiem obfitość owych przysłów, nieznanego pochodzenia, bezimiennych autorów: oto są formy, w których je znajduje współczesny moralista. W tej samej formie znajdował je na agorze ateńskiej Sokrates, gdy przystępował do rozprawiania o sprawiedliwości. Wartość przysłów sama jest przysłowiowa. Cieszą się one co najmniej taką samą popularnością, jaką tak łatwo zdobywają banalne rady. Poruszają się one na płaszczyźnie aż nazbyt poziomej, a jednak uchodzą za „mądrość narodów“, jeśli nie są „dowcipem jednostki“. A nie zapominajmy, że „mądrość narodów“, choć może być głupstwem w sprawach naukowych, to jednak nie bywa niem najeźściej w sprawach moralnych.

Przepis najlepiej jest uogólnić. Mądrze powiedział Spinoza, iż jednym ze sposobów dobrego przygotowania się do spełnienia obowiązku w godzinie działania jest wpajanie w siebie w godzinach rozmyślania najlepszych i najszlachetniejszych zasad postępowania. „Dopóki nie posiadamy doskonałej wiedzy o naszych wzruszeniach, dopóty czemś najlepszem, co możemy uczynić, jest wymyślenie należytego sposobu życia, czyli jakichś zasad życiowych, przyswojenie ich pamięci i bezustanne ich stosowanie w rzeczach poszczególnych, często w życiu napotykanym, aby tym sposobem ciągle pobudzały naszą wyobraźnię i abyśmy je zawsze mieli w pogotowiu. Tak np. do takich zasad życiowych zaliczyliśmy przewyższanie nienawiści miłością, czyli szlachetnością, zamiast odwzajemniania się nienawiścią. Abyśmy zaś ten przepis rozsądku zawsze mieli w pogotowiu, kiedy tylko zajdzie potrzeba, należy myśleć i często rozmyślać o zwykłych krzywdach ludzkich oraz o tem, jakim sposobem i jaką drogą można je najlepiej zwalczać szlachetnością. W ten sposób bowiem połączymy obraz krzywdy z obrazem owej zasady i będziemy mieli ją zawsze w pogotowiu, gdy stanie się nam jakaś krzywda“.⁷¹

Możnaby posunąć się o krok dalej i twierdzić, że przepis poczyna być skutecznym właśnie przez to, że staje się ogólnikiem. Komunały bowiem moralne przemawiają do nas nie własną tylko wymową. Na skutek swego rozpowszechnienia wzbogacają się one bardziej niż najświetniejsze epigramaty skojarzonemi z nimi wypadkami i doświadczeniami. Nieraz je bowiem wypowiedano wśród pamiętnych okoliczności. Uskrzydla to niejako strzałę i dodaje znaczenia zupełnie pospolitym ogólnikom moralnym. Oto np. człowiek, mający na sumieniu kłamstwo: — nie potrzeba nadzwyczajnych środków, aby go porużyć do żywego. Wystarczy, gdy jakiś uczciwy człowiek

⁷¹ Spinoza, *Etyka*, Cz. V, Twierdzenie 10. Przypisek. (Przekład I. Myślickiego). Por. Pollock, *Spinoza*, str. 285.

powie mu najbardziej wytarty frazes o mówieniu prawdy. Oto inny napadnięty niespodzianie przez silną pokusę. Co może go ocalić? — Z pewnością nie żaden epigramat, lecz kilka oklepanych słów, które przed laty może wypowiedział ktoś, co go kochał i miał do niego zaufanie. Warto przytoczyć przykład, lepiej może od innych dowodzący, jak wielkiej wartości w pewnych warunkach nabierają najprostsze, najbardziej znane słowa. „Lockharcie“, powiedział do swego zięcia Walter Scott, umierając, „ostatnia to moja chwila. Mój drogi, bądź dobry, bądź cnotliwy, bądź religijny — bądź dobrym człowiekiem. To tylko będzie dla ciebie pociechą, gdy legniesz na łożu śmierci“.⁷²

A jednak z temi dodatkami, czy bez nich, nawet całe mnóstwo przepisów słabą jest pomocą, jeśli się zważy, że one przeczą sobie nawzajem w kłopotliwy sposób. Mamy z tuzin przysłów twierdzących, że najlepszą drogą postępowania jest cnota. Cóż stąd, gdy tuzin innych głosi, że synowie tego świata mądrzejsi są od synów światłości. Jedne z nich powiadają, że swój do swego ciągnie, inne — że krańcowe przeciwieństwa stykają się z sobą. Jedne twierdzą, że pierwsze natchnienie jest najlepsze, inne mówią, że dopiero druga myśl jest trafna. Nigdy nie zapóźno na poprawę, poucza jedno przysłowie, lecz inne znowu powiada: skoro drzewo upadło, to już musi leżeć. Brak w tem wszystkim, zaiste, związku i nie wiadomo, za którą pójść wskazówką, gdy one się między sobą tak kłócą.

Dodajmy do tego, iż przysłowia, popularyzując moralność, mają jednocześnie niewątpliwą tendencję do jej popolitowania. Przeważają w nich motywy o mniejszej wartości moralnej. Najczęściej zadowolają one rozsądek, nie zaś subtelniejsze sumienie. Pewne też ryzyko łączy się ze zwracaniem się do ludzi, szafujących przepisami. Można od nich otrzymać dobrą radę, ale można też dostać

⁷² Lockhart, *Life of Scott*, tom VII, str. 393.

same komunały. Nie też tak nie zmniejsza wpływu „dobrej rady“, jak podejrzenie, że to jest recepta, sfabrykowana dla wszystkich. Jest rzeczą ludzką, że namiętny egotyzm przeżyć osobistych buntuje się przeciw doprowadzającej do rozpaczy łatwości, z jaką niektórzy ludzie udzielają banalnych morałów.

Niektórym z tych wad można, coprawda, zaradzić. Że zaś w części przynajmniej wynikają one z braku usystematyzowania, jasną jest rzeczą, gdzie szukać lekarstwa. Bezładne powiedzenia zawartej w przysłowiaach moralności można ująć w system pewnego rodzaju kodeksu moralnego.

2. Kodeksy moralne.

Wielka wyższość kodeksu moralnego zasadza się na tem, że jest on zawsze wynikiem selekcji. A chociaż może on czasami zwykłe praktyki obrzędowe podnosić do godności praw moralnych, to jednak naogół wybiera przepisy najlepsze i najbardziej autorytatywne. Postęp w tem jest widoczny. Przepisy kodeksu tchną pewną godnością, rozważą i szerszym poglądem. Że zaś każdy kodeks jest próbą ujednostajnienia, przeto nie może w nim być tak wiele sprzeczności. Ale to jeszcze nie wszystko. Przepisy ujęte w kodeks nabierają znaczenia wychowawczego, jakiego nie miały przedtem zarówno w życiu jednostek, jak w życiu zbiorowem. Kodeksy bowiem nie powstają łatwo. Pochodzą one od osób, patrzących na życie poważnie. W ich przekonaniu kodeks istnieje po to, aby go wykonywano. To też starają się oni poprzeć go wszelkimi możliwymi sankcjami: prawnymi, społecznymi, a nawet nadprzyrodzonymi. Poświęcają się też całkowicie nauczaniu i zalecaniu kodeksu, dopóki wreszcie ludzie nie przyzwyczają się do postępowania według nieustannie brzmiących w ich uszach nakazów i zakazów prawa moralnego. W ten to sposób kodeks moralny może wejść w ciało

i krew ludzi i całych narodów. Tak, prymitywny dekalog hebrajski stał się kodeksem, uznanym przez cały świat zachodni.

Co więcej, tego rodzaju odwieczny kodeks staje się wkońcu czemś więcej niż kodeksem. Jest on już symbolem prastarej moralności i wielkiej religji. To też budzi cześć i posłuszeństwo, dochodzące nieraz do zabobonu i kultu litery prawa. Bez tych skojarzeń zaden kodeks nie będzie się cieszył podobnym wpływem, choćby go ułożyły najmędrze głowy.

A jednak najlepsze nawet kodeksy nie są wolne od bardzo poważnych braków. Przedewszystkiem nakaz, choćby najsilniej wyrażony, nie ma wielkiego wpływu, o ile cnota, której się domaga, nie zagnieździła się już w uczuciach, przyzwyczajeniach, a w pewnej mierze i w poglądach ludzi, do których on się zwraca. Nie łatwiejszego, jak wypowiadać słowa. Najczęściej, choć nie zawsze, równie łatwo bywa tych słów wysłuchiwać. Naprawdę trudno jest dopiero przygotować w duszy te dyspozycje, bez których słowa nie prawie nie znaczą.

Była to jedna z tych prawd, które tak jasno widział Pestalozzi dzięki swej intuicji. Nie dawał on swym uczniom mnóstwa przepisów; starał się natomiast wytworzyć w nich poczucie cnoty, zanim począł o niej mówić. I to jest zasada, którą często bezwiednie w życiu uznajemy. Istnieją np. ludzie, o których powiadamy: „Ten człowiek nie rozumie, co to jest uczciwość“. A mówiąc tak, zdajemy sobie sprawę z tego, że słowa nic tu nie pomogą, ponieważ to, o czem mowa, nie istnieje realnie w duszy nieuczciwego człowieka. Cóż on wie o uczciwości, o jej pokusach, zmaganiach się i postanowieniach. A jednak o tem właśnie zapominamy tak często! Szafujemy z wagą nakazami w naiwnem przypuszczeniu, jakoby tego tylko było potrzeba. A tymczasem słuchacz nas nie rozumie, jakgdybyśmy przemawiali do niego zupełnie obcym językiem.

Pamiętając o tem, łatwiej nam będzie zrozumieć, jaka może być praktyczna wartość pouczania o życiowych obowiązkach, zwłaszcza w domu i szkole. Nie chodzi tu przytem o uzgodnianie postępowania z przepisami, które, jak mamy prawo sądzić, już zostały w pełni zrozumiane. Przedtem należy uporać się z inną trudnością. Polega ona na tem, aby doprowadzić młodzież, — nie mówiąc już o dorosłych, — do istotnego zrozumienia tego, co mówimy. A wiedza moralna nie jest tak samo dostępna, jak wiedza naukowa. Gdy mowa o trójkątach lub roślinach, nie trudno w umyśle słuchacza wywołać odpowiednie przedstawienia. Możemy zresztą, gdy zechcemy, narysować trójkąt na tablicy, a roślinę pokazać w zielniku. Rzecz inna, gdy chodzi o cnoty i obowiązki. Możemy się o nich rozwodzić bardzo długo — i zupełnie bez skutku. Gdy bowiem w naszym słuchaczu brak cnoty i poczucia obowiązku, słowa nasze zdołają wywołać zaledwie jakiś bladły cień faktów, o które nam chodzi.

W tem tkwi słabość wszelkich napomnień, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z młodzieżą. „Bądź uczciwy, bądź pracowity, bądź wspaniałomyślny, odważny, wyrozumiały“ — dobre to są rady, a sposób, w który się je daje, może nieraz zachęcić do dobrego. Nie łudźmy się jednak, aby napomnienia mogły dokonać cudu. Musimy dążyć do celu drogą dłuższą, trudniejszą, ale zato o wiele bardziej skuteczną. Używając wszystkich dostępnych środków, a więc: przez wychowywanie instynktów i formowanie przyzwyczajzeń, przez wywoływanie „naturalnych reakcyj“, przez nieustanny dobroczynny wpływ rodziny, szkoły i kościoła, a w dużym stopniu również przez działanie przykładem musimy przedewszystkiem ugruntować cnoty. Dopiero po takim przygotowaniu można odwoływać się do przepisów. Lecz wówczas to, o czem mówią przepisy, będzie już głęboko wkorzenione w uczucia, przyzwyczajenia, myśli wychowanków.

Inną wadę kodeksów stanowi niedostateczne ich usy-

stematyzowanie. Czynią one wybór między przepisami, ale niedostatecznie zaznaczają, jaka jest względna doniosłość wybranych nakazów. Nie liczą się one dostatecznie z wypadkami, kiedy nie tylko niepodobna przywiązywać jednakowej wagi do różnych przepisów, ale nawet nie można wykonać jednego, nie łamiąc drugiego. Weźmy np. dwa przykazania: „Nie zabijaj“ i „Nie kradnij“. Pierwsze z nich ustala świętość życia, drugie — świętość własności. Te dwie zasady mogą wejść w kolizję. Czyż one nie kolidowały ze sobą już nieraz? Przecież ludzie, broniąc własności, często już odbierali życie innym ludziom, a broniąc życia, odbierali własność. Kodeks zawiódł nas najwidoczniej w tym wypadku. Potrzeba nam jakiejś zasady, stopniującej przepisy. W jej braku musimy sobie postawić zupełnie naturalne pytanie: „Któreż z przykazań jest najważniejsze ze wszystkich?“

Jeszcze gorszym złem jest to, że każdy kodeks ma nieprzepartą tendencję do tego, aby skostnieć i stracić elastyczność. Z tem wiąże się cały duch moralnego i religijnego konserwatyizmu, który grozi, a nawet ściga najstraszliwszymi karami tych wszystkich, co się ośmielają ująć przepisom, lub dodać do nich, choćby tylko jotę.

Tymczasem życie nie stoi w miejscu. Płyne ono coraz szerszym korytem, choćbyśmy z naszych formuł zrobili skamieliny. Narastają nowe doświadczenia; powstają nieoczekiwane sytuacje; wyłaniają się trudności, których nikt nie mógł przewidzieć wówczas, gdy tworzone kodeks. Jednym słowem, problematy życia tak się komplikują, że już nie wystarcza z coraz większymi wątpliwościami powtarzać tablic praw. — „Nie zabijaj“ — dobrze! w życiu jednak dużo jest takich rzeczy, których nie nazywamy zabijaniem, a które jednak zabijają. Kolące słowa, bezliatosne postęпки, zawiedzenie zaufania, złamanie umowy: wszystko to skrótca ludziom życie. Cóż dopiero powiedzieć o więzieniach, szafotach, rzeziach na polach bitew? Wszystko to zabija! A gdy mówimy: „Nie zabijaj“, co

mamy na myśli? czy wszystkie te wypadki, czy niektóre— i jakie mianowicie? Podobnie z przykazaniem: „Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa“. Obejmuje ono bardzo wyraźnie potwarcze krzywoprzysięstwo i świadome kłamstwo. Nie jednak nie mówi o różnych stopniach wykrzywienia, lub przemilczenia prawdy, aż do znaczącego spojrzenia, wymownego wzruszenia ramion, dającego do myślenia uśmiechu, choć to wszystko również pozbawia naszych bliźnich dobrej sławy. I tak ze wszystkiemi. Niema też co się spodziewać, aby najpobożniejsze powtarzanie ogólnikowych nakazów kodeksu mogło rozwiązać te trudności, tkwiące w szczegółach i szczegółikach. W gorączkowych chwilach życia, gdy czas nagli, gdy trzeba się decydować, a sprawy są wielkiej wagi i ludzie stają twarzą w twarz z zupełnie konkretnymi zagadnieniami, powtarzanie moralnych ogólników, choćby zdrowych i czcigodnych, nie wiele więcej pomoże od powtarzania tabliczki mnożenia. Bezsilni też są ci z doradców, którzy w ciężkiej chwili potrafią zdobyć się tylko na przytoczenie ogólników moralnych, choćby najpoważniejszych.

Trudności te doprowadzają nas do miejsca, gdzie drogi się rozchodzą. Skoro już bowiem odczuliśmy, jak nieskutecznymi są ogólne przepisy, dwie możliwości stają przed nami otworem. Jedna polega na tem, aby to uznać za dowód ostateczny, że moralność oparta na przepisach nie dorasta do wymagań życia. Wynikałoby stąd, iż nie licząc na nią, trzeba się zwrócić do moralności, opierającej swe nadzieje na ćwiczeniu indywidualnego sądu.⁷³ Druga polega na tem, aby nie wyrzekać się bez walki moralności opartej na przepisach. W tym wypadku należałoby zabrać się dzielnie do pracy z tą myślą, aby przystosować tę moralność do faktów konkretnego doświadczenia, którym ona nie może sprostać. Te dwie alterna-

⁷³ Zob. str. 200.

tywy prowadzą do dwu zupełnie różnych sposobów wychowywania. Pierwszy z nich podyktowany jest przez obawę, aby nie wychować słabych, nie ufających sobie charakterów, jednym słowem ludzi, szukających zawsze, a często napróżno, jakiegoś oparcia poza sobą. Zapobiegać temu ma kształcenie umiejącego polegać na sobie sumienia. Drugi — wynika z obawy, że młodzież, a nawet dorośli nie dadzą sobie rady z trudnościami życia. Środkiem zaradczym będzie tu poddanie całego życia autorytetowi i nieustanne prowadzenie na pasku.

Wraz z przyjęciem drugiej możliwości moralność oparta na przepisach wchodzi w trzecie stadium rozwoju. Usiłuje ona wówczas przystosować dogmaty moralne do wymagań życia. Z tych właśnie prób rodzi się kazuistyka.

Rozdział XIV.

Przepis (ciąg dalszy).

3. *Kazuistyka.*

Kazuistyce dzieje się krzywda. Nieraz bowiem sprowadza się ją tylko do wymyślania objekeyj przeciw prawom moralnym, lub do wyszukiwania argumentów, mających usprawiedliwiać rzeczy, którychby usprawiedliwiać nie należało. Tymczasem to nie są jej cechy istotne. Właściwie pojęta kazuistyka ma wyższe ambicje. Chce ona spełnić dzieło twórcze. Jest ona mianowicie próbą wypracowania w szczegółach olbrzymiego kodeksu nakazów i zakazów moralnych, tak, aby każdy wypadek rzeczywisty lub możliwy można było podciągnąć pod któryś z przepisów.

Kazuista jest zatem podobny do prawnika, wypracowującego kodeks praw. Obierając za punkt wyjścia prawa podstawowe, jurysta stara się przewidzieć, jakie rodzaje wypadków mogą się nastąpić, i zawczasu podciąga je

pod paragrafy swego kodeksu. W ten sposób umożliwia on znalezienie gotowego rozwiązania, gdy zgóry przewidziany wypadek rzeczywiście nastąpi. To samo czyni kazuista. Jest on jurystą moralności. Jak tamten zbiera i opracowuje prawne przepisy, tak ten zbiera i opracowuje prawidła moralne, następnie zaś stara się w najdrobniejszych szczegółach przewidzieć wypadki, do których się te prawidła stosują. Takich wypadków nigdy nie brakuje. Doświadczenie dostarcza ich bezliku. A właśnie na dobro kazuistyki można zapisać, że ona patrzy na doświadczenie wyostrzonym wzrokiem. Jednakże nawet najszersze doświadczenie jej nie zaspokaja. Czerpie ona poza tem z bogatych źródeł kazuistycznej fantazji.

Raz jeszcze ucieknijmy się do analogji z prawem. Henryk Maine⁷⁴ zapoznał nas z prymitywnym kodeksem irlandzkim, t. zw. Prawami Brehonów.⁷⁵ Odznaczają się one dwiema z pozoru trudnemi do pogodzenia właściwościami. Jedną stanowi ciasny krąg doświadczenia ludzi, którzy je spisywali. Nie dziwnego, byli to przecież mnisi. Drugą cechą stanowi wyprowadzenie z zasad naczelných wyjątkowo pełnych i dojrzałych postanowień szczegółowych. Wytłumaczyć to łatwo. Jakkolwiek owi mnisi nie mieli dużego doświadczenia, to jednak, siedząc w swych klasztorach, mogli wymyślać wypadki, wykraczające daleko poza ich osobiste doświadczenie i rozwiązywać je, stosując zasady kodeksu do tych tworów własnej fantazji. Skutkiem tego Prawa Brehonów, stanowiąc wczesny za-

⁷⁴ Henry James Sumner Main, prawnik angielski, profesor Oksfordzkiego Uniwersytetu w latach 1870—1878, autor dzieł p. t.: *Dawne prawo, jego związki z wczesną historją społeczeństwa i poglądami współczesnemi* (1861), oraz *Historja wczesnych instytucyj* (1875). (*Przyp. red.*).

⁷⁵ Brehonami nazywali się sędziowie dawnych Irów. Przez Prawa Brehonów należy rozumieć zbiory praw staro-irlandzkich. Najstarszy z tych zbiorów: „*Senchus Mor*“ pochodzi w tej formie, w jakiej do naszych czasów doszedł, z początku XI stulecia. (*Przyp. red.*).

bytek irlandzkiego prawodawstwa, dziwnie bogato są rozgałęzione w szczegółach.⁷⁰

Otóż kaziści czynią to samo w swojej dziedzinie, co ci prawnicy brehońscy czynili w swojej. Nie poprzestając na zwolna nagromadzającym się materjale doświadczenia, przejmują oni inicjatywę w swe ręce i sami fabrykują wypadki, będące próbami sumienia, wynajdują trudności. stawiają fikcyjne zagadnienia, aby je następnie rozwiązywać przy pomocy przyjętego zgóry kodeksu. Zdają oni sobie przytem sprawę, że rozpatrywane przez nich wypadki nigdy nie miały miejsca, ani może nigdy nie zajdą w rzeczywistym świecie ludzkim. Z tego rodzaju wypadków powstają rozdziały, a z rozdziałów tomy. W taki to sposób ze związku pomiędzy doświadczeniem rzeczywistem i fikcyjnem zrodziła się ogromna literatura kazuistyczna.

W związku z takim pochodzeniem ma ona dwie cechy charakterystyczne: 1) po pierwsze, jest dogmatyczna. Przystępuje do rzeczy z zasobem prawideł, które usiłuje utrzymać w mocy. Niema tu mowy o reformowaniu prawideł moralności, lub o dostosowywaniu ich do wymagań życia. Wręcz przeciwnie, chodzi tu o nałamanie życia do nich właśnie. Jakich przytem używa się sposobów, o tem wkrótce pomówimy. 2) Drugą charakterystyczną cechą kazuistyki jest jej logiczność. Raz przyjąwszy pewne założenia, — wszystko jedno z jakiego źródła, — usiłuje ona wykazać, że nadają się one doskonale do rozstrzygania najbardziej wyjątkowych wypadków, najpomysłowszych wyskoków kazuistycznej imaginacji. Na tem polega istota kazuistyki. Bo też jest ona najpracowitszą, najbardziej uporeczywą próbą nagięcia życia do gotowego systemu.

Ze względu na to kazuistyka w dziedzinie moralności odegrała zupełnie taką samą rolę, co scholastyka w dziedzinie spekulacji filozoficznej. Istotnie, gdy scholastyka

⁷⁰ Maine, *Early History of Institutions*, str. 44.

znajdowała się w rozkwicie, już poczynął budzić się do życia badawczy duch współczesnej Europy. Nowe odkrycia, nowe myśli torowały sobie drogę do ludzkich umysłów, stopniowo przygotowując przewrót w poglądach. Jakież było zadanie scholastyki? Otóż usiłowała ona dowieść, jak to już nieraz wykazywano, iż żadne nowe doświadczenie nie może się kłócić z dogmatami kościoła. Co scholastyka usiłowała w ten sposób uczynić dla rozszerzającego się życia umysłowego Zachodu, to kazuistyka w późniejszych czasach, szczególnie pod wpływem jezuitów, próbowała zrobić w sprawach postępowania. Szerzył się ruch protestancki. Sprawy ekonomiczne, polityka, życie prywatne: wszystko ukazywało się w nowym świetle. Dawała się też odczuć potrzeba moralności, odpowiadającej nowym wymaganiom życia. Wtedy to jezuici z dogmatyczną pewnością siebie, a zarazem z intelektualnym wyrafinowaniem, zabrali się do wykazywania, że ani doświadczenie, ani myśl ludzka nie znają takich spraw sumienia, któreby nie dały się podciągnąć pod autorytatywną moralność kościoła.

O przykłady nietrudno. Istnieje przecież scholastyka, która nie wie o wielkich filozofach scholastycznych; istnieje również kazuistyka, która nawet nie słyszała o jezuitach. Nie brak dokoła nas ludzi, przekonanych o tem, że przyswoiwszy sobie pewną ilość formuł abstrakcyjnych, zdobyli prawdę ostateczną. Ci ludzie z ducha są scholastykami, chociażby występowali pod zupełnie inną etykietą. Świadczy o tem niezbitcie ich prawdziwie scholastyczna postawa wobec wszelkiej nowej tezy, opartej czyto na doświadczeniu, czy też będącej wynikiem rozumowania. Pierwsze pytanie, jakie im się nasuwa, nie będzie pytaniem badacza: „Czy to prawda?“, lecz pytaniem dogmatyka: „Jakby to się dało dociągnąć do mego zgóry założonego systemu?“ Taki jest scholastyk, a kazuista zawsze i wszędzie będzie do niego podobny. I on bowiem niemniej mocno jest przekonany, że w jego podstawowym

credo moralnem nie się już nie da zmienić, ani niczego nowego o niem nie można się nauczyć. Podobnie też i on, znalazłszy się wobec jakiegoś uczynku, zamiaru, zagadnienia, nie będzie pytał: „Czy to słuszne?“, lub „Czy to uczciwe?“, lecz będzie się w dogmatyczny sposób zastanawiał: „Jakby się to dało podciągnąć pod mój nieomylny kodeks moralny?“ Pomimo różnych nazw treść jest ta sama. Stanowi ją ów nieugięty duch dogmatyzmu, który uporeczywie twierdzi, że wszystkie trudności życia moralnego, stanowiącego pomimo wszystkich różnie jedną całość, dadzą się podciągnąć pod jego schemat życia.

Wszystko to świadczy o tem, iż jakiegokolwiek mogą być braki kazuistów, nie można im odmówić odwagi. Zadanie ich bynajmniej nie jest łatwe. Dużo trzeba mieć pewności siebie, aby twierdzić, że rzeczywistość dostosuje się do wskazań, chociażby wysokiego autorytetu. Oto np. człowiek, który zastrzelił swoją żonę, aby nie wpadła w ręce zbuntowanych *sepojów*:⁷⁷ — czy można to nazwać morderstwem? Tu znów inny, przerażony groźną sytuacją, oświadcza tłumnie zebranej w płonącym teatrze publiczności, że niema żadnego niebezpieczeństwa: czy można to piętnować, jako kłamstwo? Ktoś inny jeszcze zdaje sobie sprawę z tego, że uciekającego niewolnika można ocalić jedynie, kierując jego prześladowców na fałszywy ślad: czy uczciwy człowiek za to go potępi? A więc nawet rzeczywiste doświadczenie dostarcza wypadków, zdających się zmuszać ludzi do tego, żeby albo gwałcili prawo moralne, lub też stawali się sprawcami zła i krzywdy. Jeśli zaś w życiu zdarzają się takie sytuacje, to cóż dopiero w świecie, stwarzanym przez kazuistyczną fantazję! Ubolewania godnym jest fakt, że ludzie tak są nieraz skorzy do swawolnego wytwarzania w swej wyobraźni — drogą stosunkowo łatwego kombinowania różnych składników ludzkiego postępowania — wypadków, kiedy ele-

⁷⁷ Żołnierzy wschodnio-indyjskich. (*Przyp. red.*).

mentarne nasze obowiązki stają się wątpliwymi. Któryż kodeks moralny zdoła się oprzeć podobnie rozkładowej akcji?

Kazuiści jednak są nieustraszeni. Mają bowiem niezawodną pomoc w odwoływaniu się do intencji. Co z jednego punktu widzenia jest krwawą rzezią, to z innego punktu widzenia jest zaszczytną wojną; co dla jednych jest bandytyzmem, to dla innych jest patriotycznym powstaniem; w czem jeden dopatruje się rozrzutnego zmarnowania cennych wyników pracy, w tem ktoś inny widzi szczyt miłosnego poświęcenia. Nie trudno zdać sobie sprawę z tego, skąd się biorą tak kontrastowe różnice sądów. Zależą one od tego, w jakiej mierze uwzględniamy intencję sprawcy. Jeśli nie potępiamy w bezwzględny sposób Desdemony za jej fatalne kłamstwo, przyczyna tego jest jasna: wybaczymy uczynek ze względu na intencję.

Wielcy kazuiści posługiwali się narzędziem intencji z wielkim powodzeniem. Nie dziwny się temu. Dwu tylko rzeczy było im potrzeba: zbioru cieszących się dobrą sławą przepisów moralnych i na tyle wysubtelnionej wyobraźni, aby mogła operować intencjami. Wyposażmy w to choćby jednego człowieka, a wcześniej czy później zacznie podciągać pod bezsporne przepisy to, co zwyczajni śmiertelnicy zwykli nazywać rozbojem i morderstwem.

To było źródłem dobrze znanej nauki o „kierowaniu intencyj“. Stała się ona przedmiotem głębokiej a subtelnej satyry Pascala. „Wiedz tedy“, mówi zakonnik w Prowincjalkach, „że ta cudowna zasada jest naszą metodą kierowania intencyj... Kiedym ci np. tłumaczył, w jaki sposób służący może z czystym sumieniem spełniać pewne drażliwe zlecenia, zauważyłeś pewnie, iż czyni to jedynie, odwracając intencję od zła, którego jest narzędziem, i przenosząc ją na zysk, który nań spływa. To właśnie znaczy kierować intencję... Ale obecnie chcę ci ukazać tę wielką metodę w całym jej blasku na przedmiocie mężobójstwa, które usprawiedliwia w mnóstwie oko-

liczności: możesz z tego osądzić, co zdolna jest zdziałać! — Widzę już, rzekłem, że w ten sposób wszystko będzie dozwolone: tej metodzie nie się nie wymknie. — Wpadasz wciąż z jednej ostateczności w drugą, odparł ojciec; wy-lecz się z tego. Abyś się bowiem przekonał, że my nie pozwalamy na wszystko, dowiedz się naprzykład, że nie ścierpielibyśmy nigdy, aby ktoś miał formalny zamiar grzeszenia dla samego grzechu. Skoro się ktoś upiera trwać w złem dla samego złego, z takim zrywamy bez pardonu: to jest rzecz szatańska... Ale kiedy ktoś nie żywi tego ohydneho zamiaru, staramy się wprowadzić w życie naszą metodę k i e r o w a n i a i n t e n c j ą, polegającą na tem, aby obrać dozwolony przedmiot za cel swej czynności. Rozumie się, iż o ile tylko w naszej mocy, odwiedzimy ludzi od rzeczy zakazanych; ale, kiedy nie możemy zapobiec uczynom, oczyszczamy bodaj intencję; występność środka ratujemy niewinnością celu“.⁷⁸

To jest, oczywiście, satyra, dobrze jednak wskazująca, na czem polegała skuteczność metody. Jeśli niema uczynku tak bezwzględnie złego w intencji, aby się nie dało przytoczyć czegoś na jego usprawiedliwienie, o wiele łatwiej, gdy zamiar nie wydaje się zły, lecz tylko wątpliwie dobry, podciągnąć go pod pożądaną kategorię rzeczy dozwolonych, wykazując, że można go wykonać z dobrą lub przynajmniej zasługującą na tolerancję intencją! Nie zato też kazuistyka zasłużyła na bicz Pascala, iż intencję uważała za główny czynnik w moralności. Pod tym względem znajduje się ona w doborowem towarzystwie. Wszyscy bowiem wielcy myśliciele etyczni, nie wyłączając utilitarystów, zgadzają się na to, że intencja, będąc wewnętrznym aspektem postępowania, w ten lub inny sposób rozstrzyga o jego wartości moralnej. Trzeba też przyznać, że niejedno pogwałcenie praw moralnych da się je-

⁷⁸ P a s c a l, *Prowincjałki*, tłum. Boy, Biblioteka Polska, Warszawa, 1922, List siódmy, str. 112—114.

szcze utrzymać w granicach moralności przez przyjęcie dobrze skierowanej intencji. „Nie możemy zapobiec uczynkom“, powiedział zakonnik — i powiedział trafnie. Wolno wątpić, czy dałoby się zapobiec tego rodzaju uczynom. Ludzie je popełniają, jeśli nie w czynie, to w myśli. „Oczyszczamy bodaj intencję“, dodał. I mówiąc tak, nie musiał stać się obrońcą niemoralności. Wymienił on tylko pewien argument, na który z bezwzględną uczciwością powoływał się niejedyn już bynajmniej nie kazuistycznie usposobiony człowiek, aby usprawiedliwić niezawinione odstępstwo od litery tradycyjnej moralności.

Z podobnych względów da się też niejedno powiedzieć na korzyść drugiego walnego środka, do którego uciekali się wielcy kazuiści. Stanowiła go wątpliwości budząca doktryna „probabilizmu“.⁷⁹ Doktryna ta ostatecznie formułuje w dużej skali tylko to, co wielu ludzi i tak bardzo często czyni. Zasięgają oni rady i według niej postępują, czyniąc w ten sposób przewodnikiem swego życia jakieś prawdopodobnie trafne mniemanie. Czy podobna ich zato ganić? Toż zmusza ich do tego oszałamiająca złożoność życia i nagłość wypadków! Nie jestże rozsądnie szukać w takich wypadkach dobrej rady? Nierozsądnie natomiast byłoby powstrzymywać się od działania, dopóki rada nie zadowoli w pełni naszego rozumu. To też człowiek roztropny nie będzie czekał, aż sposobność do działania przeminie, lecz będzie ryzykował, kierując się najlepszą radą, jaką mu się udało uzyskać.

Nie należy więc ganić kazuistów za to, że radzili lu-

⁷⁹ Por. Sidgwick, *History of Ethics*, str. 151. „Teorja (probabilizmu) twierdziła co następuje: Nie można się spodziewać, aby laik zdołał zorjentować się w sprawach, wywołujących spory wśród uczonych. Dlatego nie zasługuje on na nagane, jeśli szedł za zdaniem, opartem na powadze choćby jednego doktora. Jego zaś spowiednik powinien być upoważniony do rozgrzeszenia go, o ile da się na jego korzyść przytoczyć jakąś „prawdopodobną“ opinię. Co więcej, obowiązkiem jego jest podsunąć mu taką opinię, chociażby sam się z nią nie zgadzał, byle tylko uwolnić powierzone sobie sumienie od gnębiącego je brzemienia“.

dziom udawać się do doradców; nie należy tego czynić nawet wówczas, gdy oni posuwają się aż do twierdzenia, iż usprawiedliwić swój postępek można przez powołanie się na zdanie bodaj jednej uznanej powagi, u której zasięgało się rady w potrzebie. A takie powagi były wówczas bardzo dostępne, stanowiły je bowiem osoby, lub pisma samych owych kazuistycznych doktorów. Dlaczegożby ludzie nie mieli korzystać z ich pomocy? Toż chodząc około swoich interesów, nie obywają się bez doradców prawnych i ekspertów fachowych. Dobrze, iż znajdują choć jednego zaufanego doradcę, na którym będą mogli polegać. Czemuż zatem nie mieliby korzystać z usług kazuistycznego doradcy, lub kazuistycznego ojca-sповідnika, będącego zarazem prawnikiem i ekspertem w sprawach moralności? To właśnie zawiera się w doktrynie probabilizmu. Przypuśćmy, że istnieją uwierzytelnieni doradcy moralni; weźmy pod uwagę, że życie praktyczne często wymaga szybkiej decyzji; uprzytomnijmy sobie, jak często ludzie zmuszeni są opierać się w działaniu na cudzej opinii, a dojdziemy do wniosku, że człowiek, zasięgający w takich okolicznościach rady, czyto kazuistycznego doktora, czy też osobistego przyjaciela, postępuje w sposób roztropny. Dopóki ludziom brak szybkiej orientacji, prędkiego sądu i nerwu moralnego, niezbędnego do samodzielnego porania się ze złożonością i nagłością przejawów życia, dopóty doświadczenie będzie dostarczało argumentów, przemawiających na korzyść doktryny probabilizmu. Kazuistyka zatem nawet z największemi trudnościami moralnemi załatwia się zapomocą nader prostej reguły życia: „Zwróć się do swego podręcznika kazuistycznego i wertuj rozdziały i wiersze, dopóki nie znajdziesz swego wypadku zgóry już przewidzianego i rozwiązanego!“ A gdybyśmy nie potrafili połapać się w tej księdze, podobnie jak w kodeksie obowiązującego prawa, cóż łatwiejszego, jak pójść do swego prawnika w rzeczach moralności? Ten będzie miał na pamięci wszystkie możliwe wy-

padki, — a nasz w ich liczbie. Zaczerpnie z tych zasobów i uspokoi wszystkie nasze wątpliwości.

Jeśli to jest rzetelny obraz kazuistyki, to niepodobna jej odmówić pewnych zasług. Jest ona w każdym razie praktycznym protestem przeciw tej słabości, która tak łatwo zadowala się ogólnikami moralnymi. Otrzymywanie lub udzielanie rad dla wielu z nas sprowadza się do mówienia w sposób ogólnikowy i mglisty o „wykroczeniach“, „upadkach“, „grzechach“, „wadach“, „pokusach“. Czy to może wystarczyć? Czy na temby poprzestał najprzeciętniejszy z ojców, udzielając rad synowi, idącemu w świat? Czy nie mówiłby raczej o poszczególnych grzechach, o konkretnych pokusach, przewidując tę właśnie postać, w jakiej zło może się zjawić, aby wskazać, w jaki sposób najlepiej z niem walczyć? Chłopski rozum nam powiada, że człowiek, stając oko w oko z trudnością, już zazwyczaj do połowy stoczył walkę, która go czeka. Tak istotnie czyni bardzo wielu ludzi. Pod tym względem są oni zatem do tego stopnia kazuistami, że potrafią w ciągu długich godzin ze zdumiewającą dokładnością przewidywać najrozmaitsze, mogące im się wydarzyć sytuacje i wewnątrznie rozstrzygać, co też mają powiedzieć, lub zrobić, gdyby nastąpiła któraś z tych możliwości? W ten sposób, gdy wiek podeszły przeżywa na nowo walki już stoczone, to wiek młodzieńczy i dojrzały stacza je przed czasem, sposobiąc się przez te próbne boje, rozgrywane w tajnikach serca, do tem pewniejszego odegrania we właściwym czasie swej roli w trudnym dramacie życia. Jest to właśnie to samo, co pragnie wykonać kazuistyka w o wiele szerszej skali. Toż poto właśnie przewiduje ona konkretne trudności sumienia, aby mieć zgóry gotowe rozwiązania!

Tu jednak właśnie uwidoczniają się słabe strony tego systemu. Dążąc do tego, aby być praktyczną, kazuistyka doprowadza do wyników, zawodzących w praktyce życiowej. Najsubtelniejszy bowiem kazuista nigdy zgóry nie

wyczuje wszystkich rzeczywistych trudności. Żaden też traktat kazuistyczny nie może się mierzyć z doświadczeniem moralnem pod względem subtelności. Tem bardziej ekspert kazuistyczny! Szukający u niego porady w prawdziwie trudnych wypadkach będą też od niego odchodzili z tem samym poczuciem, z jakim nieraz pacjenci, cierpiący na jakąś zawiłą chorobę, opuszczają gabinet lekarza. Będą oni, mianowicie odchodzili z tem przeświadczeniem, że kazuistyczny doradca nie poznał się i nie mógł się poznać na ich wypadku ze wszystkimi jego detalami, że więc bezskutecznie poddali się upokarzającej próbie obnażenia swej duszy przed cudzemi oczyma. Nie jest bowiem jeszcze egotyzmem, gdy ktoś uważa swe wewnętrzne niepokoje za wyłączną swą własność. Egotyzm polega dopiero na wyolbrzymianiu ich znaczenia. W swoim charakterze są one jednak czemś wyłącznem. Dlatego to tak dużo jest osób, nie mogących się zadowolić najobficiej nawet udzielanymi im radami; powracają one po nie wielokrotnie z takim natręctwem, że wreszcie stają się postrachem swych doradców. To właśnie stanowi fatalną słabość probabilizmu. Opiera się on przecież na przypuszczeniu, że można znaleźć doradcę, któryby potrafił wraz z nami rozpatrzyć konkretny wypadek, — tymczasem okazuje się, że tylko my sami możemy go zrozumieć w całej jego pełni!

Przechodzimy do następnego zarzutu. Starając się na próżno wyprzedzić doświadczenie, kazuistyka zużywa dużo energji najzupełniej niepotrzebnie. Zdarza się to i w codziennem życiu. Ileż bowiem sił trwonią zwłaszcza osoby nerwowe na przygotowanie się do nigdy nie mających nastąpić sytuacji? Jak mamy postąpić, gdyby nas nagle wezwano do ratowania komuś życia? Jeśli nas poproszą o tę lub inną przysługę, co odpowiemy? — Próżne pytania! Nigdy bowiem nie nadejdzie godzina takiej właśnie próby. Podobnie postępuje kazuista. Im gorliwiej rozwija swój system w szczegółach, tem więcej przewiduje

wypadków, które nigdy nie będą istniały poza jego imaginacją. Na jeden trafnie przewidziany wypadek pięćdziesiąt się nie sprawdzi. Zła to gospodarka, bo marnuje siły. Nie stać człowieka na to, aby marnował zbyt dużo amunicji na fikcyjne walki.

Jeszcze ważniejsza jest ta okoliczność, że kazuista często osiąga nie to, co sobie zamierzył, lecz coś wręcz przeciwnego. Szczerze usiłując z wątpliwości człowieka zrobić jego obowiązki, dochodzi do tego wyniku, że obowiązki stają się wątpliwościami.⁸⁰ Starając się gorliwie podtrzymać wyznawane przez siebie dogmaty moralne, nagle się spostrzega, że zdołał tylko przyzwyczaić umysły swych uczniów do ich gwałcenia!

Z tego szczególnie dobrze zdał sobie sprawę Burke, pisząc o kazuistyce w polityce. Czytelnicy jego dzieł wiedzą, jak Burke ostro występował przeciwko politykom i pisarzom politycznym, wiecznie zastanawiającym się nad prawem do insurekcji, lub legalnością rewolucji. Czynił to nie dlatego, aby miał uważać za zło wszelkie mówienie o rewolucji, czy nawet samą rewolucję. Za dobrze znał historję! Wiedział on o tem, że w pewnych ciężkich momentach rewolucja dla rozstrojonego państwa staje się czemś w rodzaju ryzykownej, jednak nieuniknionej operacji. Niemniej jednak poczytywał niemal za zbrodnię ową nie znającą miary dyskusję, która swobodnie porusza kwestje, podające w wątpliwość autorytet praw, będących podwaliną państwa. To samo da się powiedzieć również o kazuistyce moralnej. I w tej dziedzinie bywają momenty wyjątkowe; z tego jednak powodu żaden rozsądny człowiek nie będzie o nich codziennie rozprawił z pierwszym lepszym. Tymczasem wszelka kazuistyczna dyskusja w fatalny sposób rozgłasza te właśnie wyjątkowe wypadki, których ze względu na ich wyjątkowość nie należałoby rozgłaszać. Gdy takie wypadki się

⁸⁰ Por. Burke, *Appeal from the New to the Old Whigs*, Dzieła, wyd. Bohn, tom III, str. 81.

zdarzą, trzeba umieć spojrzeć im w oczy. Ale nie należy krzyczeć o nich z dachu swego domu. Kto tak postępuje, niech się nie dziwi, jeśli wkońcu to, co miało być heroicznym lekiem, używanym tylko w ostateczności, stanie się chlebem powszednim. Taka strawa osłabia organizm moralny człowieka w niebezpieczny sposób.⁸¹

Niebezpieczeństwo to jest największe przy wychowywaniu niewinnej jeszcze młodzieży. Jakże bowiem łatwo stawiać w interesie moralności takie pytania, które wskazują drogę do niemoralności! Kazuista jest patologiem w dziedzinie moralności. Pełen on jest wiadomości o tem, jak w rozmaitych postaciach przychodzi pokusa. Zwracając uwagę młodzieży na czyhające na nią zasadzki, może on jej odebrać zaufanie do samej siebie, a następnie uczynić ją podejrzliwą w stosunku do otoczenia. W ten sposób może on jej odebrać to niewinne i zdrowe złudzenie, że niema nic podejrzanego. Ostrzeżenia, jakkolwiek czynione w dobrej wierze, zawsze podsuwają myśl, że jesteśmy zdolni do złego. Nie jest to najlepszy sposób wpływania na młodzież.

Tylko przekonywując ją o tem, że jest zdolna do dobrego, można ją uczynić dobrą naprawdę.⁸² Można się spotkać ze zdaniem, że znajomość złego i tak musi przyjść zczasem. Czyż nie dostarczają jej książki, gazety, nieuniknione doświadczenia własne? Powiada się też nie bez słuszności, iż lepiej, aby tego rodzaju wiadomości podał odpowiedzialny ojciec, lub nauczyciel, dodając do nich zbawienne antidotum, niż żeby je miał przynieść przypadek, lub ktoś niepowołany. Przyznać wypada, że to jest do pewnego stopnia konieczne. Szczepienie zarazka choroby, jak wiemy, zapobiega przyjsciu tej choroby w groźniejszej postaci. Nie zmienia to jednak w niczem istoty rzeczy. Najlepsze moralne antidotum nie polega na naj-

⁸¹ Por. Burke, *Reflections on the French Revolution*, Dzieła, tom II, str. 335.

⁸² Por. str. 89—90.

szczegółowszych nawet ostrzeżeniach, lecz na daniu charakterowi tej pozytywnej strawy, któraby stanowiła w chwili pokusy prawdziwe źródło siły.

Pozostaje nam jeszcze wyjaśnić, jaki wpływ wywiera kazuistyka na samego kazuistę. Człowiek ten, chcący utrzymywać pod swą władzą sumienia bliźnich, musi strzec własnego z wielką siłą ducha. Wkrótce bowiem wiele rzeczy przestanie go razić. A potem tak się spoufali ze wszystkimi stopniami moralnego upadku, nabierze takiej zręczności w sztuce usprawiedliwiania wypadków, coraz dalej odbiegających od zwykłej moralności, że wreszcie, nawet wbrew własnej woli, może dojść do uznawania za moralnie dozwolone zwykłego kłamstwa, kradzieży, lub morderstwa. To może go wkońcu narazić na protesty ze strony oburzonego sumienia szerokiej publiczności.

Swoją drogą owo popularne sumienie nie jest bynajmniej powołane do wydawania ostatecznego sądu o kazuistyce. Popularny bowiem sposób myślenia operuje nazbyt surowymi kategorjami, nazbyt mętnymi definicjami, nazbyt grubymi sądami, aby mógł wnikać w niepokoje sumień naprawdę delikatnych. To samo da się powiedzieć o odwoływaniu się przeciwko kazuistom do kodeksu kryminalnego. Zdarzało się już nieraz, że na skutek kazuistycznego operowania intencjami ludzie dostawali się w szpony karzącego prawa. W wypadkach naiwnego lub chytrego samoomamienia szersza publiczność mogła doznawać zasługującej na wybaczenie satysfakcji na widok rozwiewających się jak dym złudzeń ludzi głupich lub nikizemnych. Pascal umiał i to podchwycić w swoich Prowincjałkach.

„Zwolenników waszych mniemań prawdopodobnych“, powiada on tam do ojca jezuitę, „ubezpieczyliście wobec Boga i sumienia, twierdzisz bowiem, iż trzymając się jakiegoś poważnego doktora jest się bezpiecznym w tej mierze. Ubezpieczyliście ich wobec spowiedników, znu-

siliście bowiem księży do udzielania rozgrzeszenia na podstawie mniemań prawdopodobnych pod karą grzechu śmiertelnego. Ale nie ubezpieczyliście ich wobec sędziów — tak, iż idąc za waszemi prawdopodobieństwami, narażają się na chłostę i szubienicę; — i to jest kapitalny brak.

„— Masz słuszność — rzekł ojciec — mówisz aż miło. Ale bo nie mamy takiej władzy nad sędziami, co nad spowiednikami, którzy są obowiązani odnosić się do nas w kwestjach sumienia; my bowiem rozstrzygamy o tem w najwyższej instancji.

„— Rozumiem — rzekłem — ale jeżeli z jednej strony jesteście sędziami spowiedników, czyż z drugiej nie jesteście spowiednikami sędziów? Władza wasza jest olbrzymia — zmuscież ich, aby uwalniali zbrodniarzy, którzy działali na podstawie mniemań prawdopodobnych, pod grozą wykluczenia od sakramentów, iżby się nie zdarzało, ku wielkiej wzgardzie i zgorszeniu probabilizmu, iż ci, których wy uniewinniacie w teorji, spotykają się z chłostą i szubienicą w praktyce“.⁸³

Jednak i to odwołanie się do prawa nie rozstrzyga sprawy. Prawo jest grubą maszyną. Co więcej, prawa są wydawane nie poto, aby uwydatniać subtelności moralne, lecz dla zabezpieczenia porządku lub postępu politycznego. A ponieważ, służąc własnym celom, prawo zajmuje się głównie zewnętrznymi czynami, a tylko ubocznie motywami tych czynów, skutkiem tego może się zdarzyć, że skazaniec, zaliczony do pewnej kategorii przestępców, będzie na tle ich upadku moralnego wyglądał, jak uosobienie niewinności. Z tego więc, że kazuistyka doprowadziła kogoś do szubienicy, jeszcze nie wynika, aby ją wolno było potępić.

Tego rodzaju sądy nie docierają do istoty rzeczy. Prawdziwa słabość kazuistyki bynajmniej nie tkwi w owem

⁸³ P a s c a l, *Prowincjałki*, List szósty, str. 109—110.

usprawiedliwianiu niektórych uczynków, co tak oburza szeroką publiczność. Nie tkwi ona też w podsuwaniu myśli, iż w pewnych okolicznościach wolno skłamać, lub komuś odebrać życie. Nie do obronienia jest dopiero dogmatyczny duch, w którym rozważane są te odrażające możliwości. Kazyistyka jest osobliwym wytworem czasów nieskłonnych zarówno do łatwej wiary, jak do łatwego sceptycyzmu. Zjawiała się ona wówczas, gdy dały się już odczuć trudności moralne, — ale nikt jeszcze nie ośmielał się zerwać z odziedziczoną po przodkach tradycją. W wyniku powstało usilne dążenie, aby za wszelką cenę wtłoczyć nowe wypadki w stare formy. Stąd właśnie powstały wielkie systemy kazyistyczne. Wszystkie one zmierzały do tego, aby dowieść, że wyjątkowe, odporne wypadki dadzą się jednak pogodzić z tą dogmatyczną moralnością, która, jak wierzył kazyista, pochodziła od najwyższego autorytetu. W ten jednak sposób niepodobna rozwiązać rzeczywistych trudności sumienia. Gdy nadejdzie jedna z tych strasznych chwil, kiedy człowiek z dzwiczącym mu jeszcze w uszach przykazaniem: — „nie będziesz kłamał“, „nie będziesz zabijał“, czuje, że jednak musi kłamać lub zabijać — jedyne usprawiedliwienie można jeszcze znaleźć w przekonaniu, że mniejsze zobowiązanie moralne musi ustąpić większemu. Nie jest tak, jak to Jacobi powiedział w często przytaczanem miejscu, iż „prawo jest zrobione dla człowieka, nie zaś człowiek dla prawa“.⁸⁴ Człowiek musi podlegać prawu, jeśli nie ma być igraszką kaprysu. Wybór zachodzi jedynie pomiędzy dwoma rodzajami prawa i dwoma rodzajami posłuszeństwa: — pomiędzy posłuszeństwem dla tego prawa, którego ostatniem słowem jest: — „tak napisano“, a posłuszeństwem dla owego innego prawa, o wiele bardziej trwałego i nakazującego, niż wszystko, co może

⁸⁴ Fryderyk Henryk Jacobi, 1743—1819, niemiecki filozof i poeta, hołdował kierunkowi irracjonalistycznemu, wynosząc wiarę ponad rozum. (*Przyp. red.*).

się wcielić chociażby w najdoskonalszy kodeks przepisów. Największym błędem kazuisty jest to, że on z tych dwu alternatyw wybiera pierwszą. Jego własny kodeks nakłada mu pęta. To też zamiast pytać odważnie: „Czy to jest moralne?“ będzie on stawiał o wiele słabsze pytanie: „Czy to się zgadza z przepisem?“ Do tak postawionego z całym zaufaniem pytania dodaje on jeszcze zgóry powzięte przekonanie, że odpowiedź twierdząca musi się znaleźć. Cóż dziwnego, że wysiłki jego subtelного umysłu ostatecznie doprowadzają do zadawania gwałtu zarówno błędnemu i ciasnemu kodeksowi, jak uczynom ludzkim. Wszystko to razem musi wkońcu wywołać oburzenie uczciwych ludzi i śmiech satyryka.

Błąd kazuisty nie tkwi też w „kierowaniu intencjami“. Dla moralisty niema wyższego celu, jak właśnie „nadać kierunek intencjom“. Chodzi tylko o to, k u c z e m u je kierować. Tu dopiero mamy do czynienia z błędem. Zamiast bowiem odwołać się do najwyższej instancji, a mianowicie do prawa moralnego, kazuista trzyma się kurczowo zaściankowego kodeksu sformułowanych przepisów i nie chce znać wyższej od niego moralności. Kazuistyka zawsze będzie oddawała światu wielkie usługi; — jednakże największa z nich polega na tem, że jej daremne usiłowania najlepiej wykazują, jak niedoskonałą jest moralność, oparta na przepisach, chociażby ją uświęcał najwyższy autorytet. W tem ludzkość znajduje pobudkę do szukania czegoś głębszego.

Część III.

Zdrowy sąd.

Rozdział I.

Zdrowy sąd moralny.

Braki moralności opartej na przepisach można zwalczać nie tylko zapomocą kazuistyki. Zamiast rozwijać ogólne przepisy w szczegółach, można wyszkolić jednostkę, żeby sama umiała rozstrzygać, jak się ma zachować w określonych okolicznościach; w tym wypadku wysiłki wychowawcze muszą być skierowane na wyrobienie tego, co nazywamy zdrowym, indywidualnym sądem. Różne systemy wychowawcze w bardzo różnym stopniu uwzględniają rozwijanie tego tak ważnego uzdolnienia.

Niektórzy pedagogowie, obawiając się przedwczesnej niezależności, dążą do przedłużenia, nawet na lata dojrzałe, uległości względem autorytetu (jak to widzieliśmy w kazuistyce); inni lękają się stworzenia charakteru słabego, który do końca bezradnie potrzebuje cudzego kierunku. Jednakże, wcześniej czy później, przy każdym systemie zaznacza się potrzeba zdrowego rozsądku. Od wczesnych lat należy koniecznie młodzieży zostawić swobodę dokonywania pewnego wyboru w jej małym królestwie, w szkole, czy podczas chwil wolnych. Z biegiem czasu przyjdą postanowienia w ważniejszych sprawach, wraz z nieuniknionymi pokusami i życiowymi trudnościami, które spadają aż nazbyt wcześnie na młode barki. W dalszym życiu to jest najważniejsze. Niefrasobliwe zaufanie do własnego instynktu zanika i nie powraca więcej. Równie bezkrytyczne zaufanie do nawyków naraża na wiele ciosów wśród zmieniających się sytuacji. Przykłady, których dostarcza wzbogacające się doświadczenie

życiowe, mają swe granice, a przytem sprawiają zamęt swą mnogością. Przepisy moralne, jakkolwiek cenne, nie mogą już ukryć swych wzajemnych sprzeczności i bezowocnych uogólnień. Kazuistyka, usiłując je rozwiązać w szczegółach, odkłada tylko te trudności na później. Aż wreszcie przychodzi ten dzień, kiedy jednostka staje wobec swych własnych trudności, tak pospolitych, a zarazem tak odrębnych. Musi ona dojść do własnego sądu, albo też uznać się w sposób upokarzający za niezdolną do sprostanania wymaganiom życia.

I dobrze, że się tak dzieje! Ze wszystkich bowiem ludzkich uzdolnień żadne tak nie wzbogaca naszego życia, jak zdrowy sąd moralny. Genjusz zjawia się rzadziej i bardziej nas zdumiewa, ale zdrowy sąd przewyższa nawet genjalność, nie tylko bowiem jest cnotą sam w sobie, ale jest też płodną matką wielu cnót. Dobrze to ujął Arystoteles, mówiąc: „Posiadajmy tylko zdrowy rozsądek, a wszystkie inne cnoty za nim pójdą”.¹ Umieścimy rozsądnego człowieka w przedsiębiorstwie handlowem, a z biegiem czasu, dzięki przenikliwości i doświadczeniu, rozwinię swe uzdolnienia handlowe; niechaj życie jego upływa w gronie przyjaciół, — a okaże się, że jest rozważny, wierny, szlachetny. Zażądajmy, żeby wystąpił w życiu publicznem, a nawet na tem śliskim polu wybierze ścieżkę, wiodącą do cnót obywatelskich. — I tak zawsze w olbrzymim kręgu ludzkich zainteresowań i obowiązków! Bo zdrowy rozsądek osiąga podwójny skutek. Decydując się na odpowiednie czyny, doskonali przyzwyczajenia, nabyte w młodości od opiekunów, a jednocześnie stwierdza ich słuszność; z drugiej zaś strony przez swoją wyzwoloną przenikliwość i wolny, świadomy celu wybór, wznosi posiadacza ponad automatyzm, w który skłonne jest wpaść wszelkie nawyknięcie, nawet w najlepszych warunkach. Dlatego też zdrowy rozsądek daje niezależność, któ-

¹ *Etyka*, ks. VI, rozdz. XIII, w. 6.

rej nic innego dać nie jest w stanie. Wystarczy, aby człowiek go posiadał, a nigdy nie znajdzie się w położeniu bez wyjścia. Niezależnie od tego, jak się zmieni jego sfera działania (a ona się zmienia zarówno w pałacu, jak w chacie), sposób jego postępowania nie ulegnie zmianie. We wszystkich miejscach i po wszystkie czasy, na skutek działania tego, co jedni nazwą wnikliwością moralną, inni sumieniem, inni moralnym taktem, wreszcie jeszcze inni prosto rozsądkiem, potrafi on wybrać czyn, który w danych okolicznościach należy spełnić. Gdyby zbłądził, jak się to może zdarzyć, pierwszy uzna swój błąd i naprawi go.

Mutatis mutandis jest to to samo, co często spotykamy w sztukach, czy to będą sztuki piękne, czy też te skromno kunszty praktyczne, do których filozofowie greccy lubili przyrównywać życie moralne. Z przezornością mistrza w największej sztuce — sztuce życia, bez pedantycznego grzebania się w precedensach i wymądrkowanych regułach, człowiek obdarzony zdrowym rozsądkiem potrafi, czasem po długim, niespokojnym rozważaniu, czasem dzięki szybkiej wnikliwości, ogarniającej jakby jednym spojrzeniem cel i środki, wybrać ze współzawodniczących ze sobą decyzyj właśnie tę, która najlepiej odpowiada danej sytuacji. „Rozwaga“ — mówi Burke, wierny duchowi Arystotelesa — „jest nietylko pierwszą z szeregu cnót politycznych i moralnych, lecz ich wszystkich kierowniczką, regulatorką i wzorem“.² Co więcej, jej posiadanie jest trwałe. Uzdolnienia mogą rdzewieć wskutek braku zachęty lub sposobności; talenty, nawet największe, mogą nie dać owoców wskutek nadmiaru obowiązków lub pospolitych trosk. Ale mądrość praktyczna daje niezależną od losów pociechę, że nikt jej nie zdoła pozbawić właściwej sfery działania. Do doskonałych czynów w jej zakresie ludzie znajdują sposobność codzien, w ciągu całego życia, a fortuna, która może pozbawić pie-

² Burke, *Appeal from the New to the Old Whigs*, Dzieła, wyd. Bohn, t. III, str. 16.

niędzy, stanowiska i przyjaciół, pod tym względem jest bezsilna. Kto raz zdobędzie rozagę, ten wyzbywa się jej tylko wraz z życiem; a nawet w ostatniej scenie życia składa często świadectwo jej żywotności, zachowując się wobec śmierci z należytem męstwem.

Tu właśnie napotykamy jednak trudność wychowawczą pierwszorzędnej wagi. Zdrowy sąd bowiem, będąc tak nieocenionym darem, nie daje się udzielić innym — i to w stopniu mogącym doprowadzić do rozpaczy. Taktu towarzyskiego niepodobna przelać na urodzonego grubjana. Uzdolnienia artystycznego nie można udzielić partaczowi albo niedołądze w dziedzinie sztuki i kunsztów. Nieinaczej ma się rzecz, na pierwszy rzut oka przynajmniej, ze zdrowym rozsądkiem.

Niejeden człowiek interesów dobrze to odczuł na własnej skórze w chwili, gdy okoliczności zmuszały go do powierzenia jakiejś delikatnej sprawy podwładnemu, do którego rozsądku nie mógł mieć zaufania. Świadomość popełnionych w przeszłości błędów pozbawia niektórych zaufania do siebie samych. Otóż tacy ludzie, stojąc w obliczu krytycznej decyzji, nieraz wszystkoby oddali za tę bystrość, bez której nie mogą pomóc nawet najbliżsi przyjaciele. „Gdy potrzebujecie nauki“ — powiedział kiedyś pewien szkocki duchowny — „możecie jej zaczerpnąć z książek. Gdy wam brak łaski boskiej, możecie się o nią modlić. Ale jeżeli wam brak rozsądku, niech wam Bóg dopomoże“. Tak nie dającą się przekazać jest ta najwyższa cnota! Dlatego szeroko rozpowszechniło się przekonanie, że to, co nazywamy „przyrodzonym dowcipem“, czy „zdrowym rozumem“, czy „rozważą“, czy „bystrością“, czy też „mądrością praktyczną“ — stanowi dar niebios i, jako taki, zupełnie nie podlega wpływom wychowawczym.

Na szczęście, położenie pedagoga nie jest tak beznaziejne, jakby się zdawało. W całości zdrowego rozsądku przekazać komuś niepodobna, to prawda. Jednakże trze-

ba wziąć pod uwagę, że jest on dyspozycją w najwyższym stopniu złożoną. Daje się też rozłożyć na poszczególne elementy. A jakkolwiek w dojrzałym człowieku te elementy są już tak organicznie z sobą związane, że w praktyce występują jako jednolita zdolność, to jednak bliższa analiza może je wydzielić i zbadać, jak one są połączone. Na tem wolno budować nadzieje. Zgoda na to, że największy mistrz moralnego wychowania nie może bezpośrednio udzielić uczniowi zdrowego rozsądku; otwartem jednak pozostaje pytanie, co on może uczynić dla zapewnienia istnienia i związku elementów, z których zdrowy rozsądek się składa.

Trzy, jak się zdaje, istnieją elementy. Jeżeli rozsądek ma być zdrowy, musi się opierać na *charakterze*, na *rozważaniu* i na *oświeceniu*.³

Do istoty naszych sądów moralnych w odróżnieniu od naukowych należy to, iż są one głęboko zależne od charakteru osoby, która je wydaje. Jedną z największych zasług Arystotelesa jest właśnie to odkrycie, że charakter wpływa na postanowienia naszego codziennego życia, jak nie wpływa i wpływać nie może na sądy o przedmiotach nauki. Najzdolniejszy człowiek, według Arystotelesa, będzie tylko zdolnym łotrem, jeśli zdolności jego nie będą w przymierzu z cnotliwymi nawykami; występki zaś, pozostawiając bez zmiany nasze pojęcia o linjach i trójkątach, szybko psuje nasze postanowienia w dziedzinie życia i postępowania.⁴ Wysoki autorytet poucza nas, że „rzeczy, ukryte przed wzrokiem mądrych tego świata, są odsłonięte przed małymi dziećmi“. Zdanie to, absurdalne w zastosowaniu do nauki, gorsze jeszcze, gdy się go nadużywa w obronie ciemnoty, jest jednak niewątpliwie praw-

³ Odsyłam czytelnika także do swego dzieła p. t. *Ethics of Citizenship*, rozdz. VII, gdzie temat ten został omówiony w związku z działalnością polityczną.

⁴ *Etyka*, ks. VI, V, 6 i VI, XII, 10. „Występki psuje nas i powoduje błędne sądy w sprawie zasad moralnych“.

dziwe w dziedzinie moralności. W decyzjach bowiem naszego codziennego życia, — np. w sprawie przyjęcia stanowiska, wydatkowania pieniędzy, dania rady przyjacielowi i t. p. — nigdy nie wystarcza sama tylko *wiedza*. Musimy rzecz *rozważyć*, przejrzeć jasnym wzrokiem warunki nieodłączne od planu lub pomysłu — to już wiele; przejąć się należyce każdym warunkiem — to znacznie więcej. Tak np., kiedy chodzi o dar, człowiek nie powinien zbyt wiele myśleć o pieniądzach, które ma dać, a zbyt mało o potrzebie miłosierdzia; zbyt wiele o swym własnym dostatku, za mało o potrzebach innych ludzi; za dużo o sposobie obdarowania, za mało o jego pilności i celu. Nasze trudności w tych sprawach zmalowałyby niepomierne, gdyby się sprowadzały do prostego tylko poznania okoliczności. O wiele trudniejsze, a jednak narzucające się zadanie polega na tem, aby ocenić te okoliczności, ustrzegając się możliwej przesady, możliwego zlekceważenia czegoś, co przecież zdarza się dość często. A przecież zachowanie delikatnego umiaru i równowagi w naszych ocenach jest zasadniczym warunkiem wszelkiej mądrej decyzji.⁵

Stąd pochodzi pospolite doświadczenie, że tak trudno doprowadzić naszych przyjaciół do tego, by się zapatrywali zupełnie tak samo, jak my, nawet na stosunkowo prostą sprawę, jeśli ona jest natury moralnej. Znacznie o to trudniej, niż np. nauczyć fizyki lub matematyki. Możemy naturalnie liczyć na to, że nasi przyjaciele do pewnego stopnia rozumieją nasze słowa, ale nie należy spodziewać się, aby dla nich stało się ważnem to, co jest dla nas ważne, aby ich sposób patrzenia był naszym, aby przejmowali się tem samem, czem my jesteśmy przejęci. Na przykład, jeśli mamy do czynienia z charakterem, z przyrodzenia poszukującym przyjemności i skłonny do lęku przed cierpieniem, żadne słowa mędrców nie sprawią, by

⁵ Por. str. 80—81 i str. 161.

przyjemność lub cierpienie nie miały wywierać dużego wpływu na każdy jego projekt, na każdą jego decyzję. Tylko drogą wielkiego wysiłku i surowej dyscypliny moralnej może taki człowiek utrzymać te motywy na właściwym miejscu. Nie jest to zresztą jeszcze rzeczą najgorszą, że te predyspozycje prowadzą na manowce w chwili czynu. Zło sięga czasem głębiej. Lęk przed cierpieniem lub żądza przyjemności może zniekształcić właściwe proporcje rzeczy i uczynić swą ofiarę niezdolną do sprawiedliwego i wolnego od uprzedzeń poglądu, na którym winien się zawsze opierać zdrowy rozsądek, rodzie czynu.

Widzimy tedy skazę na prastarej sokratesowskiej doktrynie, że cnoty można nauczyć. Jeśli ją rozumieć w ten sposób, że nauczyciel moralności, obcując z umysłem swego ucznia, może go doprowadzić do tego, by się zapatrywał zupełnie tak, jak on, na sprawy życiowe, — jak bezwątpienia można to osiągnąć w dziedzinie matematyki, — ta doktryna byłaby fałszywa. Jeden umysł może przekazać drugiemu fakty, a jeżeli rozporządza pewnym zasobem zdolności, może doprowadzić ucznia do tego, by przyjął jego naukowe argumenty. Terminy naukowe (np. trójkąty, wypadkowe, drgania, kwasy i t. d.) będą oznaczały dla umysłu, który daje, to samo, co dla umysłu, który bierze. Inaczej w dziedzinie moralności. Najprostsze maksymy wystarczą dla uwydatnienia różnicy. „Czcij ojca twego i matkę swoją“, „spłać dług, któryś zaciągnął przed rokiem w pieniądzach lub usługach“, „pomagaj przyjacielom w ich troskach“. Niema wśród tych prostych nakazów ani jednego (choćby one niewiadomo jak starannie były wykładane), któryby nie nabierał różnych odcieni, zmieniających się w zależności od temperamentu, instynktów, nawyknień, doświadczenia słuchającej osoby. Skoro tylko bowiem zaczniemy stosować te i podobne nakazy, natychmiast wyłoni się możliwość najdalszych odchyień w ocenie istniejących warunków. Tak np. wspieranie rodziców na starość jeden człowiek będzie uważał

za miły i święty obowiązek czci dla rodziców, gdy dla innego (również chcącego spełniać czwarte przykazanie, ale mającego chłodne serce) będzie to czemś w rodzaju niepożądanego podatku.

Pod tym względem dobry charakter niezawsze bywa oceniany sprawiedliwie. Popularny jest pogląd, że dobroć niezawsze chodzi ręką w rękę z mądrością. Często nawet przypuszcza się, że dobroć świadczy o braku mądrości. „Dobry człowiek“ — powiadają — „ale niemądry“. Trudno zaprzeczyć, że ten osąd znajduje pewne potwierdzenie w tem, że natura ludzka łączy często cnotę z głupotą. A jednak, ściśle biorąc, to przeciwstawienie jest niesłuszne. Mądrość życiowa nie może mieć lepszego sojusznika od dobrego charakteru. Jedynie dobroć charakteru może oczyścić umysł od tego przewrotnego, a nawet złowrogięgo poglądu na życie, który wiedzie na manowce nasze poczynania, niszcząc zdrowy rozsądek.

Drugim warunkiem zdrowego sądu jest rozwaga.⁶ Ogólnie biorąc, życiowe nasze postanowienia wymagają dobierania środków do celów. W każdym razie do niczego nie prowadzi roztrząsanie dalekich celów, a teza: „czy świat materialny musi ulec zniszczeniu?“, podana pewnego razu do dyskusji przez jakieś północne stowarzyszenie, wcale nie jest bardziej jałowa, niż zagadnienie: „czy mamy służyć Ojczyźnie?“, „czy mamy spłacać swoje długi?“ albo też „czy mamy mówić prawdę?“. Te wielkie cele, krótko mówiąc, są nam narzucone, jako niewątpliwe wymaganie, wynikające z naszego stanowiska w życiu. Pozostaje do rozważenia — a jest to zagadnienie dość trudne — jak można najlepiej te cele osiągnąć.

Niezawsze wybór środków musi być połączony z rozważą. Świadczą o tem dwa fakty. Jeden — to istnienie zdolności intuicyjnego odgadywania środków, skoro tylko cel został wymieniony. Drugi — to tak bardzo powszechne

⁶ Odsyłam tu znów do *Ethics of Citizenship*, 4 wyd., str. 97—101, gdzie sprawa ta jest pokrótce omówiona w oświetleniu politycznem.

powoływanie się na precedensy. Bo, oczywiście, w świecie, gdzie doświadczenia się powtarzają, tak wiele jest utartych dróg, wiodących do osiągnięcia zwykłych celów, że niewielu ma czas i ochotę czynić z nich poważny przedmiot rozważań i dyskusji.

Jednakże potrzeba rozwagi istnieje niewątpliwie. Na intuicję — obawiam się — zwłaszcza gdy się ją nazywa sumieniem, liczymy bardziej, niżby należało. W wielu najbardziej uderzających wypadkach intuicja jest tylko pozorną. Ludzie bowiem, którzy zdobywają się na wielkie postanowienia, nie lubią odstaniać wysiłków dokonanych przez ich unyś w godzinach wahania. Lękają się, aby ich nie poczytano za godziny słabości. To też poza niejednym sądem, który w oczach świata uchodzi za intuicyjny, może się w rzeczy samej ukrywać krótkie, lecz wyczerpujące napięcie umysłu. I chociaż nie można zaprzeczyć, że bez rozwagi można się często obejść, nie zmienia to jednak faktu, że tylko dobrze rozważony czyn jest bezpieczny. Intuicyjny wybór środków czasem zdumiewa, jak jasnowidzenie, ale też, podobnie jak jasnowidzenie, często błądzi; najbardziej zaś błądzi przez to, że tak łatwo a mylnie przyjmuje własną pewność siebie za dowód nieomyślności. Tu źródło satyrycznych wywodów Benthama, skierowanych przeciw sumieniu, poczuciu moralnemu i zdrowemu rozsądkowi, z ich dogmatyczną i pełną pewnością siebie pretensją do rozwiązywania zagadnień moralnych łatwą i krótką drogą intuicji. „Przychodzi inny człowiek, i słowa się zmieniają. Już nie „poczucie moralne“, lecz „zdrowy rozum“ — mówi mu, co jest dobre a co złe. Ten „zdrowy rozum“ — powiada — jest to rozum dany każdemu, ale mówiąc o każdym, bierze pod uwagę tylko tych, którzy tak myślą, jak on.“⁷ To też Bentham stawia utylitarne wyrachowanie lub moralną arytmetykę na miejsce intuicji we wszystkich jej postaciach. Nie idzie zatem o to,

⁷ Por. Bentham, *Theory of Legislation*, c. III, Section I: The Arbitrary Principle.

żebyśmy się mieli opierać na Benthamie. Jego własna jednostronność z pewnością była niemniejsza od jednostronności tych, których zwalczał. Można też słusznie zauważyć, że nacisk nieuniknionych potrzeb życiowych, nie mówiąc już o innych przyczynach, wymusza intuicyjne decyzje nawet na utylitarnym umyśle. A jednak sarkazm Benthama ma pewną podstawę. Niemałą również zasługą utylitaryzmu jest to, że niestrudzenie przypominał światu, iż co innego jest sądzić, a co innego sąd uzasadnić. Jeszcze mniej bezpiecznie jest zbyt łatwo powoływać się na precedensy. Mogą one wystarczyć tym, których życie biegnie udeptaną ścieżką. Wogóle jednak często zawodzą. Na zmiennej bowiem scenie działania ludzkiego postanowienia często dlatego właśnie są trudne, że życie się nie powtarza. Z drugiej strony rozważa pozwala działać bezpiecznie, zapewniając inteligentne dostosowanie obranych środków do postawionego sobie celu.

Jest to jednak trudne zadanie, trudniejsze, aniżeli by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Z dwu bowiem punktów widzenia można rozpatrywać środki prowadzące do jakiegoś celu. Można na nie patrzeć tylko jako na środki i nic więcej. Wtedy trzeba jedynie rozwiązać zagadnienie, czy one prowadzą do celu najkrótszą, najbardziej bezpośrednią drogą? Lecz może też być inny punkt widzenia: środek, którego mamy użyć, może sam posiadać większą lub mniejszą wartość moralną. Oba te punkty widzenia mogą, oczywiście, się łączyć. Najkrótsza droga do celu może zarazem być najbardziej moralnym sposobem jego osiągnięcia. Lecz między nimi może również zachodzić konflikt, doprowadzający do tego, że gdy jeden człowiek przyjmuje pewną linię postępowania, ponieważ jest najprostszą ścieżką do celu, to inny, bardziej skrupulatny, odrzuca ją i obiera inną, mniej prostą, ale moralniejszą. Stąd słuszność ogólnie znanego powiedzenia, że w dziedzinie moralności, w przeciwieństwie do twórczości artystycznej, cel nie uświęca środków. Nie może uświęcać

środków, ponieważ środki wiodące do celu moralnego mają nie tylko prowadzić do celu, podobnie jak środki artystyczne, lecz nadto mają zadowalać sąd moralny obierającego je człowieka.

Skutkiem tego rozważa w sprawach moralnych poważnie się komplikuje. Zagadnienia, które tu trzeba rozstrzygać, różnią się od takich, jak np.: w jaki sposób osiągnąć dobry urodzaj lub zdobyć potrzebny przedmiot,— gdzie potrzebna jest tylko dobra kalkulacja, ocena z punktu widzenia kosztów materialnych. Sumienie i ocena moralna grają tu rolę drugorzędną. Inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o postępowanie moralne. Środki powinny tu być zważone miarą moralną, i stąd pochodzą odchylenia w ocenie, nie mające odpowiednika w dziedzinie sztuki. I właśnie ta moralna ocena jest najważniejszą częścią naszego zagadnienia.

Oczywistą jest wobec tego rzeczą, że to, cośmy uznali za pierwszy warunek zdrowego rozsądku, jest ściśle związane z drugim warunkiem. Istotnie, samo tylko wyćwiczenie charakteru jeszcze nie usprawnia do dobrej rozważki. Komuś tak jednostronnie wyćwiczonemu może brakować zdolności kalkulacyjnej: może nie być dość inteligentnym człowiekiem. Jednakże wyćwiczenie charakteru, dzięki ocenom moralnym, które już przeszły w uczucia i przyzwyczajenia, uchroni go od zastąpienia rozważki przez wolny od skrupułów wybór, kiedy to się odrzuca względy moralne, byle tylko obrane środki prowadziły najkrótszą drogą do celu.

Ważną rzeczą jest zapamiętać, że samo dążenie do dobrego celu, wobec właściwości natury ludzkiej, nie zabezpiecza wyboru równie dobrych środków. Niejeden już człowiek, który sobie mocno postanowił służyć swemu państwu lub pomagać przyjaciółom, obniżył, niestety, swój lot moralny, gdy doszło do urzeczywistnienia tego znakomitego celu. Nie mamy tu do czynienia z niedomaganiem natury intelektualnej. Tkwi ono raczej w pewnej niezdol-

ności do sprostania temu, co lepsze, w pewnej skłonności do złego; źródłem zaś jest niezdolność do instynktownego, uczuciowego lub nawykowego reagowania na pobudkę moralną.

Istnieją dwa błędne poglądy na rozagę w sprawach moralnych. Obydwa należałoby starannie wypełnić. Z jednej strony nie należy rozwagi w sprawach moralnych uważać za proces intelektualnej kalkulacji, za rozwiązywanie jakiegoś teoretycznego zadania. Przekonaliśmy się już, że nie jest to czystą tylko kalkulacją, jak rozwiązanie praktycznego zagadnienia w dziedzinie kunsztów. Przy każdym bowiem kroku występuje tu ocena moralna, zależna od całego wcześniejszego wyćwiczenia charakteru. Z drugiej znów strony nie da się rozwagi sprowadzić do konkurencji, zachodzącej między poszczególnymi przedmiotami, a kończącej się dopiero wówczas, gdy mocniejsze pożądanie wyzwoli się, zdobywając odpowiedni dla siebie przedmiot.⁸ Jak dalece to jest niezgodne z rzeczywistością, o tem świadczy fakt, że w jednej chwili możemy odrzucić podsuwane nam czyny, choćby one znajdowały poparcie w najpotężniejszych pożądaniami naturalnych. Przyczyna zaś tkwi w tem, że pomimo swej pociągającej siły nie zostały one uznane za dobre przez ten splot charakteru, jaki się w nas wytworzył pod wpływem ćwiczenia moralnego. To, czemu się ostatecznie daje przewagę, a więc w y b ó r bezpośrednio poprzedzający działanie, jest zdeteminowany przez całą złożoną dyspozycję psychiczną, będącą wynikiem moralnego wychowania i doświadczenia. Innemi słowy: mniej wartościowy środek do jakiegoś celu, jakkolwiek może nas kusić w godzinie słabości, traci swą ponętność i swoją moc nad nami, ponieważ jest obcy ustalonemu splotowi cnotliwego życia. Stąd olbrzymie znaczenie wychowania od najwcześniejszych lat! Przygotowuje

⁸ Por. określenie woli u H o b b e s'a. „W rozwadze ostatecznie pożądanie albo wstręt, bezpośrednio poprzedzające czyn, lub wstrzymanie się od niego, jest tem, co nazywamy wolą“. *Leviathan*, Cz. I, rozdz. VI.

nas ono do wysiłków rozwagi, potrzebnych w latach późniejszych. Nasze upodobania mają swój początek w dzieciństwie i w przedmiotach, których nas nauczono szukać, albo też unikać. I chociaż nasze dziecięce upodobania ulegają licznym zmianom w miarę rozszerzania się naszego zakresu zainteresowań, a szerszy pogląd życiowy odsuwa to lub owo upodobanie na należne mu, nie nie znaczące miejsce, to jednak rosnący wraz z nami system sympatyj i antypatyj, przyciągań i odpychań, wywiera głęboki wpływ na nasze moralne oceny. Pod sprzyjającymi auspicjami warunki zdrowej rozwagi kształtują się w nas w ten sposób, wyprzedzając o wiele lat ten czas, w którym zostaniemy powołani do rozważnego działania.

Pozostał jeszcze trzeci warunek: zdrowy sąd musi ponadto być sądem o s w i e c o n y m.

Rozumie się to samo przez się! Rozwaga nie może dać dobrych wyników, jeśli nie rozporządza obfitością środków, a nie będzie nią rozporządzała, dopóki nie zbierze z różnych źródeł dostatecznego zasobu wypróbowanych już sposobów osiągnięcia celów. Tylko nieliczni potrafią łączyć zaradność ze skąpą wiedzą: będą to ludzie pomyślni, przemyślni, twórczy. Lecz przeciętny człowiek nie może na to liczyć. Jeśli nie ma on być skazany na ubóstwo środków, jeśli nie ma działać tylko według mizerynych, zużytych szablonów, to musi wzbogacać swą wiedzę przez własne doświadczenie lub przez naukę. Dlatego warunkiem wszelkiej owocnej rozwagi jest znajomość rozporządzalnych środków.

Z istoty wszelkiej rozwagi wynika dalej, że potrzebna jest znajomość bliższych i dalszych celów, ku którym rozwaga się kieruje. Ważną jest przytem rzeczą, aby ta wiedza była dokładna i żywa.

Od dokładności pojęcia (lub wyobrażenia) celu w dużym stopniu zależy ścisłość całej rozwagi. Mglistość zamiaru powoduje ogromną stratę czasu. Trzeba się wtedy bowiem zastanawiać nad rozmaitemi przypuszczeniami,

planami, możliwościami. Z tem wszystkiem w jednej chwili załatwia się człowiek, który „wie, o co mu chodzi“. A jeśli cel jego jest nietylko wyraźny, ale i żywy, wtedy sąd nabiera nieocenionej zalety: staje się szybki. Jest to potrzebne, zwłaszcza gdy chodzi o dwa typy, dość różne, lecz podobne do siebie ze względu na pozorną niezdolność doprowadzania rozwagi do końca. Jeden — to pozorny „dojutrek“. Jest on pełen pomysłów — tak pełen, że gdy już niemal dochodzi do postanowienia, nagle — ku udręce swych przyjaciół zatrzymuje się, gdyż przychodzi mu na myśl jeszcze inny sposób zabrania się do rzeczy. Drugi typ jest słabszy; brak mu wiary w siebie do tego stopnia, że choć już niema żadnej alternatywy, zwleka z jakimś tępym uporem. Otóż najlepsze lekarstwo na obydwie wypadki polega na tem, aby dostarczyć jasnego i żywego wyobrażenia celu, który należy osiągnąć.

Tutaj to wyobraźnia może w dużym stopniu zwiększyć naszą zdolność do działania. Pospolicie wyobraźnię przeciwstawiamy zdolności do działania — uchodzi ona za matkę marzycielstwa.⁹ Niezawsze jednak tak bywa. Żywo wyobrażony cel bywa najskuteczniejszym środkiem na niezdecydowanie. Wypełnia umysł. Podnieca uczucia. Przynosi coś z tej temperatury pragnień, którą daje oglądanie tego, czego pożądamy. Wywołuje nastrój, w którym się mówi: „teraz albo nigdy!“. „Sposób rozumowania tych ludzi“ — powiada Burke o niecierpliwych rewolucjonistach — „tkwi w ich namiętnościach“. A sposób rozumowania zawsze będzie tkwił w namiętnościach, gdy je rozogni żywa imaginacja! Wtedy zachodzi obawa, aby rozważa nie została przerwana, zanim sąd moralny dojdzie do istotnego rozstrzygnięcia, jak należy postąpić.

Pozostaje jeszcze dodać, że jeśli sąd ma być zdrowy, to cele tak rozumiane lub wyobrażane muszą być same w sobie dobre (cokolwiek oznacza to pospolicie w zakło-

⁹ Por. str. 172—173.

potanie wprowadzające słowo).¹⁰ Wspomnieliśmy już, że obrany cel może nie mieć wartości moralnej, a jednak mogą ją mieć środki działania. Jeśli np. życie jakiegoś człowieka stacza się po pochyłości wiodącej do upadku, sumienie jego może jeszcze długo być odbiciem lepszych dni, oddając pierwszeństwo mniej niemoralnym sposobom osiągnięcia jego celów. Może on np. prowadzić wątpliwej uczciwości przedsiębiorstwo handlowe, a jednocześnie jego sposób prowadzenia go może się jeszcze znajdować pod wpływem tradycji z okresu większej uczciwości. I podobnie, gdy ktoś pod względem moralnym wspina się w górę, dawne, niskie, egoistyczne sposoby zapatrywania się mogą się w dziwny sposób utrzymywać przy życiu nawet wówczas, gdy cele oddawna już stały się czystsze i wznioślejsze. Takie fakty są objawami sprzeczności natury ludzkiej. Dobro lub zło nie odrazu opanowuje całego człowieka. Mimo to naczelnym faktem pozostaje w swej mocy: niedoskonałość moralna tkwiąca w celu zawsze będzie stałą siłą, zwalczającą wszelkie skrupuły sumienia, chcącego podyktować wybór lepszych środków, niż tego cel wymaga. I chociaż mozolna tradycja wartości moralnych może przez dłuższy czas powstrzymywać od wybrania najkrótszej, lecz niegodnej drogi, to jednak nie ulega wątpliwości, że nieuczciwy cel z biegiem czasu będzie obniżał stosowane środki do swego własnego poziomu. Stąd wynika następujące twierdzenie: jeśli sąd ma być zdrowy, to i cele muszą być dobre.

Tak tedy przedstawiają się główne warunki zdrowego sądu. A teraz zastanowimy się z kolei nad praktycznym zagadnieniem: Jak i w jakim stopniu można stworzyć te warunki.

¹⁰ Por. str. 233—234.

R o z d z i a ł II.

Wychowywanie moralnego sądu.

Z wymienionych powyżej warunków zdrowego sądu pierwszy znajduje się niewątpliwie w sferze wpływów pedagogicznych. Wychowawca z łatwością może uciec się do owych wielkich wpływów kształtujących charakter, jak wpływ rodziny i innych czynników, o których mówiliśmy w części II tej pracy. A jeśli ich niedoskonałości zostaną poprawione przez zwrócenie się do ideału moralnego, dobrze ujętego i wzmocnionego przez nawyknienie, to będziemy mogli przyjąć, że charakter, zarówno pod względem podatności emocjonalnej, jak skłonności nawykowych, będzie posiadał tę wrażliwość na wartości moralne, która — jak widzieliśmy — stanowi podstawę zdrowego sądu.

Możemy tedy odrazu przejść do drugiego zagadnienia: jak wychować rozwagę?

Coś niecoś można tu zrobić przez zwracanie uwagi na precedensy. Bo precedensy — jak to wyżej stwierdziliśmy — przyczyniają się do zaradności. Niekiedy sugerują czyn, który właśnie odpowiada naszemu wypadkowi, lecz częściej spoufalają umysł z dużą ilością alternatyw, wśród których będzie się prawdopodobnie odbywało dobieranie środków do celów. Mogą one oddać jeszcze większą usługę. Właściwie bowiem nietylko dostarczają materiału dla sądu, lecz nadto kształcą samą zdolność sądzenia. Zwiedzenie pracowni i warsztatów — jeśli wolno użyć tej analogji — może dać technikowi nietylko pewne, dające się bezpośrednio użytkować wskazówki, lecz również coś o wiele cenniejszego. Może on, mianowicie, zdobyć ogólne rozbarnięcie przez przyjrzenie się ludziom różnych uzdolnień, z których każdy pracuje na swój sposób, odmienną metodą. Podobnie dzieje się w życiu. Możemy wykształcić naszą zdolność sądzenia, przyglądając się tym, których niepodobna nam naśladować. Człowiek cywilny

może się wiele nauczyć od żołnierza, student od kupca. Wszyscy oni mogą rzucić światło na to, jak sąd praktyczny w nieskończenie rozmaitych sytuacjach znajduje środki najlepiej wiodące do celu.

Swoją drogą, precedensy mogą nam oświetlić tylko małą część drogi. Gdy uczyniły już, na co je stać, porzucają nas właśnie wtedy, gdy trzeba w konkretnym wypadku dobrać środek do celu. Pokonywanie tych właśnie osobistych trudności w pewnym sensie wykracza poza to, co może dać wychowawca. Zależy to części od przyrodzonego wyposażenia. Człowiek bowiem, który ma użytkować środki dostarczone przez doświadczenie, musi posiadać wrodzoną inteligencję. Bez niej uczciwość i dobroć serca będą iść poomacku i błędzić do samego końca. Sam spryt, coprawda, jest niebezpieczny, łatwo bowiem zapomina o wartościach moralnych. Z tego jednak, że sama inteligencja nie wystarcza, jeszcze nie wynika bynajmniej, aby ją można było lekceważyć. Jest ona niezbędna, gdy chodzi o bystre orjentowanie się, jakie wynikną skutki z różnych działań dla ludzi i rzeczy. Trzeba obmyśleć plan postępowania, przewidzieć trudności, zdać sobie sprawę z niepowodzeń, jakie mogą nastąpić. A to nie może się udać bez żywej inteligencji, która części jest darem natury.¹¹

Sama wrodzona inteligencja, oczywiście, nie wystarcza — nawet w połączeniu z dobrymi nawykami. Musi ona rozwinąć się przez praktykę. Jest to tak, jak z innymi cnotami. Wiodąc moralne życie, ludzie stają się zdolni do moralnego życia, a wydając sądy, nabierają kompetencji do sądenia. Uczą się dzięki napotykanym trudnościom

¹¹ Porównaj uwagi Arystotelesa o sprycie. *Etyka*, ks. VI, XII, 9. „Istnieje pewna własność lub moc, którą nazywamy sprytem (*δαιμόνιος*) — moc uchwycenia środka, który prowadzi do zamierzonego celu. Jeśli cel jest szlachetny, to siła zasługuje na pochwałę. Lecz jeśli cel jest niski, to moc jest mocą człowieka nikczemnego. Tak więc stosujemy termin „sprytny“ zarówno do cnotliwego człowieka, jak do nikczemnego“.

i wyciągają pożytek z własnych błędów. Dlatego samotnik lub daleki od życia ksiązkowiec rzadko osiąga w pełnej mierze tę praktyczną mądrość, która nas tak często zadziwia u ludzi czynu. Spostrzegamy często pewną skłonność do marzycielstwa u ludzi, którym okoliczności lub zawód kazały być raczej widzami, aniżeli aktorami w wielkim dramacie praktycznego życia; chętnie posiedliby oni tę praktyczną mądrość, nie mogą jednak jej zdobyć, nie dla braku inteligencji, uczuciowości lub energii, ale dla tej prostej przyczyny, że los pozbawił ich dostatecznego zetknięcia z życiem czynnym, w którym dopiero sąd praktyczny porusza się, rozwija i dojrzewa. Nie pozostają oni jednak bez pewnej rekompensaty: oto unikają licznych okazji do błędzenia. Jeśli bowiem sąd ma się wykształcić drogą praktyki, to musi próbować swych sił na realnych zagadnieniach, a gdzie tak jest, tam nie da się uniknąć licznych błędów. Spotykamy się tu zatem z dużą trudnością pedagogiczną. Jak się zabezpieczyć przed złymi skutkami błędzenia, a jednak dać swobodę, prowadzącą do błędów? Wychowanie moralne nie rozporządza bowiem środkami, któreby mogły bezwzględnie ustrzec od błędów. Nie pozostaje nic innego, jak zaryzykować błędy, ale dążyć do tego, by wychowanek za ich cenę nabył mądrości.

O dwóch jednak rzeczach pamiętać należy: po pierwsze, że „reakcja“ może być bezlitosna i podstępna.¹² Pozostawione własnemu biegowi błędy mogą mieć następstwa, którym nie śmielibyśmy zajrzeć w oczy. Pozostawiony swej woli, jak nas uczy katechizm, człowiek upadł — i ciągle pada na nowo ze swego wysokiego piedestału. Dlatego, godząc się na danie wolności (a musimy to uczynić), zachowajmy jednak w naszym ręku znaną nam, ale możliwie ukrytą przed okiem naszych wychowawców możliwość interwencji, dla powstrzymania w razie potrzeby okrutnych następstw popełnionych błędów. Tylko pod

¹² Por. str. 87.

tym warunkiem możemy z lekkim sercem godzić się na pełną swobodę. Po drugie, należy zatroszczyć się o to, żeby zagadnienia, z którymi ma się uporać niedoświadczony sąd, nie były zbyt ciężkie. Inaczej nastąpi jedno z dwojga: albo będziemy sprzyjali beztroskiej wierze w siebie, karmiącej się niezasłużonem powodzeniem przy sprzyjających okolicznościach, lub też zniechęcimy narazonego na porażki wychowanka i zachwiejemy w nim tę zbawienną wiarę we własne siły, która nie może się rozwinąć bez zasłużonych powodzeń. „Uczeń, od którego nigdy nie wymaga się nic takiego, czego nie może zrobić, nigdy nie robi wszystkiego, co może” — powiada Mill.¹³ Ma on na myśli zadania intelektualne. Jeśli ta nieco heroiczna reguła ma znaleźć zastosowanie w sferze moralnej, czujna rozwaga musi ją stosować z takim umiarkowaniem, aby brzemię nie przerastało sił.

Jeśli przytem rozwaga ma sprostać swemu zadaniu, trzeba ją zawczasu tak wyćwiczyć, by pracę swą wykonywała szybko. Życie toczy się w atmosferze ciągłego pośpiechu, to też zawieszenie sądu i zwłoka, godne uznania w nauce, mogą się okazać fatalnemi w dziedzinie działania. Stąd zgubne, choć niestety pospolite mniemanie, jakoby lepiej było odrzucić rozwagę a zaufać owym instynktowym postanowieniom, które zupełnie nie uznają wahania. Jest to wręcz przeciwne logicznemu wnioskowi. Istota rozumna i przewidująca pozwoli odebrać sobie rozwagę chyba tylko ulegając gwałtowi, zadanemu naturze ludzkiej. O wiele mądrzej jest popierać ją i rozwijać do najdalszych granic; dawać jej sposobność do ćwiczenia, aby weszła w przyzwyczajenie i stała się równie szybką, jak intuicja. Szybkie bowiem rozważenie sprawy, ogarniające sytuację niemal jednym rzutem, i nieogłędnie błędzący instynkt, który sam nie wie, co robi: to są jak-gdyby dwa przeciwne bieguny.

¹³ John Stuart Mill, *Autobiografia*, przekł. Mieczysława Szerera, Warszawa 1931, str. 53.

Jednym z najskuteczniejszych środków po temu jest, jak już wzmiankowaliśmy, jasne i żywe pojęcie (lub wyobrażenie) celu, który ma być osiągnięty. W związku z tem nasuwa się zagadnienie, jak najłatwiej takie pojęcie zdobyć.

Odpowiemy odrazu, że nie przez moralne pouczanie. Jeżeli dana osoba dostatecznie dojrzała, żeby z wykładu moralności nauczyć się, jakie są cele, do których winna dążyć, dowodzi to, że już wcześniej doszła w praktyce do tej wiedzy. Obecnie zauważa tylko, że już zdążyła do bardzo wielu celów. Spostrzega, że kocha rodzinę i przyjaciół, że oddaje im pewne przysługi, że pracuje na swe utrzymanie, przygotowuje się do zawodu, zaczyna być obywatelem. Nie dlatego wytknęła sobie te cele, że jej o nich mówiono. Nauczyła się ich przez stopniowaną ewangelję codziennego doświadczenia. Jest to tak, jak mówi Arystoteles: kto raz w początkach swego ćwiczenia się wytknął sobie praktyczne cele życia, temu nie będzie trudno dojść do poznania, czem one są.¹⁴

Jest to jeden dowód więcej, że pouczanie moralne nie może dać tak wiele, jak czasem przypuszczają apostołowie nauki o moralności. Bo chociaż każdemu młodzieńcowi można wymienić, jakie są jego główne obowiązki — to jednak nikt nie odważy się utrzymywać, że to zasługuje na miano wiedzy moralnej. Jest to zaledwie coś „pojęciowego“, ale nie realnego. Są to, jak niekiedy słusznie mówimy, tylko „czcze słowa“. Żeby prawdziwie zrozumieć cel, nie wystarczy przeczytać o nim w podręczniku obowiązków, albo wysłuchać na ten temat choćby najwymowniejszego kazania. Poruszaliśmy już tę sprawę w rozdziale „O przepisie“.¹⁵ Rzeczywiste i skuteczne zrozumienie celów przychodzi przez dążenie do nich. I niema

¹⁴ *Etyka*, ks. I, IV, 6. „Człowiek, który otrzymał dobre moralne wychowanie, albo już doszedł do zasad działania, albo łatwo je przyjmie, gdy mu zostaną wskazane“.

¹⁵ Por. str. 179.

wśród nas nikogo, ktoby nie mógł w późniejszych latach uśmiechnąć się, przypominając sobie, jak łatwo dawniej wymawiał takie słowa, jak: odwaga, szlachetność, duch społeczny, uczciwość, niezależność i t. p., których prawdziwe znaczenie zrozumiał dopiero po licznych doświadczeniach długiego ciągu lat. Ostatecznie, głównymi nauczycielami tego, czym są nasze obowiązki, są instytucje kierujące naszym działaniem i poddające je swojej kontroli.

Wszakże nie one jedne. Doświadczenie ogromnej większości ludzi wskazuje, że nawet nasze najszczytniejsze i najdroższe cele, nasz zapał dla spraw społecznych, nasza służba dla jakiejś instytucji lub firmy, a nawet nasza troska o tych, których kochamy, obniżają się pod oziębiającym wpływem spowszednienia. Wtedy potrzeba nam głosów, któreby nas pobudzały do wytrwania, mówiąc o doniosłości naszych celów. Nie powinno nam ich zabraknąć! Jest dość satyryków biczujących nasze ułomności, cyników sondujących nasze obniżenie się do niższych motywów, moralistów wykładających nasze powinności, kaznodziejów wstrząsających sumieniem, proroków rozpalających płomiennymi słowami dymiące ołtarze naszych obowiązków. Nie sądzimy, aby ich największą zasługą było to, że mówią nam coś nowego. Winniśmy im więcej. Bez nich bowiem utracilibyśmy poczucie znaczenia naszych najpierwszych obowiązków, tych obowiązków, o których tak łatwo zapominamy wśród codziennych wysiłków, zmierzających do ich spełnienia!

Niedość jednak znać nasze obowiązki, nawet wtedy, gdy te podniecające wpływy w połączeniu z doświadczeniem stawiają nam je przed oczy. Muszą one być podporządkowane jakiemuś wyższemu ideałowi, który uczyniliśmy naszym własnym. Jużemy widzieli, że żaden wychowawca nie zgodzi się, żeby jego wychowankowie stawali się tem tylko, czym chciałyby ich uczynić instytucje społeczne. Musi on pracować według konsekwentnego

planu, który w jego przekonaniu sprostuje fałszywe, a często nawet przewrotne opinie, oraz niezrównoważone oceny społeczeństw współczesnych.¹⁶ Co jest niezbędne dla wychowawcy, kształtującego życie innych, jest w równym stopniu konieczne dla jednostki, która pragnie myśleć własną głową, sądzić według własnego sądu i samodzielnie kierować swoim życiem. Tylko bowiem w tym wypadku będzie ona mogła być pewna, że jej cele są dobre.

Zachodzi pewne podobieństwo między światem wiedzy i czynu. Zarówno w jednym, jak w drugim, pewność tkwi w zwartości poglądów. Gdy chcemy się upewnić, że jakieś spostrzeżenie jest rzeczywiste, a nie złudne, musimy postawić sobie pytanie, czy ono się mieści w kontekście usystematyzowanej wiedzy? To jest próba rozstrzygająca! Podobnie, gdy chcemy się upewnić, że jakiś cel jest dobry, musimy stwierdzić, że harmonizuje z ustalonym i konsekwentnym ideałem życia. Prawda to, iż aż nazbyt często nie doceniamy tej próby. Ludzie zadowolają się życiem z dnia na dzień. Ufają chwilowej intuicji lub oderwanemu przepisowi. I są wypadki, że to jest dopuszczalne, a nawet chwalebne. W drobiazgach życiowych byłoby pedantyzmem powoływać się na coś tak wzniosłego, jak ideał moralny. Mogą też być wypadki tak bardzo potrzebujące szybkiej decyzji, nawet w sprawach większej wagi, że nie pozostaje nic innego, jak zawierzyć własnej intuicji lub cudzej radzie. Nie jest to jednak najlepsze wyjście; nawet wówczas, gdy postanowienie musi być intuicyjne, gwarancja się zwiększa, jeśli w nasze przyzwyczajenia i uczucia wkorzenił się zwarty ideał, z którym można zestawić każdy cel, domagający się przyjęcia.

Świadczą o tem wyraźnie dwa następujące wypadki.

Pierwszy sprowadza się do tego, że jakiś cel, który nas kusi, jest zły. Wewnętrzna słabość złego celu niezawsze polega na braku powabu. Może on poruszyć potężną

¹⁶ Por. str. 111 i nast.

namiętność, może swoim urokiem otumanić rozum. Słabość jego, na szczęście, tkwi w tem, że jest to zwykle cel odosobniony, zdolny do zniewolenia nas nagłym atakiem, ale niezdolny do utrzymania się w życiowym planie uczciwego człowieka. Jest zatem zły nie dlatego, jakoby się przeciw niemu buntował jakiś tajemniczy i nie dający się opisać instynkt moralny, lecz dlatego, że przyjęcie tego celu spowodowałoby w powolnie wypracowanej tkaninie ideału skazę, prowadzącą do daleko posuniętego rozluźnienia, a wkońcu do upadku.

Drugi wypadek zachodzi, gdy cel ma być odrzucony nie dlatego, że jest zły, ale dlatego, że jakiś inny cel jest lepszy. To zdarza się przy konflikcie obowiązków. Jest to zagadnienie o wiele trudniejsze i głębsze od pierwszego, ponieważ oba współzawodniczące cele, będąc dobrami, mogą powoływać się na powinowactwo z naszym ideałem. Ten wypadek ma się tak do pierwszego przykładu, jak wojna domowa, dzieląca patryjotów na dwa wrogie obozy, do wojny obronnej przeciw najazdowi. Jest to więc konflikt nie mający szybkiego rozwiązania. Prawdę mówiąc, jest to konflikt, który się nigdy nie kończy przypadkowym uprzywilejowaniem jednej ze stron. I trudno, aby było inaczej, gdy wrogie sobie obozy nie mogą zdecydować, który cel jest najbardziej zgodny z ideałem, który w długim biegu rozwoju moralnego ośwładną umysłami, sercami i wolą? Konflikt taki może występować w wielu postaciach. Może on zachodzić między hojnością i oszczędnością w interesach, między prywatną przyjaźnią i dobrem publicznym, między skromnym dostatkiem i wymaganiami miłosierdzia, między mówieniem tego, co się myśli i obawą wypowiedzenia tego, coby mogło urazić lub zranić. Bądź jak bądź, takie węzły potrafi rozplątywać tylko rozważny sąd, zgodny z ideałem życiowym.

Na czasię zatem będzie pytanie, jak taki ideał przyobleka się w ciało?

R o z d z i a ł III.

Kształtowanie się ideału jednostki.

Nie popolitszego nad fakt, że ktoś posiada ideał, a jednak nie umie powiedzieć, jak do niego doszedł. Tak bywa nie wskutek braku samoanalizy, lecz dlatego, że ideały opanowujące nasze sądy i nadające kształt życiu nie spadają na nas gotowe, jakby z nieba. Mają one zupełnie inną historję. Rosną wraz z naszym wzrostem od wczesnych lat, i jeżeli jesteśmy moralnie żywi, nigdy rosnać nie przestają. Bardzo to szczęśliwie, że tak jest właśnie! Dostosowanie naszego życia do ideału i naszego ideału do życia jest dlatego jedynie możliwe, że następuje stopniowo drogą prób.

Wynika stąd, że historja ideału jednostki jest w znacznym stopniu kroniką wpływów, którym ta jednostka ulegała od dzieciństwa. Przedewszystkiem są to wpływy kształtujące zachowanie się. Wraz z niemi stopniowo przenikają do umysłu wyobrażenia i pojęcia celów, do których mamy dążyć. Proces ten nie jest, oczywiście, jednolity i ciągły. Składa się nań w ciągu życia wiele wrażeń przelotnych, jak np. natchnione przez powieści wizje romantyczne; żywią one młodzieńczą cześć dla bohaterów, lecz prędko tracą swój wpływ pod naciskiem coraz lepiej rozumianych wymagań powszedniego życia, a później trzeźwych głosów bieżącej chwili i służby publicznej. Poza tem od bardzo wczesnych lat za złudzeniami jak cień podąża rozczarowanie. Pewne rozczarowanie towarzyszy już przejściu z domu rodzicielskiego do szkoły; o ilez głębsze rozczarowanie spotyka młodzieńca, chowanego w odosobnieniu przez dom i szkołę, gdy spotyka się po raz pierwszy twarzą w twarz z pracą w świecie, który znał dotychczas tylko ze słyszenia! Zazwyczaj w tym właśnie okresie życia poczynamy sobie uświadamiać, jak przygniatającą jest obojętność świata interesów, stosunków społecznych, a stopniowo i działalności politycznej. Niema co

jednak lamentować nad tem rozczarowaniem, które nie mija wraz z młodością. Jest ono krokiem, prowadzącym do pewnego odkrycia. Coś bezwątpienia tracimy. Nie możemy sobie pochlebiać, abyśmy rozwijając się nawet najszczęśliwiej, zachowywali wszystkie zalety i powaby dzieciństwa i lat młodzieńczych. A jednak już samo to zdziwienie, które rozprasza marzenia młodości, świadczy o tem, że doświadczenie wnosi w życie nowe cele, te zaś przetwarzają się w bogatszy ideał. Są one bowiem możliwe jedynie dzięki temu, że z latami przychodzi właściwa ocena doniosłości i realności wielu celów i wielu zainteresowań, stanowiących sam rdzeń ludzkiego życia. Nie należy w każdym razie patrzeć na ideał jako na osobliwość wieku młodzieńczego, która musi w późniejszych ciężkich latach stracić cały swój blask i chwałę. Takie żale pozostawmy ludziom sentymentalnym! Młodzieńczy ideał zbyt mało posiada istotnej treści, aby go należało tak opłakiwać. Prawdziwie wzniosłych ideałów należy się spodziewać przy końcu życia, nie zaś w jego początku. Do pełnego rozwoju mogą one bowiem dojść dopiero wtedy, gdy wraz z siwemi włosami przyjdzie zrozumienie tych licznych i istotnych celów, które nadają sens ludzkiemu życiu.¹⁷

Wobec tego, cośmy już powyżej powiedzieli o wychowawczym wpływie instytucyj społecznych, niema potrzeby powtarzać, czem każda z nich przyczynia się do dzieła wychowania. Wystarczy powiedzieć, że zawdzięczamy im głównie dwie rzeczy. Z jednej strony, w miarę uświadamiania sobie zadań, którym te instytucje służą, w umyśle jednostki osiadają i pozostają na zawsze najrozmaitsze cele. Są one materiałem, z którego będzie się tworzył jej ideał moralny. Z drugiej strony cele te nie spoczywają w umyśle luźno i każdy z osobna. Działają bowiem w umyśle dążenie do spoistości i jedności, tak bardzo podsta-

¹⁷ Por. str. 240.

wowe w istocie rozumnej. Dążenie to jest zrazu nieświadome; zrazu działa jakgdyby poomacku i często prowadzi na manowce w swych konstruktywnych wysiłkach. A jednak działa stale. I chociaż niewielu ludzi może się pochwalić ustalonym i harmonijnym planem życia, to jednak większość tak bardzo ceni jego znaczenie, iż z gniewem odpiera zarzut bezplanowości w postępowaniu. Nawet zdecydowanie cygańskie typy łudzą się, że są niesłychanie solidne.

W ten sposób kształtują się dorywcze, że tak powiem, plany życiowe. Mają one zupełnie wyraźne braki, mogące przybierać jedną z dwu postaci.

Po pierwsze, mogą potrzebować wzbogacenia się. Są one bowiem bogate w możliwości właśnie dlatego, że są ubogie w treść. Mogą jednak nigdy nie osiągnąć tego wzbogacenia się. Pod despotycznymi wpływami świata, który rządzi biczem przymusowej pracy, a zwłaszcza pod wpływem podziału pracy, który jest żelaznym jej prawem, ideał może stwardnieć i skurczyć się aż do nie-ludzkiej ciasnoty. Niemniej przeto pozostaje ideałem; niewiele doprawdy ideałów jest tak konkretnych, jak ideały stępionych ofiar biedy, skąpstwa lub ambicji. Są to ideały raczej samo-okaleczenia, niżli samo-rozwoju. Niebezpieczeństwo to jest najgroźniejsze w krajach przemysłowych i handlowych.

Z drugiej strony może się zdarzyć przeciwna fatalność. Sangwinikom mającym często sposobność do czynienia wolnego wyboru wzrastające doświadczenie może nasunąć tak wiele celów, że jednolitość, którą miały ich ideały młodzieńcze, rozpada się z biegiem życia na fragmentaryczne cele. Wtedy mamy wielopostaciowy twór, nie powiązany wewnątrznie, ponieważ jego cele są niezgodne z sobą aż do zatury wszelkiej dającej się rozpoznać jedności.

Każdemu z tych nieszczęśliwych zwyrodnień możemy, na szczęście, zapobiegać.

Ciasnocie ideału możemy przeciwdziałać, otwierając oczy na szerszy świat, jaki odsłania literatura. Trudno o silniejszy argument na rzecz życiorysu, dramatu, powieści lub innego wytworu imaginacji, rozszerzającego zakres zainteresowań, od tego, że to są właśnie środki skutecznie przeciwdziałające godnej politowania ciasnocie poglądów, spowodowanej przez podział pracy. Łączy się z tem, co prawda, pewne niebezpieczeństwo. Świat ideałów jest tak wysoki, a pracowite życie tak ciasne! Stąd dość pospolity pogląd, że w narodzie o daleko posuniętej specjalizacji oświata ludowa staje się przyczyną niezadowolonia i rozgoryczenia. Jest w tem co najwyżej cząstka prawdy! Trzeba bowiem liczyć się i z tem, że z tego imaginacyjnego zetknięcia się z innym życiem, niż własne, umysł może wyjść ze słuszniejszym i bogatszym poglądem na różnorodne sposoby spełniania obowiązku, zależnie od różnych uzdolnień ludzkich i różnych okoliczności. Nie należy być zbyt surowym względem tych, którzy czytając o powodzeniu nie będącym ich udziałem, nie mogą stłumić żrącej myśli, że ich własny los jest tak mizerny. Lepszą i bardziej ludzką jest refleksja, że prawo moralne jest czemś tak wielkiem, iż potrzebuje dla swego urzeczywistnienia wielkiej różnorodności sposobów życia, jak również — że można wznieść się do intensywnego i pełnego sympatji zainteresowania życiem innych ludzi, zawsze z nami złączonych organicznymi węzłami społecznego życia. Można to zresztą ująć nie tak bezosobowo. Wielu ludzi nigdy nie osiąga pewnych celów, nie dlatego, aby one były dla nich za wysokie, lecz poprostu dlatego, że je zakrywa dająca się usunąć zasłona niewiedzy; wielu też ludzi w późniejszych swych latach z gorzkim, bezradnym żalem jasno widzi, jak inaczej mogło się ułożyć ich życie, gdyby ten lub inny cel przedostał się był do ich widnokregu za pośrednictwem pisanego, czy też mówionego słowa.

A jednak nie książki i słowa najskuteczniej rozszerzają i wzbogacają pogląd na świat i życie! Cele bowiem

w ten sposób odsłonięte, chociażbyśmy je przyswajali sobie jak najchętniej, nazbyt łatwo pozostają czemś tylko werbalnym lub pojęciowym. Dla większości ludzi cele, które mają wrosnąć w ich ideały, nie mogą się zjawiać tylko w czysto intelektualnej szacie. Muszą się narzucić przez ścisły związek między ideaą i praktyką. Dlatego to szersze, nieosobiste zainteresowania stosunkowo najłatwiej zyskują sobie prawo obywatelstwa w życiowym planie przeciętnego człowieka, pod wpływem rozszerzającej się działalności obywatelskiej, lub przez udział w organizacjach religijnych, skłaniających swych członków do życia dla odległych korporacyjnych celów.

Fragmentaryczności ideału można również przeciwdziałać odpowiednimi środkami. Tak więc jedność może wyniknąć z przyjętego kodeksu moralnego, który zbiera w swoim dekalogu lub innym zbiorze praw kardynalne obowiązki życia. Może ona również powstać pod wpływem człowieka, będącego jej uosobieniem. Większość ludzi nie wymaga nic więcej. Dla wielu rozwiązanie wszelkich zagadnień mieści się w tem, aby sądzić tak, jakby zapewne sądził ktoś uznany za wzór. Zarówno jednak kodeks moralny, jak człowiek uznany za wzór, mają swe braki.¹⁸ A skoro tak, powstaje pytanie, czy niema jeszcze innego wyjścia? Jasnym jest, że chodzi tu o wzór, według którego możnaby oceniać porównawczą wartość celów, a który mógłby zarazem być wolny od surowości kodeksu moralnego i od niezupełnej doskonałości konkretnego człowieka. Otóż takie wzory istnieją. Tkwią one w tych pojęciach o najwyższym celu życia, jakie daje światu filozofja, począwszy od Sokratesa. Są one różne, jak różne są filozofje, które je wytworzyły: obowiązek, doskonałość, najwyższa szczęśliwość, stan błogosławieństwa, samourzeczywistnienie i inne. Wszystkie one mogą oddawać podwójną przysługę. Przewszystkiem pracują dla jedności, wpajając przekonanie,

¹⁸ Por. str. 166 i 179.

że wszystkie obowiązki życia są tylko różnymi sposobami zbliżenia się do jednego, wszechogarniającego Celu; powtórę przygotowują drogę od odkrycia — trudnego dla człowieka polegającego na kodeksie, — że wobec zmienności ludzkich uzdolnień i warunków zewnętrznych naczelną powinnością może się stawać raz ten obowiązek, raz inny. Kto stale ogląda się na kodeks, jest aż nazbyt skłonny przypisywać każdemu z zawartych w nim nakazów zawsze jednakowy, czyli, innemi słowy, niemożliwy do utrzymania, absolutny autorytet. Kto znów zapatruje się na jakiś żywy wzór, choćby nawet nie trzymał się litery, ale patrzył w ducha, skłonny jest wyolbrzymiać sprawy związane z miejscem i czasem. Kto natomiast chwytą ideę Celu, — ten wznosi się do tego, co jest powszechne! Taki człowiek uzna za absolutny autorytet tylko jeden najwyższy obowiązek. Jest nim dążenie do najwyższego Celu po najwznioślejszej z możliwych dróg. Stanowi to naprawdę ogromny krok naprzód. Niema się co łudzić, jakoby moralność dla osiągnięcia zwartości wymagała, abyśmy raz na zawsze ustopniowali nasze obowiązki według ich względnej ważności. Nie w ten sposób żywa jedność wchodzi w ideał. Idzie ona za mocnem uchwyceciem Celu. Dopiero bowiem wówczas drobniejsze cele życiowe ukazują się nam we właściwym świetle, jako różne, lecz pokrewne sposoby dążenia ku jednemu, najwyższemu Celowi.

W tym punkcie filozofja oddała światu wiekopomną usługę. Wierna swej tradycji, aby szukać „jedności w wielości“, pomimo sporów różnych szkół uczyła stale, że wpajanie obowiązków, nawet najważniejszych, musi doprowadzić do suchego formalizmu, jeśli nie będzie przeniknięte ożywczą i jednoczącą ideą najwyższego Celu, w którym dopiero skupiają się rozproszone czynności ludzkiego życia. Nie jest przytem konieczne, aby przeciętny człowiek, chcąc korzystać z owoców takiego ujęcia rzeczy, musiał stać się filozofem. Takie wymaganie byłoby czemś absur-

dalnem, niemożliwym. Świat praktyczny aż nazbyt wyraźnie objawia swą obojętność dla teoryj filozoficznych. Nie zdaje się nawet odczuwać ich braku. Tłum, jak powiedział Platon, nie jest zdolny do filozofji. Pędzony naprzód nagłąciami potrzebami życia, troską o chleb, ostrogami namiętności, ambicji, niecierpliwości — nie ma czasu, nawet gdyby chciał i gdyby miał zdolności, filozofować na temat Celu życia. Czego jednak człowiek nie może zaczerpnąć wprost z filozofji, to może otrzymać w inny sposób. Może się zwrócić (i zwraca się stale) do kaznodziejów, nauczycieli, moralistów, satyryków, publicystów i poetów swego pokolenia. Są to pośrednicy w świecie ducha. Stoją oni między filozofem a tłumem. Umieją przetłumaczyć na język wyobraźni te pojęcia o Celu, które na kartach dzieł filozoficznych pojawiają się w postaci trudnego rozbioru i trudnych definicyj. Być może, że ci pośrednicy nie wsłuchują się dostatecznie w filozofję. Z przykrością trzeba stwierdzić, że niektórzy z nich, sprzeniewierzając się filozofji, stają się jej niesprawiedliwymi oszczercami. Jest jednak nadzieja, że dzięki ich pośrednictwu przesączy się kiedyś do umysłu świata i wejdzie w jego praktykę stara, ale nigdy nie przestarzała nauka, aby iść przez życie z wzrokiem utkwionym w Cel najwyższy. Jest rzeczą niezmiernej wagi, aby się tak stało. Teorja celu życia, choć ważna, nie jest jednak niezbędna. Lecz przekonania wiążące się z tym celem są niezbędne. Bez nich bowiem nasz ideał nigdy nie nabędzie tej dobrze związanej, a mimo to giętkiej jedności i spoistości, która jest kamieniem probierczym względnej dobroci naszych celów.

Teorja moralnego ideału zapewnia jednak duże korzyści ludziom, którzy do niej dorastają. Pozostaje pokrótce je wymienić.

Rozdział IV.

Praktyczna doniosłość teorii ideału moralnego.

Teorii moralnego ideału poszukujemy zazwyczaj z pobudek naukowych. W braku tego impulsu gotowibyśmy poprzestać na autorytecie lub intuicji, — tych dwu odwiecznych współzawodnikach teorii. A jednak teoretycy moralności, oraz ich uczniowie nie powinni by wpadać w przesadną skromność, ani się pozbawiać dodatkowej zachęty, wpływającej z faktu, że w pewnych wypadkach teoria ideału praktycznie wzmacnia tych, którzy są zdolni ją przejąć.

Tak np. teoria i jedynie teoria może godnie podtrzymać ideał moralny wobec krytyki. Niekoniecznie, oczywiście, trzeba walczyć z krytyką przy pomocy teorii. Pewien typ ludzi przekłada pociski retoryczne i na sposób Johnsona,¹⁹ gdy pistolet spali na panewce, usiłuje powalić przeciwnika uderzeniem kolby. Inni powołują się na autorytet. Jeszcze inni powołują się na sumienie. Wszystko to są skuteczne sposoby, to też w naszym wojującym świecie nie należy lekceważyć nawet pierwszego z nich. Poprzestać jednak na tych środkach można tylko za cenę utracenia związku z bardziej intelektualnymi ludźmi swego pokolenia. Otóż niewątpliwie z uświadomienia sobie tego właśnie ryzyka wyniknęły największe wysiłki spekulacji etycznej, jakie świat kiedykolwiek widział. Nie zaliczonoby z pewnością Sokratesa, Platona i Arystotelesa w poczet senatorów filozofji, gdyby oni, reformując moralność, nie pracowali byli nad wyzwoleniem lepszych umysłów swego pokolenia od sofistycznych teoryj, że siła jest prawem, lub że hedonistycznie pojęty interes własny jednostki jest miarą moralności.

Sytuacja ta powtarza się. W każdym rozwinięciem społeczeństwie są ludzie odznaczający się popędem do rozu-

¹⁹ Samuel Johnson, 1709—1784, pisarz i satyryk angielski, znany z ostrego dowcipu i dosadnych wyrażen. (*Przyp. red.*).

mowania. Nie mogą oni zamknąć swych uszu na teorje, zwłaszcza zaś na te, które poddają ich ideały moralne krytycznym badaniom. Nie mogą zadowolić się powoływaniem się na dogmaty, choćby najbardziej uświęcone, lub na intuicje, choćby najbardziej prorocze. Nie mogą, jednym słowem, uspokoić się, dopóki bądź nie ulegną negatywnym i burzycielskim teorjom, bądź nie przewyższą ich zapomocą teorii zdolnej uzasadnić ich odmienne przekonanie.

Teorja może też oddać inną jeszcze przysługę; może mianowicie podtrzymać wiarę w istotną rzeczywistość ideału moralnego w okresach przełomu i zwątpienia. Zadaniem bowiem teoretyka jest badać doświadczenie: nie własne tylko doświadczenie, które może być czemś małym, ale to szersze doświadczenie moralne świata, które jest zapisane w instytucjach społecznych, jak niemniej w żywotach reformatorów, nauczycieli, świętych, bohaterów naszej rasy. Takie badania dają zawsze rzetelną korzyść. W szczególności zawdzięczamy im dwa przekonania. Po pierwsze, dzieje ludzkości świadczą o tem, że wszystkie odmiany czy postaci ideału moralnego skazane są na ciężki los: — muszą ulegać podminowującej je zwolna krytyce. Po drugie, życie moralne, do którego człowiek jest zdolny i którego urzeczywistnienie uważa za swój obowiązek, jest najbogatszą i najwznioślejszą z rzeczy, jakie nasza refleksja odnajduje w niedoskonałym zwierciadle ludzkiego życia. Nie znaczy to, aby człowiek tylko przez teorję mógł dochodzić do tych przekonań. Czyż nie widnieją one na kartach proroków i nauczycieli etyki, którzy, jak Carlyle, drwią i szyczą z teorji? Proroka w dziedzinie etyki poznaje się po tem, że z wielką bystrością potrafi oddzielić formę od istotnej treści i przeprowadzić rozróżnienie między ideałami, będącymi tylko przemijającymi tworam ludzkiej fantazji, a tym niezniszczalnym, przeczuwanym, a częściowo przewidywanym Celem moralnym, dla którego wyobrażnia następujących po so-

bie pokoleń stara się tkać coraz to nową szatę. Przewaga, jaką może mieć teoretyk, nie opiera się na wynikach, do których dochodzi, ale na fakcie, że w danym wypadku wyniki nie powstają z wybuchowych objawień i intuicji, tak często mylnie biorących błędne ogniki za światło z nieba, — lecz z dokładnego i systematycznego badania doświadczenia.

Z tego to powodu teoretyk w zakresie etyki może z największym stosunkowo spokojem spoglądać na niezgodność wzorów moralnych, konflikty obowiązków, dylematy kazuistyki i przeczenia sceptyków. Przewiduje on je zgóry! Co więcej, właśnie w rozmaitości i kolizjach wzorów moralnych, tak często przerażających dogmatyczny umysł, w zawsze tragicznem widowisku rozpadania się jakiegoś umiłowanego celu pod obuchem zjadliwej krytyki, będzie on widział tylko jeden dowód więcej, jak niewyczerpalna jest żywotność moralnego życia ludzkości, wciąż znajdującej się w pochodzie, wciąż „zwijającej namiot przed nową podróżą“.

Teorja ideału może wyświadczyć jeszcze większą usługę. Ludzi poważnie jej oddanych może ona przynajmniej o jeden krok posunąć ku inteligentnemu słuźeniu wyższym sprawom, czego nagrodą jest wolność moralna. Istnieje moralność, która nigdy nie pyta się rozumu: „dlaczego?“, gdy chodzi o ideał, według którego usiłuje żyć szlachetnie. A gdy spotykamy ludzi, którzy są tego przykładem, nazywamy ich wraz z Wordsworthem „niewolnikami“ obowiązku, nie odrzucając tej poniżającej nazwy ze względu na dostojność słuźby. Może ten termin jest nawet trafniejszy, niż się z pozoru wydaje. Są oni bowiem niewolnikami istotnie i pozostaną niewolnikami, dopóki racje uzasadniające pełnioną przez nich słuźbę będą dla nich niezbadane i niezrozumiałe. Jeśli bowiem rozum jest istotną cechą człowieka, to słuźba, nawet Bogu, jest tylko wznioślejszym rodzajem niewoli, o ile pozostawia ciemnym rozum tego, który ją pełni.

Wyzwolenie przynosi nam filozofja! Wszystkie szkoły etyczne (wyłączając intuicjonizm, który rezygnuje z wyjaśnień), usiłują wyjaśnić, dlaczego jesteśmy obowiązani żyć dla jakiegoś ideału? Rozwiązania są różne, ale cel jeden. Pytają one rozumu: „dlaczego?“, wierząc, że jakaś odpowiedź jest możliwa. A chociaż pewną jest rzeczą, że te odpowiedzi nie mogą dać pełnego zadowolenia, już choćby dlatego, że są tak rozbieżne, nie zmienia to faktu, że pomimo wszystkich dysonansów filozofja zbliża nas do tej rozumnej służby, do której muszą dojść niewolnicy obowiązku, jeśli mają zrzucić z siebie całkowicie liberję moralnej niewoli.

Nie znaczy to, aby nawet doskonała teoria ideału moralnego — gdyby taka rzecz była do pomyślenia — mogła sama przez się uczynić swych posiadaczy moralnie wolnymi. Oczywiście, że tak nie jest! Ludzie muszą w ciężkim trudzie całego życia zdobywać swą wolność moralną! Muszą uczynić się wolnymi w swych zwykłych postępkach, pożądaniach, myślach i uczuciach. Niejeden też człowiek prosty, niezdolny do teorii, wyrobił sobie w pocie czoła istotną wolność pomimo żelaznych barjer, których nie umiał ani zrozumieć, ani też zmienić.²⁰ Czyż trzeba dodawać, że tam, gdzie brakuje takiego dzieła moralnego, znajomość różnych teoryj obowiązku, w jakie obfituje filozofja, nie może przynieść żadnego pożytku?

Choćby jednak owo praktyczne dzieło moralne nie było tak świetne, teoria może okazać swą pomoc. Do niej to bowiem należy ostatnie słowo wyzwolenia. Nie chodzi tu oczywiście o wyzwolenie fałszywe, zrodzone z kaprysu, rozluźniająca naszą zależność od zwykłych obowiązków, lecz o to zupełnie inne wyzwolenie, które zwiększa posłuszeństwo względem obowiązków, czyniąc je świadomem, inteligentnem, rozumnem. Bez tego rozumna istota nie może osiągnąć doskonałej wolności.

²⁰ Por. str. 118—119.

I tu się jednak nie zatrzymamy. Wolno nam jeszcze żądać, żeby teoria ideału w dodatku przyczyniała się do przyspieszenia tempa moralnego życia. Zaryzykujemy twierdzenie, że filozofowie naogół nie doceniają tej sprawy. Wychodząc ze słusznego zresztą założenia, że filozofia nie ma tworzyć życia, ale poznawać życie, urobione przez inne czynniki, nie ma ustanawiać ideałów, lecz je objaśniać, dochodzą oni do wniosku, że teoria, jak powiedział Arystoteles, „nie nie porusza“. Nie można przypuszczać, powiada T. H. Greene, „żeby ktoś stał się lepszym człowiekiem dlatego, że jest zwolennikiem teorii utylitarystycznej“.²¹ Trudno się z takim sądem zgodzić, gdy się studjuje życiorysy wielkich głosicieli utylitaryzmu: jego twórcy Benthama, jego popularyzatora James'a Milla i Johna Milla, jego apostoła. Czy ci ludzie byliby się tak poświęcali dla dobra publicznego, gdyby nie mieli swej filozofji? Niepodobna tego twierdzić! Raczej wypada sądzić, jeśli życiorysy te mówią prawdę, że odkąd idea ludzkiego szczęścia wyrosła przed ich oczami, ogarniając coraz szersze horyzonty i wzbogacając się w szczegóły, pod jej wpływem rozpałała się w nich namiętna miłość dobra publicznego, która w inny sposób nie byłaby przeniknęła w tak obfitej mierze do ich życia. Podobnie ma się rzecz z samym Greene'm. Kto czytał jego „Prolegomena do Etyki“, musiał odczuć powściągnany zapach, bijący z tych stron; ci zaś, którzy go znali jako człowieka, pamiętają z pewnością jego ciche umiłowanie prawości, które świeciło poprzez charakter, wzdragający się przed zbyt łatwym wywnętrzaniem się. Odznaczał się temperamentem etycznym, nawykową tendencją moralną, żarliwością religijną. To niewątpliwe! Czy jednak nie było to w części przynajmniej owocem całożyciowych refleksyj nad moralnymi możliwościami i przeznaczeniem człowieka?

²¹ *Prolegomena to Ethics*, ks. IV, rozdz. III, str. 331. „Nie dała ona (teoria utylitaryzmu) ludziom żywszego odczucia obowiązku względem innych — żadna teoria nie może tego uczynić — etc.“

Nigdy bowiem nie należy zapominać, że kto szuka teorii swego ideału moralnego, ten dąży po ścieżce własnego badania w świat zagadnień dostojnych i trwałych. I dziwnemby było, żeby człowiek, który spędził długie godziny rozmyślań nad obowiązkiem, dobrem publicznem i napół ujawnionemi a napół ukrytymi możliwościami indywidualnego życia i patrzył na te sprawy — jak to powiedział Plato — „oczyma duszy“, nie stał się czemś więcej, niż tylko zinnym badaczem, za jakiego świat często chce mieć każdego teoretyka. Pragnie on dojść po własnej drodze do oglądania prawdy, gdy zaś rozmyśla w swych cichych i samotnych godzinach, to ogień w nim płonie.

Część IV.

Samorozwój i samokontrola.

Rozdział I.

Samorozwój.

Trudną jest rzeczą, jeśli nie niemożliwą, przeprowadzić wyraźną granicę między rozwojem i samorozwojem. Z jednej strony wszelki rozwój jest samorozwojem; z drugiej — to, co nazywamy samorozwojem, choćby nasze „ja“ zaznaczało swą odrębność jak najmocniej, zależy od wielu życiowych warunków, których ani nie stworzyliśmy sami, ani nawet czasami nie przyjmujemy z uznaniem.

Rozwój bywa samorozwojem w rozmaitem znaczeniu. Jest przedewszystkiem rozwojem własnej jaźni. Poprzez płynące lata jaźń dalekiej przyszłości cierpliwie czeka na nas, my zaś, gdy lata miną, mamy zgłosić do niej swe prawa i przywrzeć, jak do naszej własności. Czy to jest jaźń zgóry przeznaczona, nie będziemy się tu nad tem zastanawiali. Dość, że od najwcześniejszych dni mamy względem niej poczucie własności, które staje się coraz głębszem w miarę tego, jak życie posuwa się naprzód. Jaźń zrealizowana jest niewątpliwie w dużej mierze wytworem okoliczności, jednakże nie całkowicie. Przedewszystkiem bowiem istnieje rozwój, dokonywający się pod wpływem własnego ja. Nawet roślinka i pisklą mają coś w rodzaju własnego ja. Nie są bierne. Współpracują z naturą, której część stanowią, bo tkwi w nich ten pierwiastek roślinnego lub zwierzęcego życia, którego nie dało im otoczenie i dać nie może. To też od najwcześniejszych godzin życia reagują na podniety z tkwiącą w nich energją, która jest ich własnością. W daleko większym jeszcze stopniu dotyczy to człowieka. Człowiek, jak twier-

dzi Spinoza, „ma moc trwania w swym własnym bycie“.¹ Stąd, jeśli jego historia jest kroniką przystosowywania się wewnętrznych warunków do zewnętrznych, to jest to tylko jedno z dwu oblicz tej sprawy. Od początku przyrodzone wyposażenie sprawia, że człowiek przeciwstawia światu coś w rodzaju niezależnego życia; i to wewnętrzne życie staje się coraz to mocniejsze i stałsze, w miarę tego, jak wczesne skłonności odzywają się i organizują w ustalone stany pod wpływem różnych podnieć i nacisków wychowawczych. Jeszcze mocniejszą jednak i stałszą jest jaźń w dniu, kiedy jednostka wyzwolona od paska, na którym ją wiodzono, obiera sobie ideał, mający być odtąd jej moralnym przeznaczeniem, i zabiera się z pomocą własnego sądu praktycznego do wcielenia go w życie. Oczywiście, nieuniknioną jest rzeczą, że otoczenie w dalszym ciągu wywiera swój wpływ władczy, niekiedy tyrański, aż wreszcie sprowadzi godzinę fizycznej śmierci. Nie należy jednak zapominać, że nawet od najwcześniejszych dni bezpośrednio otoczenie jest częściowo tem, czem je uczyniła jednostka przez swoją własną współpracującą energję. I chociaż wobec wielkich, nieosobistych celów, dla których społeczeństwo pozyskuje dojrzałe życie i ciągnie je za sobą, jaźń zdaje się grać rolę bierną, to jednak tak nie jest, a przynajmniej tak być nie musi. Im dłużej bowiem człowiek żyje, tem wyraźniej uprzytamnia sobie, że wszystko, co myśli, mówi i czyni, nawet w chwilach największych poświęceń, nawet dążąc do celów najbardziej społecznych, jest ujawnianiem wobec świata tego wewnętrznego życia, o którym wie i czuje, że jest jego własne. Czyż Leibniz nie nazwał człowieka „monadą“, która choć odzwierciedla w myśli obszerny świat doświadczenia, jest jednak w rdzeniu swej istoty odosobniona nawet od najbliższych swoich towarzyszy?

¹ *Etyka*, Cz. III, Twierdzenie 6. „Każda rzecz tak dalece, jak jest sama w sobie, dąży do zachowania swego bytu“.

„Mamy zakątki w obrębie swoich dusz,
w których wszyscy jesteśmy odosobnieni“

powiada Wordsworth.² Słowa te są szczególnie trafne, gdy jaźń ogniskująca w sobie wszystkie nasze zainteresowania, będąca źródłem wszystkich naszych motywów i projektów, zostanie doprowadzona do pełnego uświadomienia sobie własnego rozwoju przez długie, różnorodne i refleksyjne zetknięcie z naturą i życiem.

Rozwój zarówno jaźni, jak przez jaźń, jest zatem procesem, ciągnącym się przez cały bieg moralnego wzrostu i wychowania. Poza tem niech nam wolno będzie mówić o samorozwoju w ciaśniejszem, bardziej określonym, jednak niemniej pożytecznem znaczeniu tego słowa. W tym sensie samorozwój ma miejsce wtedy, gdy jednostka usiłuje regulować swe życie przez własny sąd i w myśl ideału moralnego, który świadomie przyjęła za własny.

Daje to pod wielu względami wyzwolenie. Kto bowiem doszedł już do tego, że rządzi się swoim własnym sądem, ten przez to samo wyrósł z pod opieki; kto zaś ma swój ideał, ten chce wszystko oceniać według miary innej i lepszej od przyjętej w świecie. To go napełnia jednocześnie poczuciem godności własnej i odpowiedzialności. Nie musi się to jednak łączyć z buntem przeciw społeczeństwu, ani też z przewrotem w treści jego życia. Pogoń za nowością nie stanowi bynajmniej istoty samorozwoju. Wiele jest w każdym razie argumentów przemawiających przeciwko zrywaniu z tradycjami przeszłości. Będą tu należały głosy ludzi przywiązanych do ustalonych form życia. Ci będą twierdzili, że wydeptane drogi świata są zarazem drogami mądrości. Nauczyciele religji powiedzą, iż Stwórca człowieka zgóry wyznaczył jego rolę w porządku istnienia.³ Filozofowie wreszcie wskażą, że speł-

² *Prelude*, ks. III.

³ Burke, *Dzieła*, t. III, str. 79. „Przypuszczam, że Stwórca naszej istoty wyznaczył nam miejsce w porządku istnienia i że rozmięściwszy nas i zarządziwszy nami zgodnie ze swą boską taktyką, nie we-

niając obowiązki wynikające z naszego stanowiska, wiążemy się z naszymi zadaniami etycznymi.⁴ Nikt nie zaprzeczy, że takie rozważania mają rozumną podstawę. Gdy one przeważą, jednostka zaznaczy swą odrębność, przyjmując z rozwagą i z wolnego wyboru niejeden obowiązek, narzucony jej zgóry przez społeczeństwo.

Jednak nawet i w takim wypadku samorozwój pociągnie za sobą pewną przemianę. Wolny bowiem wybór, zgodnie z przyjętym ideałem, sprawi, że najpospolitszy obowiązek wystąpi w zmienionej postaci. Przystanie być odosobnionym, będzie stanowił jakby zdanie w kontekście, część planu, element w całości, ścieżkę wiodącą do celu. Wyniki nie każą na siebie długo czekać. Każdy obowiązek nabierze nowego znaczenia, jeden większego, drugi mniejszego niż przedtem. Nigdy już jednak nie będzie on miał, jak dawniej, charakteru odosobnionej powinności, narzuconej przez autorytet lub przykład. Z postępem zaś moralnego rozwoju każdy obowiązek będzie pokolei wrastał w ten ideał moralny, z którym jaźń nasza sprzęgła swój los, będzie też oceniany według tego, co przynosi Celowi moralnemu.⁵

Samorozwój nie zatrzymuje się jednak w tem miejscu. I tu spotykamy się ze szczęśliwym paradoksem: im bardziej człowiek zrasta się duchowo ze swoim ideałem, tem jaśniej poczyną zdawać sobie sprawę, że ideał wybiega poza jego zasięg. Nie można bowiem przypuścić, aby człowiek posuwał się naprzód w swoim wzroście moralnym, a ideał, który go objął w posiadanie, nie posuwał się podobnie. Dzieje się wręcz przeciwnie. Wraz z rozwojem rozumu rośnie także odkrywająca się przed nim idea prawa moralnego, stając się o wiele większym, o wiele potęż-

dług naszej, lecz według swojej woli, przez to rozmieszczenie zniewolił nas do odgrywania roli, zależnej od wyznaczonego nam miejsca“.

⁴ Por. F. H. Bradley, *Ethical Studies*, Szkic V: „Moje stanowisko i jego obowiązki“. „Wiara w ten rzeczywisty organizm moralny (t. j. społeczeństwo) jest jednym z rozwiązań zadań etycznych“, str. 169.

⁵ Por. str. 227—228.

niejszym faktem, niż on to sobie z początku przedstawiał. Postępujące naprzód poznanie dążeń moralnych, objawiających się w ciężkich zmaganiach się ludzi i instytucyj, napełniają rozum ludzki przekonaniem, że najszczytniejsze ideały jeszcze silniej przemawiają potęgą zawartych w nich dążeń, niż przez to, co już zostało ujęte w definicje i formuły. Nie też dziwnego, że ideały rosną o wiele szybciej od życia moralnego, które mimo największych wysiłków może podążać za nimi tylko zdaleka. Najbardziej przytem nieosiągalnymi nie są bynajmniej ideały lat młodzieńczych. „Udało się zrobić rzecz małą, pozostała do zrobienia rzecz wielka“ — nie jest to myśl młodzieńcza! To słowa tych, którzy, dokonawszy jak mogli najwięcej, uważają się jednak za nieużyteczne sługi, doświadczenie bowiem, wiedza i rozmyślanie dojrzałych lat odsłoniły przed nimi właśnie szerokie perspektywy moralnych możliwości.

To też, przyznając, że ideały wieku dojrzałego są trzeźwiejsze od ideałów poranku życia, ani myślimy godzić się na to, jakoby miały być od nich niższe. Ich trzeźwość polega na zrozumieniu, że realizować je trzeba długo i stopniowo, na jaśniejszem ujęciu ich stosunku do rzeczywistości, na zdawaniu sobie sprawy, jak trudno je wprowadzić w czyn, chociażby tylko częściowo, wreszcie na przywiązywaniu koniecznej wagi do takich zalet, jak cierpliwość, tolerancja, samozaparcie, pokora, zdrowy rozsądek — zbyt prozaicznych dla romantycznych wizyj młodości. Byłoby to istotnie złą wróżbą dla najwyższego prawa moralnego, gdyby ideały tych, którzy przeżyli długie lata w jego służbie, nie przewyższały pierwszych marzeń nie-doświadczonego entuzjazmu. Jest to fakt godny zastanowienia. Napawa on bowiem wiarą w samorozwój jednostki, któremu nie możemy położyć żadnych granic. „To uczynię“ — „to uczynię jest moim obowiązkiem“ — w tem przeciwstawieniu leży nerw moralnego postępu. Jest to kontrast płodny w dobre uczynki; jeszcze płodniejszy

w zamiary, które, choć dobre, nigdy nie dają pełnego zadowolenia.

Takie zamiary mogą znaleźć ujście w jednym z następujących dwóch kierunków.

Mogą się wyrazić w dążeniu (jak się to mówi) do pozostawienia świata lepszym, niż go się zastało. Tego rodzaju ludzie będą usiłowali rozwinąć w sobie przede wszystkim jaźń społeczną, jaźń, która sprzęgła swój los z mniejszym lub większym kręgiem celów i interesów społecznych; ich najdoskonalszem narzędziem będzie ów zdrowy sąd, który uznaliśmy za szczytową cnotę człowieka praktycznego. W najlepszym swym okresie są to typy, które znajdują siebie właśnie wtedy, kiedy się całkowicie zatracają w jakiejś sprawie. Będą to ludzie, których nazywamy pozbawionymi wszelkiego egoizmu; do tego stopnia zespolili oni swą jaźń z samozaparciem. Wieleż pociechy jest w myśli, iż każde nowe poświęcenie tych ludzi potęguje wartość ich jaźni, z której oni tak bez szemrania czynią nieustanną ofiarę.⁶ Tacy bywają ludzie świata w najlepszym znaczeniu tego słowa, ludzie czynu, rozwijający się nieustannie, choć do tego stopnia oddani różnym zadaniom i sprawom, że nie mają czasu zastanowić się, iż jest w nich jaźń, którąby mieli rozwijać.

Ta linja postępu moralnego ma jednak pewne granice. A mianowicie, w wysoko rozwiniętem i zorganizowanem społeczeństwie jednostka mało ma widoków kroczenia po nieudeptanych ścieżkach. Drogi postępowania olbrzymiej większości ciągną się po ubitym gościńcu. W rezultacie zewnętrzne wykonanie w małym już tylko stopniu może odzwierciedlać różnicę między człowiekiem a człowiekiem. Nietrudno byłoby znaleźć bliskich sąsiadów, których życie na pierwszy rzut oka jest zupełnie podobne, choć sami

⁶ Porównaj uwagę Arystotelesa, że nawet poświęcając się dla przyjaciela, człowiek większe dobro przeznacza dla siebie. *Etyka*, ks. IX, rozdz. VIII, w. 9—11.

oni znajdują się na przeciwległych biegunach, jeśli chodzi o rozwój moralny.

Dlatego to samorozwój może znaleźć inną ścieżkę dla kultywowania tego wewnętrznego ducha, tej czystości i wzniosłości pobudek, tej szczerości usiłowań, jakie znajdujemy w najwyższym stopniu w żywotach świętych. Dźwignią będzie tutaj nietyle praktyczna mądrość, co przyzwyczajenie do badania i osądzania samego siebie.

Moraliści mający silną predylekcję do czynu z obawą i nieufnością patrzą na ten sposób wewnętrznego doskonalenia się. W obawie, aby to nie doprowadziło do prostostu sumienności i chorobliwego przewrażliwienia, przestrzegają oni ludzi — częstokroć dość niepotrzebnie — przed wszelkiem analizowaniem samego siebie, nawołując natomiast do skierowania się z zupełnym zapomnieniem o sobie na praktyczne zadania życia.⁷ Jest w tem dużo słuszności. Istnieje niewątpliwie mogąca zatruć życie nadwrażliwość sumienia. Podtrzymują ją: „melancholiczny“ temperament, sentymentalny przykład, złudzenia introspekcji, pewne postaci religijnego przeczulenia z ich niepokojem o „duszę“. W każdym wypadku nadaje ona fałszywy kierunek życiu, zwracając oczy ku wnętrzu w wieku, kiedy tak bardzo potrzeba zdrowego poglądu na świat zewnętrzny i dążenia do zewnętrznych celów z całym przejęciem się i zapałem. Tego rodzaju grzebanie w sobie miał, jak się zdaje, na myśli Carlyle, gdy zaklinał, żebyśmy nie starali się poznawać samych siebie. W pewnym sensie możemy pisać się na tę przestrożę. Uciekająca bowiem od świata i zamykająca się w sobie jaźń niezawsze jest warta tego, aby się w nią wgłębiać. Sumienie jej jest przesadnie skrupulatne właśnie dlatego, że jej instynkty i postanowienia są słabe.

Nie każde jednak zgłębianie siebie jest tak jałowe. Zgódźmy się na to, że jest to prawem rozwoju, iż ludzie

⁷ Carlyle, *Sartor Resartus*, ks. II, rozdz. VII, str. 159. Por. passim Szkie o charakterystyce.

najpierw działają, a dopiero potem zastanawiają się. Na szczęście, nie czyni to jednak refleksji ani o jotę mniej ludzką i niezbędną. Nikt chyba nie zaprzeczy, że uświadomienie sobie swoich błędów jest pierwszym krokiem ku poprawie. A bez zgłębiania samych siebie jakbyśmy mogli uniknąć tego, co sam Carlyle nazywa najgorszą wadą, a co polega na niepoczuciu się do niczego? Nie jest, być może, równie niezbędne, żebyśmy zdawali sobie sprawę ze swych cnót. I rzeczywiście, ten sam wielki apostoł nieświadomości, wierny swemu przekonaniu, że dobroć jest tajemnicą dla siebie samej, głosi, że nigdy nie jesteśmy i nie powinniśmy być świadomi swojej prawości.⁸ Nasuwa się tu pytanie, w jaki to sposób oko świadomości, tak przenikliwie rozpoznające nasze słabości, moglibyśmy uczynić ślepem na cnoty? Ważniejszą jeszcze sprawą jest, że cała ta doktryna Carlyle'a wynika z mylnego poglądu na to, czym jest badanie samego siebie. Wydaje się prowadzać je do jałowej introspekcji, wyszukującej pobudki do czynów. A przecież rachunek sumienia świętego jest zupełnie czemś innym! Rzuca on swe bezlitosne światło na motywy jedynie w tym celu, aby porównać to, co dusza rzeczywiście osiągnęła, z ideałem moralnym i nabrać przez to sił do nowych postanowień i wzmoczonych wysiłków. Niektórzy błędnie rozumieją ludzi świętych i sumiennych, wyrządzając im poważną krzywdę. Ich przyznawanie się do ułomności biorą oni za przyznawanie się do nikiżemności, gdy naprawdę ma ono tylko ten sens, że ich uchybienia urastają w ich oczach, ponieważ widzą je na tle wyjątkowej wzniosłości swego władczego ideału.

Samorozwój opierający się na wnikaniu w siebie i osądzaniu siebie nie znajduje się również w sprzeczności z prawem, że charakter wzbogaca się i rozwija jedynie przez zetknięcie się z doświadczeniem. Kontakt z życiem musi istnieć. Zrywający ze swym rodzajem samotnik aż

⁸ Z uznaniem cytuje powiedzenie: „Jesteśmy zawsze świadomi złego postępowania, że postępujemy dobrze — nigdy“.

nazbyt łatwo może zmarnować swe życie w daremnym wysiłku, zmierzającym do uczynienia go swoim monopolem. Ów kontakt ze światem nie musi jednak zachodzić na dużej powierzchni, aby dostarczyć dość sposobności do rozwoju. Mówi się niekiedy, nawet w obliczu jaskrawych nierówności losu, że według nieuprzedzonego i krytycznego poglądu szczęście jest o wiele równomierniej rozsiane na wszystkich stanowiskach w społeczeństwie, niż chcieliby w nas wmówić ekonomiści i politycy. Jeżeli oceniamy szczęście z punktu widzenia charakteru moralnego, nie mamy powodu o tem wątpić. Ciasny horyzont życia ubożego w zdarzenia nie stanowi tu żadnej przeszkody. Trzeźwość bowiem sądu, tęgość zamierzenia, czystość intuicji, głębia i szczerłość uczucia, wytrwałość dążenia, jednym słowem, wszystko, co czyni działanie moralnem, nie zaś ekonomicznem lub politycznem, może się w niem znajdować w równie pełnej mierze, jak w czynach, podziwianych przez świat cały. Jest to niewątpliwie prawda ogólnie znana, co jednak nie zmniejsza jej znaczenia. Czyż bowiem mogłaby ona tak długo być komunalem, gdyby jej nie potwierdzało powszechne doświadczenie?

Rozdział II.

Panowanie nad sobą.

Wszelki rozwój, jak to już widzieliśmy, zawiera w sobie czynniki przymusu. Zasada ta utrzymuje się również wtedy, gdy rozwój staje się samorozwojem i gdy ten, kto wywiera przymus, i ten, kto mu ulega, są jedną osobą. Nie zapobiegnie temu najstaranniejsze nawet wychowanie od wczesnego dzieciństwa. Może ono co najwyżej przygotować wychowanka do tego pozornie nigdy nie kończącego się konfliktu, w którym dusza jest rozdzielona przeciw samej sobie. Jest tak nietylko dlatego, że ludzie czynią to, czego czynić nie powinni. Zło leży głębiej: w osłabieniu i wypaczeniu woli! Niema dnia, niema godziny, aby ludzi

nie nawiedzały uczucia, pragnienia, myśli, od których radziby być wolni. Najlepsi nawet nie są zabezpieczeni od tych nieproszonych gości. I nawet święty, jeśli wierzyć jego własnym wyznaniom, znosi do końca życia udręczenia i upokorzenia na skutek ich upartego odradzania się.

Jednak samo pojawianie się takich przeżyć w świadomości nie powinno być odczuwane jako klęska. Myśli te przychodzą nieproszone i niepożądane, wdzierają się nawet w najlepszych naszych chwilach tak nagle i natarczywie, jakby naprawdę były zasadzką jakiegoś złego ducha, czemś złem. Klęską jest dopiero ich obecność bez stanowczego wysiłku z naszej strony, by się od nich uwolnić. Otóż musimy się obecnie zająć pytaniem, jak to osiągnąć.

Dobrze znanym i prostym środkiem jest nie dopuścić, aby się wyraziły w czynie. Nasze uczucia i pożądania, jak słusznie powiedziano, żywią się swoim własnym wyrazem. Tak jest z dzikusiem, który potrząsa pałką, żeby się doprowadzić do szału morderczego. Tak czyni dewot, szukający w obrzędach płomienia, któryby rozżarzył jego religijne uczucia. Stąd wynika sposób osłabiania namiętności przez niedopuszczanie jej do wyrażenia się. Czyż nie wiemy, że nad burzą uczuć można zapanować, o ile się zapobiegnie, aby nie padło pierwsze słowo, aby pierwszy gest nie został zrobiony? Powszechnie też jest spostrzeżenie, że osoby, które zaczynają być stoikami z zachowania się, zostają zczasem stoikami w rzeczywistości.

Ten sposób postępowania ma jednak poważne braki. Jednym z nich jest to, że może być interpretowany zbyt powierzchownie. Gdy człowiek niemal się dusi od dławionej wściekłości, lub gdy mu serce zamiera z przerażenia, nie powinien sobie pochlebiać, choćby jego zewnętrzne zachowanie się było jak najbardziej spokojne, że rzeczywiście nie dopuścił do uzewnętrznienia się swojej namiętności. Niewiele osiągniemy, tłumiąc jawne ruchy, jeżeli nie opanujemy tych ukrytych przejawów podniecenia.

Jeszcze poważniejsza wada wynika z faktu, że potężne

namiętności znajdują, jak się zdaje, ukojenie, wybuchając nazewnątrz. „Ona musi płakać, inaczej umrze“. Albo też to pospolite powiedzenie: „Powiedz wreszcie, o co ci chodzi, i niech się to raz już skończy“. Tak mówimy nieraz do ludzi, chowających gniew i długo żywiących urazy. Jest w tem pewna doza słuszności. Ukojenie namiętności przez jej wyładowanie się opiera się na fakcie, że wszystkie nasze uczucia i pożądanja zdają się słabnąć i kończyć się, gdy spełniły swą rolę. Zdawałoby się, że żywią się swem własnem wyrażaniem się. Istotnie tak jest, póki trwają, lecz to się nie ciągnie bez końca. Gdy swobodnie dobiegną do naturalnego ujścia, słabną i zamierają, a ich ofiara staje się znów wolnym człowiekiem.

Jest to tak wyraźną prawdą, że możnaby uznać za dobry sposób ucieczki przed wściekłością... jej otwarte wyładowanie, a — zahamowania złośliwości... mówienie rzeczy złośliwych. Niestety, sposób ten ma fatalne wady. Wszelka namiętność podlega prawu przyzwyczajenia. Stosowne uzewnętrznienie się przynosi ulgę, to prawda, ale jednocześnie wytwarza predyspozycję do szukania podobnej ulgi, gdy namiętność się powtórzy. Eksplozywne typy wybuchają przy coraz to słabszych podniętach. Dodajmy do tego, że uczucia i pożądanja skutkiem wypowiedzenia się zapadają w pamięć. Gdy im się odmówi wyrażenia się, to wcześniej lub później — zwłaszcza wzruszenia — przemijają; natomiast gdy im się da możność uzewnętrznienia się, oblekają się czyto w słowa, czy w co innego, i stają się wspomnieniami, których nie możemy już zatrzeć. Instynktownie bowiem wszystkie silne uczucia, radosne czy smutne, przyjemne czy bolesne, wyrażają się w sposób ryjący się w pamięci i wszelkie otwarte uzewnętrznienie się działa w tym kierunku. W ten sposób, chociaż namiętność sama przeminie, pozostaje pamiętne jej uzewnętrznienie, którem będzie się karmić, ilekroć odżyje. Należy też wziąć pod uwagę, że wyładowywanie wzruszeń nazewnątrz ma tę brzydką stronę, iż prowadzi

do wylewania ich na naszych bliźnich. Z tego punktu widzenia najstuszniej byłoby zalecać, abyśmy sami wchłaniali nasz własny dym. Wypuścić zatrutą strzałę i nazywać to pokojem na tej zasadzie, że pozbyliśmy się w ten sposób ostatniego pocisku, nie jest rzeczą moralną. To jedno wystarcza, żeby przechylić szalę na korzyść powściągliwości.

Przepis to jednak zbyt prosty. Powściąg wymaga opanowania tych nerwowych i mięśniowych ruchów, które trzeba powstrzymać. A można przyjąć za rzecz pewną (jakkolwiek się przedstawia niejasny stosunek między stanami psychicznymi i ruchami ciała), że nikt nie zdoła opanować się skutecznie, kto nie potrafi wywoływać w sobie powodujących opanowanie uczuć, pragnień i myśli. Dlatego też i my musimy cofnąć się do zagadnienia wcześniejszego. Godząc się na to, że wrogim i potępianym stanom nie należy dawać możności uzewnętrzniania się, musimy zapytać, w jaki sposób dałoby się powodować w duszy obecność wymaganych czynników powściągu?

Nie mamy potrzeby zastanawiać się tu nad tem, czy w wypadkach, kiedy jakaś dobra namiętność wypiera złą, lub odwrotnie — namiętność oddziałuje bezpośrednio na namiętność (akcja w takim razie byłaby czysto psychiczna), czy też to wzajemne oddziaływanie na siebie namiętności dokonywa się zawsze u istoty psycho-fizycznej, jaką jest człowiek, za pośrednictwem ruchów ciała. Ważną praktycznie sprawą jest to, że akt powściągu wymaga obecności namiętności przeciwnej. Przyjąwszy to, możemy odrazu przejść do dalszego twierdzenia, iż warunkiem rozstrzygającym jest, żeby ta przeciwna namiętność nie była tylko negatywną, to znaczy tylko pragnieniem stłumienia, choćby bardzo silnem. Licha to bowiem strategia wypowiedzieć złym uczuciom lub popędowi wojnę, polegającą tylko na represji. Mogliśmy się przekonać, że tak jest, gdy chodzi o wychowawcze powściągnięcie innych.⁹

⁹ Por. Cz. I, rozdz. VI.

Zupełnie tak samo rzecz się ma, gdy chodzi o panowanie nad sobą. Stłumić nasze złe skłonności potrafimy tylko, kultywując w sobie inne, pozytywnie dobre. Nie wystarczy nie nawiązywać naszych uchybień albo naszych wad doskonałą nienawiścią. Musimy kochać coś innego! Innymi słowy, musimy wpuścić do naszego umysłu i naszego serca stałych mieszkańców. Wówczas niepożądani intruzi, nie mogąc się osiedlić, pomęczą nas jeszcze przez pewien czas, aby wkońcu całkowicie nas opuścić.

Wynik ten można osiągnąć różnymi drogami. Jedną z nich jest uprawianie higieny moralnej¹⁰ przez przebywanie w ośrodkach zdrowia moralnego. Istnieją koła towarzyskie, w których niema miejsca dla uczuć złośliwych; są energiczne dążenia, niszczące przez zetknięcie z szerszym życiem małostkową gniewliwość; jest życie wśród przyrody, pełne pogody i słońca, w którym ponura albo brudna myśl nie może się zagnieździć. Pokazał nam Browning, jak nawet występki i zbrodnie ulegają samemu widokowi niewinności.¹¹

Skuteczność tego środka opiera się na właściwości naszych uczuć i pożądań, mającej pod względem wychowawczym pierwszorzędne znaczenie. Polega ona na tem, że niezawsze panują one nad nami z jednaką mocą. Rosną w potęgę, to znów maleją. Nasz sposób postępowania jest przeto jasno wytknięty: należy korzystać z przerw pomiędzy silnymi wzruszeniami.¹² W godzinę przyływu możemy zrobić niewiele, ale zato powinniśmy chwycać wrogię namiętności w czasie odpływu. Wtedy to „higiena moralna“ może wypełnić swoje zadanie.

Powodzenie nasze będzie, oczywiście, zależało od na-

¹⁰ Por. Höffding, *Psychologja w zarysie*, przekł. A. Mahrburga, Warszawa 1911, str. 502. „Istnieje higiena psychiczna, zarówno jak i cielesna“.

¹¹ Por. *Pippa Passes*.

¹² Por. Höffding. *Psychologja w zarysie*, str. 503. „Żeby osiągnąć panowanie nad życiem uczuciowym, należy wyzyskiwać przerwy pomiędzy silnymi wznieceniami uczucia“.

szej przeszłości. Jeśli zwykle żyliśmy w owych ośrodkach zdrowia moralnego, to nie zawiodą nas one, gdy się tam zwrócimy w godzinie potrzeby, a nasze złe humory i złe podniety, pochwycone znienacka, przynajmniej na pewien czas nas opuszczą. W tem właśnie tkwi nemezis przedwczesnie zakończonego rozwoju. Wynikająca stąd ciasnota poglądów i zainteresowań jest czemś gorszem, niż tylko przerwaniem rozwoju. Zamyka ona dostęp uzdrawiającym wpływom przyrody i życia. Jakże jest inaczej, gdy szlachetne wychowanie wniosło do naszego życia wiele zdrowych zainteresowań! Niewiele nam wtedy pozostaje do zrobienia. Wystarczy ulubione miejsce pobytu, wypróbowany przyjaciel, przyjemna praca, ukochana książka, a może nawet wybrana rozrywka. Mądra bierność dokona reszty.

Istnieje jednak, na szczęście, inna jeszcze droga, większych wymagająca wysiłków. Widzieliśmy (str. 41), że cechą natury ludzkiej jest, iż uczucie i pożądanie nie są w nim ślepe, lecz przeciwnie, świadomie związane ze swemi przedmiotami i celami. To właśnie jest tajemnicą straszliwej lub śmiesznej tyranji namiętności. Czynią nas one niewolnikami, ponieważ ich żywo odczuwane przedmioty opanowują nasz umysł. Tak się dzieje z ambicją, miłością, nienawiścią, zazdrością, strachem, nadzieją, rozpaczą, jednym słowem, ze wszystkimi namiętnościami. Często też namiętność jest władczą właśnie w tej mierze, w jakiej jej przedmiot jest złudny. Oto człowiek do tego stopnia opanowany przez złego ducha zemsty, że jego najcierwliwsi doradcy z rozpaczyny przestają do niego mówić. A dlaczego? Bo obraz wroga, wyobrażonej krzywdy, upragnionej zemsty tak napełnia jego wyobraźnię, że nie może myśleć ani marzyć o niczem innym. Życie, objawienie boże skurczyło się do rozmiarów marnego melodramatu wobec lichej zemsty osobistej. Oto znów inny człowiek, pogrążony w rozpaczyny. Przyczyną jest to, że obraz nieszczęścia, które ma go spotkać w przewidywanej przyszłości, tak owładnął jego umysłem, że już zrodził to cierpienie, na które czeka

z przerażeniem. Zbytecznym byłoby mnożyć przykłady. Niema w budzącym zgrozę i litość spisie namiętności ani jednej, któraby nie karmiła się w podobny sposób swoim przedmiotem. Człowiek zaś, dopóki rości sobie prawo do niebezpiecznej prerogatywy myślenia, a zwłaszcza myślenia zapomocą obrazów, nie może uniknąć tej groźnej niewoli. Lecz istnieje środek zapobiegawczy! Jest to potrzykroć szczęśliwa okoliczność, że nasze namiętności w taki sposób żywią się swymi przedmiotami; możemy bowiem zaatakować je poprzez ich przedmioty, albo innymi słowy, wyzwolić się od namiętności, pozbawiając jej przedmiot uzurpowanej władzy. Nie łudźmy się jednak, żeby to się dało osiągnąć prosto, przez usunięcie przedmiotu z naszych myśli. „Staraj się o tem nie myśleć“ — pospolita to wskazówka życzliwych, lecz lichych doradców; takich, co to skorzy są do napomnień, ale nie umieją wskazać skutecznych środków. Niechby raczyli powiedzieć, jak to zrobić!

Tutaj właśnie Spinoza podał miotanemu przez namiętność świata dobrze znany sposób wyzwolenia. Przekonany, podobnie jak stoicy, że despotyzm namiętności polega na złudnej doskonałości, w jaką wyobraźnia odziewa ich przedmioty, każe nam wziąć się do pracy, żeby rozwiązać tę zniewalającą złudę. Zaleca, mianowicie, dochodzić do poznania, czem naprawdę jest przedmiot namiętności, widziany w beznamiętym świetle rozumu. „Wzruszenie, które jest stanem biernym“ — głosi jego pamiętny aforyzm — „przestaje być biernym, skoro tylko urabiamy o niem ideję jasną i wyraźną“.¹³ Chcąc zdać sobie sprawę, jak słuszna jest ta głęboka uwaga, wystarczy wziąć pod uwagę którąkolwiek namiętność, np. zemstę, miłość, czy ambicję, a następnie postawić dwa następujące pytania: czem ona była w owej burzliwej godzinie, gdy nas tak opanowała, że stała się jedyną treścią życia, jedyną sprawą, zasłaniającą nam resztę świata? — czem zaś jest teraz — teraz, gdy z latami przysparzającymi rozumu przejrzelismy,

¹³ Spinoza, *Etyka*, Cz. V, Twierdzenie 3.

jak ograniczonym, być może nawet marnym, był przedmiot, który jaśniał tak szeroko, tak nadzwyczajnie szeroko, w świecie, zawierającym tyle innych rzeczy wartych życia i zachodu? Wystarczy zastanowić się nad temi dwoma pytaniami, aby zrozumieć, dlaczego to wysiłek, prowadzący do poznania przedmiotu namiętności i sprowadzenia na tej zasadzie jego znaczenia w kontekście doświadczenia do właściwej miary, musi go z konieczności uczynić zupełnie niepodobnym do tego, czem się wydawał w dniach spowodowanej przez namiętność niewiedzy. Wraz ze zmienianiem się w ten sposób przedmiotu, z jego kurczeniem się do właściwych granic, musi się również niewątpliwie zmniejszać i jego wpływ na nasze uczucia i pożądanja. Ostateczny wynik będzie różny u różnych typów. Może on polegać na złagodzeniu rozpacz, pychy, złego humoru lub melancholji.¹⁴ W każdym razie nastąpi opanowanie namiętności.

Jest to jednak rada raczej dla filozofów, lub w każdym razie dla tej mniejszości, która unie łączyć postanowienie i zdolność myślenia o swych doświadczeniach z gotowością do ich rozumienia. Dla większości ludzi odpowiedniejszy będzie sposób, polegający poprostu na tem, żeby opanowywać swą namiętność przez myślenie o czem innem. To coś innego nie musi być bynajmniej jakąś poważną sprawą. Zdarza się niekiedy, że najpospolitsze myśli mogą tak się zakorzeniać i tak sugestjonować, iż stają się skuteczniejszymi sprzymierzeńcami od bardziej imponujących i pretensjonalnych środków. Dlatego to sport albo rozrywka niejednego już w krótkim czasie wyzwoliły od trosk i zmartwień, które nie chciały ustąpić nawet wobec pociechy religijnej. Ścisłe biorąc, świadczy to o błahości natury ludzkiej, zarazem jednak jest dobrym przykładem ekspulsywnej potęgi myśli. Niech tylko jakieś przedstawienie wplecie się w tkaninę naszego życia, a możemy być pewni jego wpływu. Ktoś może być zniechęcony i rozgoryczony;

¹⁴ Por. Höffding, *Psychologja w zarysie*, str. 504.

a jednak wystarczy mu wspomnieć o budzącej nadzieje przyszłości jego syna lub przyjaciela, a rozgoryczenie ustąpi; albo może pałać żądzą zemsty, dopóki się nie odwróci jego myśli od doznanych niepowodzeń i przykrości ku innym sprawom, dla których żyć warto. I tak zawsze! Zwyciężyć może zarówno poważne, jak błahe przedstawienie. Bo też o zwycięstwie rozstrzygają, jeśli wolno tak się wyrazić, nie osobiste zalety przedstawienia, lecz jego sprzymierzenie się w przeszłości z licznym gronem towarzyszy, którzy na sygnał z jego strony tłumnie się zjawiają. Można też żywić nadzieję, że niepożądane myśli, najczęściej odosobnione i ubogie w przymierza, nie będą długo dotrzymywać placu tej zwartej falandze.

Zachodzą jednak pod tym względem wielkie różnice między człowiekiem a człowiekiem. Są ludzie, u których w ciągu całego życia zdołają się ustalić zaledwie jedna lub dwie prawdziwie sugestyjne myśli praktyczne. Jeśli te ich zawiodą, są zgubieni. Inni znów są wrażliwi na setki myśli. Ci, doznawszy zawodu w jednej dziedzinie, zwracają się raźnie ku innej. Skutkiem tego trudno sobie wyobrazić, aby tacy ludzie mogli być długo zdani na łaskę niepożądanych myśli. Jednak i oni mają często do zwalczania pewną trudność: — trudność pierwszego kroku. Najzdrowsze nawet natury ulegają bowiem czasami złowrogiej tyranji t. zw. „natrętnych myśli“. Jakieś poczucie krzywdy, zmartwienie, pokusa osiadają na dnie duszy i uparcie się trzymają. Rozporządzamy środkiem zaradczym i zdajemy sobie z tego sprawę, że go posiadamy. A jednak czasem wydaje się, że on w dziwny jakiś sposób utracił swą moc i stał się niezdolny do wyrugowania niepożądanego intruza.

Jednak i z tej sytuacji jest wyjście. Nawet bowiem taka „myśl natrętna“ nie trwa stale, lecz ma przerwy, podobnie jak nasze uczucia (choć nie w tym stopniu). Innymi słowy, te myśli niezawsze panują nad nami z równą potęgą. I to jest niewątpliwie sprzyjająca okoliczność.

W chwilach przerwy powinniśmy się zdobywać na wysiłki i szukać dokoła siebie jakiejś myśli współzawodniczącej, związanej ścisłym sojuszem z systemem wielkich celów i zainteresowań. A znalazłszy taką myśl, powinniśmy na nią natychmiast zwrócić najwyższy wysiłek ześrodkowanej uwagi. I oto wszystko, co zrobić możemy. Sugestia i asocjacja myślowa muszą dokonać reszty. A zrobią swoje, jeśli w chwili, gdy znieawidzona zmora znów zacznie okazywać swą przemoc, drogę jej zastąpi dobrze powiązany system przedstawień, uczuć i bodźców, dość mocny, żeby się jej oprzeć. W ten sposób niejedną już zły cel został zniweczony, zdławiona niejedna pokusa, niejedno długotrwałe zmartwienie straciło swój wpływ niepożądany.

Na szczęście nasze trudności rzadko bywają tak wielkie. Podleganie „myśli natrętnej“ jest raczej wyjątkiem. W większości wypadków przechodzące przez umysł myśli praktyczne są liczne i zmienne. Dobre i złe, rubaszne i dostojne, wesołe i smutne — przechodzą wielobarwnym pochodem bez końca. Innymi słowy, jest w czem wybierać. Dzięki temu myśl jakaś, pochwycona w przelocie, może przy stanowczym ześrodkowaniu na niej uwagi urosnąć i zgromadzić wokół siebie dość mocnych sojuszników, aby stoczyć bój o cytadelę.

W sprawie tu poruszonej psychologowie woli różnią się między sobą zasadniczo. Niektórzy, pozostając pod wrażeniem tego napięcia, walki, wysiłku, które zauważamy wszyscy, gdy np. usiłujemy w obliczu potężnej pokusy utrzymać przeciwdziałające przedstawienie w ognisku świadomości, widzą w tem ześrodkowaniu uwagi objaw „siły duchowej“ w jednostce.¹⁵ Inni twierdzą uporczywie, i może nawet słusznie, że wysiłek uwagi, jakkolwiek intensywny, musi mieć przyczynę i usiłują ją znaleźć w napięciu, powstającym wówczas, gdy dwa współzawodniczące przedstawienia albo dwa systemy przedsta-

¹⁵ Por. J a m e s, *Principles of Psychology*, t. I, rozdz. XI, str. 453.

wień walczą o panowanie nad duszą.¹⁶ Ta różnica poglądów ma znaczenie zarówno dla psychologii, jak dla pedagogiki. Byłoby to, rzeczywiście, dla nas oparciem, gdybyśmy mogli wierzyć, że mamy do swego rozporządzenia pewien zasób „siły duchowej“ i że od naszej „wolnej woli“ zależy użyć jej w krytycznych chwilach, gdy się wahamy, czy myśl, mająca skupić na sobie uwagę, będzie pierwszym krokiem w górę ku moralnemu zwycięstwu, czy też pierwszym krokiem w dół, ku moralnemu upadkowi. Roztrzaskanie tak złożonego zagadnienia nie mieści się jednak w granicach, któreśmy tu sobie zakreśliли. Wystarczy powiedzieć, iż naogół jest zgoda na to, że jakiegokolwiek byłyby w umyśle poprzedniki tego pierwszego kroku, jego następniki zależą nietyle od tego, co możemy uczynić w chwilach, gdy świadomie dążymy do zapanowania nad sobą, ile od tego, co uczyniono dla nas w długim okresie naszego wychowania, poczynając od wczesnej młodości. Tylko bowiem dzięki temu nasze myśli mogą pozawierać owe mocne, stałe i dobrze zorganizowane sojusze, które nas wspomagają w niebezpiecznych godzinach prób, czyto polegających na konflikcie obowiązków, czy też na pospolitszym konflikcie między obowiązkiem i pokusą.

W taki to sposób kryzysy, spotykające nas na tym poziomie moralnego wyzwolenia, kiedy już sami chcemy rozstrzygać o własnych losach, pozwalają nam nieraz po raz pierwszy zrozumieć, jak wiele zawdzięczamy tym, którzy kierowali nami w odległej przeszłości. Nie zaćmi też to szczęśliwie wywalczonych triumfów panowania nad sobą — jeśli w chwili zwycięstwa pomyślimy z wdzięcznością o ludziach, instytucjach i powoli formujących się, a głęboko umiłowanych ideałach, które dały naszym postanowieniom i dążeniom tę nawykową zwartość, to głębokie zakorzenienie w naszym świecie moralnym, które stanowią jawną tajemnicę ich mocy.

¹⁶ Por. Bosanquet, *Psychology of the Moral Self*, str. 74.

Treść.

C z ę ś ć I.

Wyposażenie dziedziczne: jego istota i postępowanie z niem.

Rozdział I. Dziedziczność	3
„ II. Nierówność przyrodzona	9
„ III. Temperament	15
„ IV. Zdolności, instynkty, pragnienia	25
„ V. Ekonomja sił ludzkich	44
„ VI. Rozwój a powściąg	49
„ VII. Nałóg i jego niewystarczalność	58

C z ę ś ć II.

Wpływy wychowawcze.

Rozdział I. Otoczenie	73
„ II. Zdrowie ciała	76
„ III. Nauka Spencera o naturalnem oddziaływaniu	82
„ IV. Wychowanie naturalne według Wordswortha	90
„ V. Rodzina, szkoła, przyjaciele	100
„ VI. Praca zarobkowa	115
„ VII. Życie obywatelskie	122
„ VIII. Życie religijne	126
„ IX. Wpływy społeczne a jedność charakteru	132
„ X. Wartość wychowawcza ideałów moralnych	137
„ XI. Kara	145
„ XII. Przykład	155
„ XIII. Przepis	174
„ XIV. Przepis (ciąg dalszy)	183

17786

Rozdział I. Zdrowy sąd moralny	200
„ II. Wychowywanie moralnego sądu	215
„ III. Kształtowanie się ideału jednostki	223
„ IV. Praktyczna doniosłość teorii ideału moralnego	230

Część IV.

Samorozwój i samokontrola.

Rozdział I. Samorozwój	236
„ II. Panowanie nad sobą	244

11. 05. 1999

2009-03-02

2013-09-10

2011-06-23